1790.

„MOJE SZCZĘŚCIE“.

EX LIBRIS
CZYTELNIK
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

317960

„MOJE SZCZĘŚCIE"

ZE ZWIERZEŃ KOBIETY

ułożył

Jan Zacharyasiewicz.

ЧИТАЛЬНЯ
ВЪ СКЕРНЕВИЦАХЪ
CZYTELNIA
W SKIERNIEWICACH

WARSZAWA.

NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA

Nowy-Świat Nr. 41.

BIBLIOTEKA ... POWSZECHNA
Instytutu ... ego
Nr. 5031
ZNISZCZONO

Дозволено цензурою.

Варшава, 23 Сентября 1891 г.

UJK
Biblioteka Uniwersytecka
w Kielcach

474348

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Jakby przez sen przypominam sobie owe wykwintne zabawki, jakiemi otoczono mnie w mojém dzieciństwie.

Urodziłam się na wsi, w lepszych czasach naszego rodzinnego majątku. Ubierano mnie w batysty, koronki i jedwabie. Miałam bonę francuzkę, któréj wyrządzałam różne psoty, że aż płakała. Pieszczono mnie, jak zwykle jedynaczkę, a matka starała się odgadywać, co mi przyjemność sprawić może.

Późniéj, pamiętam, wszystko zmieniało się powoli. Coraz mniéj parady, a nawet coraz mniéj wygód było w naszym domu. Ojciec tracił coraz więcéj fantazyę, matka płakała po kątach. Służba rozbierała się powoli z liberyi, a ubierała w kubraki domowéj roboty.

Wycieczki do stolicy w zimie, a do wód w lecie,

ustały zupełnie, choć ojciec skarżył się na nerwy, a matka kaszlała. Wizyty z odległych dworów nie powtarzały się tak często, jak dawniéj, za to bliższe sąsiedztwa zbliżały się jakoś coraz więcéj do nas. Ludzie, których dawniéj znałam tylko z kościoła parafialnego, a którym ojciec nawet się nie kłaniał, przyjeżdżali teraz coraz częściéj do naszego dworu. Ojciec był im nawet rad i nie zdawał się tego widzieć, że ci ludzie z coraz większą swobodą zachowywali się względem nas.

Wreszcie nadszedł czas, że potrzeba było pomyśléć o mojéj nauce. Po niejakiéj sprzeczce z rodzicami stanęło na tém, że mnie oddano na jednę z najdroższych pensyi, w któréj były panienki, odznaczające się mieniem i pochodzeniem rodowém. Przemogła w tém wola ojca, który tym sposobem chciał mnie zbliżyć do tych, do których sam niegdyś należał.

Po kilku latach umarła matka. Dla mego sierocego serca pozostało mi tylko przyjaźń kilku koleżanek i troskliwość ojca, z jaką czuwał nademną. Gdy na ferye do domu przyjechałam, musiałam mu zdawać relacye nie tyle z nauk, ile z postępu znajomości, poczynionych między koleżankami. Czytywał po sto razy wierszyki, wpisywane do mego albumu przez przyjaciółki. Osobliwie podobał mu się entuzyastyczny wierszyk księżniczki Idalii, w którym przysięgała mi przyjaźń do grobu i po za grobem.

— To więcéj warto — rzekł raz ojciec do mnie, gdy po raz setny ten wierszyk odczytał — i więcéj może ci przynieść pożytku, niż cała nauka!

Ja zaś inaczéj zapatrywałam się na to. Rozmowy z koleżankami na pensyi tyczyły się głównie ich spraw domowych. Opowiadały o zwyczajach domowych i rozkoszach rodzinnych. Z jakim gustem i przepychem malowane są salony i pokoje, jak liczna jest służba, wiele koni cugowych i wierzchowców stoi na stajni, jakie cuda znajdują się w parku, a ile egzotycznych krzewów rośnie w cieplarniach. Mówiły daléj o zabawach, balach i polowaniach i kto na nich bywa. Rozumie się, że to był kwiat towarzystwa.

Jakże inaczéj od tych świetnych obrazów, jakiemi karmiła się moja wyobraźnia, wyglądał nasz dwór rodzinny! Lepsze czasy przykryły się tutaj mchem i pleśnią, jakby wstydziły się tego, co je dzisiaj otaczało. Zmatowane okna, pochylone ściany i wydeptane schody, patrzały smutno na świat, jak dogorywające oczy suchotnika. Ogród zdziczał, stare drzewa poschły, a ścieżki zarosły ostami i pokrzywą. Kilku kulawych koni było do parady, a fornalka, z obdartemi bokami, była podobną do tego nieszczęśliwego jarmarcznego towaru, który żyd na skóry kupuje.

Do tego wszyskiego stosowne było otoczenie. Wykwintny dawniéj *Françoi*, z gładko wygoloną

twarzą a długiemi bakenbardami, zwyrodniał teraz na poczciwego Franciszka, podobnego do zakrystyana, roznoszącego opłatki na Boże Narodzenie. Jeżeli dawny kamerdyner tak wyglądał, cóż mówić o niższéj służbie! Była to gawiedź bosa, obdarta, rozczochrana.

Ojciec dostroił się także do tego wypłowiałego obrazu.

Dawniéj wykwintny w ubiorze, podobny był dzisiaj do emeryta, który się tylko na to ubiera, aby mu było ciepło. Włos zaniedbany poszpakowaciał, dumnie wyniosła postać przygarbiła się w odzieży mocno wyszarzanéj. Wonne hawańskie cygara zastąpiły zwitki liści podejrzanych, a nawet dystyngowane dawniéj jego maniery przybrały cechę rubaszności i pewnych cynicznych nawyknień. W zupełnéj zgodzie był on z tymi, co go odwiedzali teraz. Rozmawiał ich językiem, jakby o dawnéj francuzczyźnie swojéj zupełnie zapomniał. Tylko czasami, śród dymu tytoniu i gwaru gości, rozmawiających o wódce i burakach pastewnych, podnosił głowę, jakby coś nad sobą w powietrzu zobaczył. Wtedy jakiś lepszy wyraz przemknął po jego znużonéj twarzy, a oczy zabłysły żywszém światłem.

Na takiém tle, jakże smutne były moje ferye! Jakże jaskrawo odbijały rozkoszne rozmowy moich przyjaciółek od tych ubogich strzępków, które pozostały po naszéj dawnéj świetności!

Przepłakałam najczęściéj te ferye, a w lepszych chwilach pisywałam długie listy do moich szczęśliwszych koleżanek.

Ojciec kontrolował tę moję korespondencyę pilnie, a listy do księżniczki Idalii czytywał po kilka razy z niemałém zadowoleniem.

II.

Skończyły się wreszcie lata nauki. Pożegnałam ze łzami szczęśliwsze odemnie przyjaciółki i w progi rodzinne powróciłam z boleścią, jakby do więzienia. Nie miałam tu żadnych jaśniejszych wspomnień, a wspomnienia z lat dziecinnych zaćmiły się zupełnie. A te, które pozostały odbijały tém jaskrawiéj od dzisiejszego ubóstwa.

Dziwnyżbo to był obraz naszego niegdyś pałacyku. Za lepszych czasów był ojciec nieubłagany dla służby, jeżeli wszystko nie było w porządku. Posadzki świeciły się, jak źwierciadła, meble, firanki i portyery wietrzono co kilka dni, wytarte drzwi poprawiano farbą i lakierem, a rzeczy zużyte nieco wynoszono na strych. Dwór cały wyglądał, jak pierwszorzędny magazyn najnowszych towarów w Paryżu; wszystko się lśniło i błyszczało.

Dzisiaj pleśń i stęchlizna panowały wszędzie.

Większa część pokoi była bez użytku. Warstwy pyłu pokrywały posadzki, a na każdym wystającym gzymsie tworzyły się formalne nasypy, na których rosły mchy rozmaite. Ojciec mieszkał tylko w jednym pokoiku, który tworzył jego sypialnię. W rogu stało łóżko, nie zawsze pościelone, na podłodze leżały resztki skóry lamparciéj, z wytartą sierścią, z któréj za lada poruszeniem wznosiły się tumany kurzu. Miejsce dawnéj wykwintnéj gotowalni, zajął prosty stół czarny, ze stłuczoném małém lusterkiem. Na drugim, sosnowym stole, leżały papiery, połamane nożyce, resztki szpagatu i stosy listów, pisanych widocznie ręką żydowską. Niektóre z nich nie były otwarte, bo ojciec zapewne wiedział o ich treści, któréj uwzględnić nie chciał lub nie mógł. Pod posadzką nurtował widocznie grzyb złośliwy, bo tafle ruszały się, jak klawisze. Do tego pokoju przypierał drugi, większy, który teraz służył ojcu do przyjęcia gości. Urządzenie i tu było mniéj, niż skromne. Na środku stał duży jesionowy stół, na którym dawniéj nakrywano do obiadu. Pod ścianami czerniły się stare sofki, pokryte płótném, naśladującém skórę.

Zrazu było dla mnie zagadką, dlaczego ojciec wcisnął się teraz w najgorszy kąt dworu i najlichszemi otoczył się sprzętami. Były przecież jeszcze pokoje okazałe, były mahonie, jedwabie i aksamity, choć spłowiałe, były zwierciadła i obrazy w złoconych ramach, a jednak od tego wszystkiego uciekł

ojciec, zostawiając je na pastwę moli, pleśni i myszy.

Zdaje się, że upadek mienia napełnił ojca wstrętem do świadków dawnéj zamożności. Chciał o niéj widocznie zapomnieć, chciał, jak dawny anachoreta, zamknąć się w dzikiéj jaskini, aby nie mieć pokusy do świata.

Wyjątek tylko zrobił dla mnie. Na moje przyjęcie uprzątnął kilka pokoików i kazał do nich wnieść co było jeszcze najlepszego. Gdym weszła do nich, ogarnął mnie wielki smutek. Zdawało mi się, że jestem we wspaniałym grobowcu familijnym, gdzie wszystko uległo zgniliźnie, prócz strzępków złotych lam i spłowiałych aksamitów! Zaraz za oknem wychylała się do mnie ta zgnilizna. Kupy śmiecia, stosy suchych gałęzi, sterty gnoju, stanowiły nie bardzo miłą perspektywę.

To też pierwsze tygodnie upłynęły wśród płaczu i boleści. Wspomnienia koleżanek, opowiadania o rozkoszach, czekających je w progach rodzinnych, wydawały mi się teraz, jak zygzaki błyskawicy na szarém, ponurém tle rzeczywistości.

Zwiedziłam wszystkie zakątki i wszędzie tylko płakałam. Poznałam całą służbę, podobną więcéj do żebraków, niż do owych opisywanych przez moje przyjaciółki kamerdynerów, stangretów i groomów.

Jedna tylko niespodzianka ucieszyła mnie. W stajni, w najlepszém jeszcze przepierzeniu, ujrzałam

siwkę arabskiéj krwi, z dużemi sarniemi oczyma. Był to mój wierzchowiec, chowany starannie dla mnie przez ojca z „Lady Palmerston", która teraz ślepa i kulawa chodziła w kieracie. Obok na ścianie wisiało angielskie siodło, pozostałość po mojéj matce.

Rozczuliła mnie ta niespodzianka. Pobiegłam do ojca i rzuciłam mu się na szyję ze łzami Ojciec patrzał na mnie czas niejaki, a potém rzekł z cierpkim uśmiechem:

— Zda ci się siwka... gdy pojedziesz na folwark.

Nie słyszałam dobrze tych słów ostatnich, bo właśnie przesunął mi się przed oczyma obrazek bardzo ponętny. Zamarzyłam o długiéj, ciemno-szafirowéj amazonce, która od siwéj maści mojéj „Lady" odbija tak ładnie, a o któréj kilka razy na tydzień mawiała mi księżniczka Idalia!... Widziałam się nawet nie samą... Tuż obok mnie galopował młody człowiek, rozmawiając ze mną po francuzku... i tylko szum drzew w uroczym parku nie pozwolił mi słyszéć jego mowy.

Wszystko to przemknęło w okamgnieniu przez moją główkę młodocianą — nie widziałam tylko twarzy mego towarzysza.

Odtąd jednostajnie i nudno płynęły tygodnie i miesiące.

Płakałam co najmniéj raz na dzień. Jedyną

przyjaciółką była mi teraz moja „Lady". Przynosiłam jéj cukru dwa razy dziennie, za co dziękowała mi zrozumiale swemi wymownemi, czarnemi oczyma. Chodziła za mną, jak pudel, a gdy była w dobrym humorze wyprawiała rozmaite psoty. Zdzierała mi kapelusz z głowy, zdejmowała chustkę z ramion i póty nie dawała spokoju, póki nie kazałam jéj cukru przynieść. To tylko czasem psuło mi rozrywkę, gdy równocześnie usłyszałam skrzyp maszyny, zalatujący od gumna i chrypliwy oddech ociemniałéj „Lady Palmerston", którą bat fornala do szybszego biegu popędzał.

Pierwszą naukę jazdy dawał mi ojciec.

Mając takiego nauczyciela, a będąc do tego bardzo pojętną uczennicą, doprowadziłam tę sztukę wkrótce do pewnego artyzmu, w czém także moja "Lady" nie małą miała zasługę. Obie byłyśmy młode i obie rozumiałyśmy siebie wybornie.

Wreszcie spełniła się jedna część mojego marzenia. Sprawiłam sobie amazonkę z szafirowego kaszmiru i czarny, niski cylinder, z błękitną woalką. Brakło mi tylko jeszcze towarzysza, który w owém marzeniu przy mnie galopował, a którego słów nie mogłam jeszcze wtedy od szumu drzew parkowych rozróżnić. Był on jeszcze spowity, jak motyl, w głębi wyobraźni mojéj i tylko tém zdradzał swoją egzystencyę, że mnie często niepokoił.

Co niedziela przyjeżdżało do ojca kilku sąsiadów.

Byli to ludzie twardéj pracy, niezbyt okrzesani. O rozmowie salonowéj nie mieli wyobrażenia, traktowali mnie jako dziewczynę, którą czasem posłużyć się można. Osobliwie stary imćpan Ligęza kazał mi nieraz sobie lulkę zapalić, obiecując za to, że gdy czas przyjdzie, pomoże mi pochodnie hymenu zapalić.

Najmilszym z gości był dla mnie ksiądz proboszcz. Sędziwy staruszek miał do mnie ojcowskie przywiązanie. Przynosił mi w kieszeni brzoskwinie i jabłuszka czerwone, a gdy ojciec nie miał czasu, grywał ze mną w „bezika" całemi godzinami.

Tak mijały miesiące i lata. Po mroźnéj zimie następowała ciepła wiosna, a po różnobarwnéj jesieni znów zima. W jednostajném życiu mojém to się tylko zmieniło, że długie z początku listy moich przyjaciółek skracały się w świstki coraz krótsze, a nawet zupełnie jedne po drugich ustawały. Działo się to stopniowo i tym tylko sposobem uszłam ostatecznéj rozpaczy. Płakałam za każdym utraconym listem, jakby za umarłą przyjaciółką. Kłopoty życia codziennego utrzymywały mnie na stanowisku, na którém mię los postawił.

Mimo téj pociechy, zdrowie moje zaczęło szwankować. Czułam niepokój w piersiach, nocе miewałam bezsenne. Śniły mi się same pogrzeby i trumny, przepaście, skały i urwiska. Często ziemia zapadała się podemną, a ja usuwałam się w otchłań bez-

denną... Czasem znów na skrzydłach Ikara leciałam wysoko w powietrze, po nad chmury, do gwiazd podniebnych, aby potém spadać i spadać bez końca...

Przywołany z miasteczka lekarz przepisywał mi różne lekarstwa; mimo to cera moja stawała się coraz bledsza i przezroczystsza.

III.

Być może, że do tych złowrogich snów moich przyczyniały się także różne zdarzenia w domu naszym. Coraz częściéj przyjeżdżali do ojca różni urzędnicy, spisujący to biedny inwentarz roboczy, to stare, wypłowiałe meble lub nieszczególną krescencyę w gumnie. Ojciec sykał wtedy gniewnie, jak wąż nadeptany lub błąkał się, milczący, po kątach.

Podczas jednych takich odwiedzin, którym towarzyszył żyd rudobrody w charakterze dowódcy, przyjechał stary Ligęza w towarzystwie młodego, nieznanego mi człowieka.

Gdy obaj do pokoju weszli, zmieszał się ojciec i z trwogą widoczną spojrzał na mnie. Siedziałam na czarnéj sofie, ocierając chustką łzy.

Na środku pokoju stał żyd rudobrody, a urzędnik w mundurze, za którym stał woźny i wójt gminy,

siedział przy stole i spisywał sprzęty, wyliczane przez żyda.

Ligęza z uśmiechem zbliżył się do ojca, który stał blady i niemy, podał mu rękę i rzekł:

— I cóż, panie Icku Gotsonie, czyż to się godzi tak nas oprawiać? Przecież introligator, gdy obcina książkę, to zostawia litery nie tknięte.

Stary Ligęza zaśmiał się na całe gardło przy tym swoim dowcipie, chcąc nasze czoła jako tako rozjaśnić. Co do mnie nie udało mu się, przeciwnie, popadłam w płacz spazmatyczny, nie zważając, że patrzy na mnie młody, nieznajomy człowiek.

Tymczasem Icek Gotson uspakajał ojca i Ligęzę, że on tak źle nie myśli, że on nie jest takim złym człowiekiem i że robi to tylko dla zwykłéj formalności sądowéj, która nie może miéć żadnego znaczenia. Cytował różne wypadki sekwestrów, sporządzanych przez siebie, które się bardzo dobrze, a nawet z korzyścią sekwestrowanych skończyły.

Płakałam długo, zdawało mi się, że mi serce pęknie. Czułam się bardzo nieszczęśliwą. Prosiłam Boga, aby się moje oczy na zawsze zamknęły, aby już nie patrzéć na to, co było przedemną.

Oczy jednak nie chciały się zamknąć na zawsze. Powieki drgały, jak gdyby gwałtem chciały się otworzyć, aby widziéć to, co się teraz w pokoju działo.

Wreszcie wątłe siły moje wyczerpały się szlochaniem, a pauza wypoczynku była konieczną.

Odjęłam chustkę od oczu i z rezygnacyą skazańca spojrzałam przed siebie. Ugrupowanie w pokoju nie zmieniło się wcale. Ojciec stał oparty o stół. Był blady; twarz jego drgała, jakby od bólu. Ligęza patrzał z pogardą na Icka Gotsona, a krótkie palce jego prawicy kurczyły się złowrogo. Urzędnik w mundurze pisał daléj, a wójt kiwał sentencyonalnie głową, jakby chciał powiedzieć, że i u nas tak bywa. Chciałam napowrót chustką oczy zasłonić, bo czułam, że nowe łzy zaczęły tam napływać—gdy nagle jakaś siła niewidzialna powstrzymała mą rękę i kazała mi spojrzéć na innego świadka tego rodzinnego dramatu.

Był to ów młody nieznany człowiek, który przyjechał z Ligęzą. Stał w samym kącie pokoju, jak posąg nieruchomy. Duże jego niebieskie oczy patrzały na mnie z taką siłą, jakby mnie wskróś przeniknąć chciały. Męska twarz jego przybrała wyraz energii, a na czole jaśniało coś, co mię na chwilę prawie odurzyło:

Patrzałam na niego kilka chwil z otwartemi szeroko oczyma. Czułam, że do nich wciskają się przemocą spojrzenia młodego człowieka... ale nie mogłam moich oczu spuścić, ani w inną stronę odwrócić. Czułam, że te spojrzenia dostają się gdzieś aż do głębi duszy... Było mi z tém dobrze, bardzo dobrze. Bolesne drgnienia mego serca ustawały. Szarpane boleścią nerwy uspakajały się, a jakiś prąd łagodny przebiegał teraz po nich.

Zdawało mi się, że widzę śród burzy płatek błękitny nieba, gdzie na tym płatku zabłysła jakaś lepsza gwiazda nad naszym domem... nad moim biednym ojcem, nademną!...

Młody, nieznany człowiek patrzał ciągle na mnie, jakby mnie chciał znieczulić, życie ze mnie wyssać, a samą w martwy posąg zamienić...

Uczułam nagle gorący prąd, który całą twarz moją oblał; spuściłam oczy mimowolnie. Młodego człowieka już nie widziałam. Słyszałam tylko męzkie energiczne kroki, które się do mnie zbliżały. Na mojéj ręce uczułam obcą rękę i usłyszałam głos, którego dotąd wcale nie znałam:

— Niech pani opuści nas, — mówił do mnie ten głos nieznany, a silnie dźwięczny i jak rozkaz krótko urywany — takie sceny nie są na nerwy kobiece. Zostaw pani nas samych; postaramy się o to, aby sytuacya zmieniła się na lepsze. Gdzież mam panią zaprowadzić?

Pociągnął mnie silną ręką, jak lekkie piórko, do góry. Nie miałam w téj chwili sił do oporu. Byłam słabą, tak słabą, jak nigdy. Jak wątły powój pochyła się ku gałęzi dębowéj, aby się koło niéj obwinąć, tak ja pochyliłam się do jego ramienia, które drgało oburzeniem z tego, co widział.

Nie wiedziałam, kto był ten młody człowiek i jak się nazywał, a jednak poszłam z nim z pewném zaufaniem, jakie się ma tylko do wypróbowanego przy-

jaciela. I byłabym szła jeszcze daléj, gdyby moja służąca nie była drzwi do mego pokoju otworzyła. Na progu zatrzymał się nieznajomy mężczyzna, ukłonił się z powagą i odszedł.

Nie wiem dlaczego, zatrzymałam się przy drzwiach zamkniętych w pokoju, nasłuchując pilnie, jak kroki jego na korytarzu oddalały się coraz więcéj odemnie. Potém rzuciłam się na sofę i zaczęłam znowu płakać.

Trwało to dosyć długo. Z korytarza dolatywały do mnie głośne urywane słowa z pokoju ojca; mieszały się one, jak akordy, wśród których wyróżniał się głos barytonowy nieznajomego, młodego mężczyzny. Akordy te rosły i odzywały się, jak burza, to uciszały się znowu i były podobne do pojedyńczych ostatnich strzałów na placu bitwy. Potém nastąpiła dłuższa pauza, a po pauzie weselsze tony zapowiadały zmianę melodyi.

Jakoż wszedł do mnie stary Franciszek, z rozkazem od ojca, abym dla gości przygotowała posiłek.

Było to dla mnie prawie dobrodziejstwem. Mogłam się oderwać od mar, gniotących pierś moją i zażegnać niepokój, który ogarnął całą moją istotę.

Zajęcia gospodarskie uspokoiły mnie znacznie. Czy i co innego do tego się przyczyniło, nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Wchodząc ze służącym do pokoju, w którym niedawno odbywała się scena dramatyczna, ujrzałam dekoracye i role aktorów zmienione. Ojciec siedział

w tył przegięty i zdawało mi się, że jest wyższy o kilka cali. Wyciągnął rękę daleko od siebie i bębnił palcami po stole. Młodszy był przynajmniéj o lat dziesięć, a czoło miał prawie bez zmarszczków. Z rozczuleniem spojrzał na mnie i uśmiechnął się, jak człowiek szczęśliwy.

Ligęza miał troskę na czole. Zakrył ręką brodę i wąsy, jakby już więcéj mówić nie chciał. Za to twarz nieznajomego młodego człowieka błyszczała, jak bronz rozpalony. Ciemne włosy rozłożyły się w nieładzie na wydatném czole, a wąsy i mała przycięta broda zjeżyły się, jakby po walce dopiéro co skończonéj. Pobity nieprzyjaciel stał przy progu z głową spuszczoną. Gonił oczyma po podłodze umykające przed nim procenta i stracone korzyści. Widocznie Icek Gotson nie zrobił dzisiaj świetnego interesu, co także zdawał się potwierdzać złośliwy uśmiech wójta. Urzędnik w mundurze uśmiechał się do wszystkich, jak człowiek, którego położenie znacznie się polepszyło, ukazując mu w perspektywie smaczny, niczém niezamącony obiadek.

Piérwszy przemówił do mnie ojciec.

— Pozwól, Anetko, — rzekł z widoczném zadowoleniem — że ci przedstawię naszego współlokatora i towarzysza naszych nudów sielankowych.

Uczułam gorąco w twarzy, a na razie nie zdobyłam się na stosowną odpowiedź, tylko na lekki, pra-

wie obojętny ukłon. Młody mężczyzna stanął na równe nogi i z wielką powagą oddał mi nizki ukłon.

— Jerzy Ligęza Barski, — ozwał się stary Ligęza — niebardzo daleki mój krewniak. Z jednego pnia Ligęzów, tylko z innéj gałęzi.

Skinęłam znów głową, a imćpan Jerzy Ligęza Barski oddał mi znów nizki pokłon. Żadne słowo nie padło między nami.

— Któżby się był spodziewał, — zagadnął po chwili stary Ligęza — że, przybywszy z piérwszą wizytą, ubije mój krewniak odrazu walny interes.

Zaniepokoiły mnie te słowa. Wysłałam trwożliwie moje oczy po odpowiedź do pana Jerzego i zdawało mi się, że spotkałam się z takiém samém zapytaniem w jego oczach. Patrzał na mnie z pewnym niepokojem i powoli spuścił swe oczy na ziemię.

— Zamyślasz się, mój Jerzy — mówił daléj major — i jest się czego zamyślać, jeżeli się całą małą fortunkę stawia na jedną kartę!... W Bogu tylko nadzieja, który poczciwym ludziom nie daje upaść! Nieprawdaż, mości Icku Gotsonie?

— No, na co ma pan upadać? to ja upadłem!

— Nie obrażaj Boga, boży synu! Odbierzesz kapitał, przyzwoite procenta! Czyś chciał czego więcéj?

— A moje ryzyko! — lamentował Icek Gotson.

— Gdyby Daniel w jaskini dzikich zwierząt chciał

BIBLIOTEKA Nr. 503

się asekurować, to każda asekuracya kazałaby mu wysokie premie płacić, nie przypuszczając, że tam gdzieś w oddali gotuje dla niego Habakuk szabasowe łoksze w garnku!... A pan Barski to przyszedł tu tak, jak Habakuk.

— I wydarł Daniela, któregoś chciał pożréć!

Wójt ryknął śmiechem na ten koncept Ligęzy, zawtórował mu urzędnik w mundurze wraz z woźnym, tylko mój ojciec milczał, jak człowiek, dopiéro co ze szponów uwolniony.

— Ny, — ozwał się pobity, lecz nieugięty nieprzyjaciel — już to w piśmie tak stoi, że Habakuk swoim garnkiem uwolnił Daniela od śmierci; ale podczas gdy Daniel zajadał łoksze, mógł Tygrys, zamiast Daniela, zjeść Habakuka!

I złośliwe spojrzenie rzucił na swego pogromcę.

Powstała wrzawa, przeplatana śmiechem, śród któréj kilka głosów naraz odpowiadało zwyciężonemu śmiałkowi.

Niebawem nastąpiło zawieszenie broni. Dobra przekąska uśmierzyła nerwy, a nawet zwyciężony nieprzyjaciel dostał szklankę herbaty, jako jedyny możliwy dla żyda posiłek w domu chrześciańskim.

Po przekąsce zabrano się znów do rozprawy i rachunków. Wyszłam do mego pokoju, aby tam rozpatrzéć się w tém, co zaszło. Widocznie rozpoczynał się nowy rozdział w naszém życiu monotonném, coby jednak mógł zawierać, nie mogłam odgadnąć.

W pasmo dni naszych wplatała się nić trzecia i napawała mnie jakimś tajemnym niepokojem. Może to była nadzieja zmiany naszych stosunków na lepsze, może pewna radość, że ktoś trzeci zespolił się z naszemi kłopotami, albo je od nas sam na siebie weźmie... Dosyć, że uczułam w duszy pewne zadowolenie, jakiego oddawna nie doznałam.

I jeszcze tego samego wieczora, gdy się goście rozjechali, wyjaśnił mi ojciec to, co zaszło.

Oto imćpan Ligęza Barski, młody, ukończony agronom, przyjechał był do swego krewnego, starego Ligęzy, prosząc go o poradę. Odziedziczył on niedawno małą fortunkę po ciotce, za którą chciał wziąć skromną dzierżawkę.

Przyjechawszy do nas z wizytą, trafił na scenę z Ickiem Gotsonem, która tak go oburzyła, że, zamiast dzierżawy, wziął administracyę naszego majątku, na co wyliczył naprzód pewną sumę, potrzebną na zaspokojenie Icka Gotsona i innych, mniéj wyrozumiałych wierzycieli.

Ojciec chwalił przytém szlachetne intencye młodego agronoma, który nie mógł w tym interesie upatrywać zysków osobistych. Postawił on takie warunki, jakich się nikt nie spodziewał, a które w niekorzystnym wypadku zagrażają całéj jego fortunce.

Opowiedziawszy mi to, stał się ojciec jeszcze weselszym. Chodził elastycznym krokiem po pokoju, nucąc półgłosem jakieś dawne francuskie kuplety.

Wyprostował się i patrzał przed siebie okiem rozjaśnioném.

Zamyśliłam się nad tém, co mi ojciec powiedział. Przeczuwałam, że to nie był interes skończony, jak twierdził ojciec, ale początek czegoś, co się gubiło w mgle przyszłości. Różni są ludzie. Jedni przychodzą z oliwną gałązką, aby nas potém zamordować, inni z nożem chirurgicznym, aby nasze rany wyleczyć. Tych drugich lękamy się zazwyczaj, podczas gdy piérwszych bierzemy w serdeczne objęcia.

Długo w noc myślałam nad tém, a przeczytane w romansach obrazy przesuwały się przed memi oczyma.

Zaraz nazajutrz przyjechał imćpan Ligęza Barski i zaczął odbierać zarząd wszystkich gałęzi gospodarstwa. Dla mnie nie miał wiele czasu, ale ja za to patrzałam zdala na wszystkie jego kroki. Nie powiem, aby teraz dobre na mnie sprawił wrażenie. Jego chód był pewny i odmierzony. Ruchy jego krótkie, urywane, oznaczały energię władcy, który mógł był zostać despotą. Zapytania i odpowiedzi były podobne do rozkazów bez apelacyi. Żądał przedewszystkiem posłuszeństwa, pracy i rzetelności, przeciwnie groził, że będzie nieubłagany. Zaraz na wstępie odkrywał pewne nieporządki, za które karał natychmiast lub groził karą. Rozluzowana służba poczuła silną rękę i zaczęła układać się stosownie do nowych wymagań.

Nowy administrator nie chciał zamieszkać we dworze, jak to mu ojciec proponował, tylko wyporządził sobie kilka izdebek w oficynie i tam swój skromny inwentarz umieścił.

Dwa kufry stanęły w przedpokoju, nieprzemakalny płaszcz i gruba bonda, wyrobu ze Sławuty, zawisły na szaragach. Łóżko przykryte wełnianym kocem, rewolwer, szabla i dwie dubeltówki, zawieszone nad łóżkiem, dwa stoły, kilka krzeseł, sofa obita ceratą i komódka, stanowiły skromne sprzęty całego mieszkania. Co do stołu, obiecywał tylko na obiady i herbatę przychodzić i to tylko wtedy, gdy w pobliżu dworu będzie zatrudniony.

Tak uregulowały się nasze stosunki co do nowego naszego współlokatora.

IV.

Współlokator nasz jestto człowiek ciekawy. Kilka tygodni minęło, a nie mogę powiedzieć, że go znam dobrze. Przy piérwszém widzeniu wydawał mi się łatwiejszym do poznania. Zdawało mi się, że go już znam nieco, i że go wkrótce całego poznam. Jest chłodny i zamknięty. Z ojcem rozmawia więcéj, mnie zbywa krótkiemi frazesami. Kłania mi się z wielkiem uszanowaniem i pyta o drobnostki, które mnie wiele nie obchodzą. Pyta, co mój kanarek porabia i jak się moja kotka miewa?

Za cóż on mnie ma? Czy jestem dzieckiem, aby mnie nic innego nie bawiło? Przy stole nie patrzy na mnie, gdy ze mną rozmawia; tylko czasami, gdy przypadkiem na niego spojrzę, spotykam się z jego oczyma, które natychmiast gdzieindziéj zwraca. Jest w ogóle zimny, a często nawet sarkastyczny.

Idalka mówiła mi, że starsza jéj siostra przez trzy lata widywała pewnego młodego człowieka, a nie mogła go poznać, jakim on był. Czasami zdawało jéj się, że jest nią zajęty, a za kilka dni spostrzegła, że wcale o niéj nie myśli. Trwało to tak długo, aż pewnego razu sama mu się oświadczyła. No, i byli bardzo szczęśliwi, kupił jéj przepyszne brylanty, a po ślubie zwiedzili całą Europę, nawet byli na balu u króla włoskiego, a u sułtana na obiedzie. Któżby się był spodziewał, że takiem szczęściem zakończą się wszystkie jéj niepewności, jakie z początku ją dręczyły?

Nie mówię tego, aby mnie pan Jerzy Barski tak bardzo obchodził. Żadnych marzeń nie przywiązuję do jego osoby. Na szerszym świecie możeby nawet nie spostrzegła go między innymi, ale w samotném ustroniu naszém, muszę widzieć go kilka razy dziennie i często z nim rozmawiać. Jest on jedynym człowiekiem, do którego się udaję, jeśli mi czego potrzeba. Załatwia moje drobne sprawunki w mieście, a potrzeba przyznać, że załatwia je skrupulatnie. Wprawdzie i ksiądz proboszcz robi czasem to samo,

ale pan Jerzy zna się lepiéj na naszych gustach i drobiazgach. Czasem korzystam nawet z jego rad i uwag.

Ojciec jest widocznie kontent z niego. Odbywają często narady, po których jest ojciec zawsze w lepszym humorze. Odkrywa on mu jakieś nowe źródła dochodów, bo często widzę u ojca grubszy banknot, czego dawniéj nie bywało.

Po każdéj dłuższéj konferencyi mawia ojciec do mnie:

— Zacny, bardzo zacny człowiek, dziękuję Bogu, że mi go przysłał. Gdyby nie on, Icek Gotson byłby mnie z kijem puścił. Prawdziwy Habakuk w jaskini Daniela, jak mówi stary Ligęza,

— Ale Gotson — odpowiedziałam z pewnym niepokojem — Gotson mówił wtedy, że w téj jaskini mógł tygrys pożreć Habakuka!

Ojciec zachmurzył czoło.

— Miejmy nadzieję — rzekł po chwili — że tak źle nie będzie.

Mimo tych słów, przeszedł się kilka razy niespokojnie po pokoju, zaglądając po kątach, czy gdzie owego tygrysa nie zobaczy. Czasami wstrząsnął się nawet, jakby go już dojrzał...

Żywego tygrysa nigdy nie widziałam, a gdyśmy o nim mówili, stanął mi żywo przed oczyma. Nie wiem, jakim sposobem to się działo — ile razy obaczyłam pana Jerzego, to zdawało mi się, że za nim stoi tygrys z otwartą paszczą.

Raz nawet śniło mi się, że go tygrys pożerał.. Ale gdy na ratunek przybiegłam, zamienił się tygrys w białą miłą koteczkę, podobną do mojéj Marusi. Powiedziałam mu to przy obiedzie. Uśmiał się serdecznie i podziękował mi za ratunek. Po niejakim namyśle rzekł do mnie:

— Czy sądzi pani, że niebezpieczeństwo dla mnie już przeminęło, gdy tygrys zmienił się w małą koteczkę?

— Naturalnie! — odpowiedziałam — cóż koteczka może złego wyrządzić? Wszak ona taka mała, miluchna...

— Przeciwnie, tygrysa widzę zdaleka i mogę się przygotować do obrony, gdy tymczasem mała, miluchna koteczka...

Niebieskie jego oczy pociemniały, ale prędko opuścił je na talerz, dodając po chwili:

— Ukąszenia kotów bywają czasem śmiertelne, osobliwie, gdy się to dzieje w napadzie podrażnienia.

Ojciec rozpoczął opowiadać o takim kocie podrażnionym przez psa, który całą służbę pokąsał.

Opowiadanie trwało dosyć długo, a tymczasem kończył się obiad.

Strzeż się pan kota — rzekłam na pożegnanie do pana Jerzego.

Ale on nic na to nie odpowiedział, tylko skłonił się z wielką powagą.

V.

Słońce zaczyna już dobrze dopiekać. W polu roboty pokończone. Nie znam się na gospodarstwie, a jednak przyjemnie mi było usłyszéć to wczoraj od pana Jerzego.

— Będę miał teraz więcéj czasu — rzekł przy herbacie—bo dotąd byłem tylko gościem we dworze

Czułam, że te słowa napędziły mi rumieniec na twarz.

— W saméj rzeczy — odpowiedziałam, pocierając ręką po czole — tak krótko widywaliśmy pana we dworze.

— Nie można było rąk od roli odrywać, a robotnika jest tutaj tak mało. Od jutra poświęcę się cały dworowi.

Skinął do mnie głową, jakby mnie miał na myśli. To sprawiło, że na twarzy uczułam powtórny rumieniec.

— Anetko — odezwał się ojciec — ty jakaś niezdrowa dzisiaj.

— Mam od południa migrenę... Ale spodziewam się, że pod noc ustanie, jak zwykle.

Nastała pauza.

Ojciec z powagą zwijał papierosa, a pan Jerzy obrysowywał arabeski, tkane na obrusie.

Nazajutrz zbudził mnie ze snu jakiś szelest pod

oknami. Krzak róży ruszał się, jakby od wiatru, a twarde pączki uderzały o okno.

Zarzuciłam płaszczyk i zbliżyłam się ostrożnie do okna.

Na niebie zaledwie wstało słońce. Różowe promienie światła rozbiegły się po ciemnym szafirze. Kilka małych chmurek, zarumienionych niby od wstydu, umykało z dziennéj areny...

— Nie ruszać krzaka róży! — ozwał się z cichą wibracyą znany mi głos barytonowy — nie ruszać gałązek, bo się panna Aneta obudzi!

Nieopatrzny, nie wiedział, żem zbudzona, że patrzę na niego! A wyglądał nawet jakoś inaczéj w téj chwili, niż zwykle. Poranne powietrze zarumieniło mu czoło, energiczna twarz jego oblała się miękkiém półświatłem. Stał wyprostowany wśród kilku robotników, którzy właśnie zabierali się do oczyszczenia ścieżek w ogródku, pod mojemi oknami.

— Jaki on troskliwy o mnie! — pomyślałam sobie, patrząc na niego z wdzięcznością. — Jak on teraz pięknie wygląda!

I długi czas patrzałam na niego, schowana za krzakiem róży i słuchałam jego przyciszonych rozkazów, które wydawał robotnikom, aby, jak mniemał, mnie nie rozbudzić.

Doznałam teraz uczucia przyjemnego, o jakiém dotąd miałam tylko wyobrażenie z opowiadań moich starszych koleżanek na pensyi. To okno oświecone

pierwszym promieniem słońca, ocienione krzakiem róży, z którego grube pęcze zwieszały się ku ziemi... Ten lekki, nocny płaszczyk, zaledwie trzymający się na ramionach, jeszcze ze snu ciepłych, choć nawpół odsłonionych... te pantofelki, w pośpiechu przydeptane... a przedewszystkiém ten oddech, jakby trwogą jaką przyśpieszony... wszystko to przypominało mi jakieś obrazy rozkoszne, czy to w powieściach wyczytane, czy samoistnie odczute i wyśnione...

Stałam długo, upojona tém uczuciem, które unosiło moją wyobraźnię w jakieś nieznane mi krainy. Błogi dreszcz przebiegał po moich nerwach, a w sercu było mi słodko i rozkosznie...

Wreszcie dojmujący chłód przypomniał mi, że nie jestem ubraną. Jeszcze raz wejrzałam pomiędzy gałęzie róży i szybko wróciłam do łóżka, aby jeszcze zamknąć powieki i daléj śnić o tém, o czém przy oknie na jawie śniłam.

Wtórował mi do tego cichy szmer za oknem, szelest rydlów i skrzyp taczek, a przytém uciszone rozkazy aby niesprawiać chałasu. Wszystko to zlało się w końcu w pełną muzykę, która jak chór niebieski coraz słabiéj dolatywała do moich uszu.

Wstałam blada i zmęczona. Miałam oczy jakby gazą przysłonięte. Spojrzałam na zegar — była ósma.

Za chwilę wyszłam do ogrodu. Słońce już było wysoko, promienie jego dobrze przygrzewały. Ro-

botnicy oddalili się znacznie od mego okna, które zawieszone nad ścieżką czysto wygracowaną, nabierało jakiegoś tajemniczego uroku.

Byłam pewną, że powierzyłam mu niedawno tajemnicę, którą przechowa dyskretnie. Przykrywał ją starannie krzak róży, kołyszący się w wietrze.

Niespodzianie reżyser sceny wyszedł z bocznéj alei. Oddał, mi, jak zwykle, z wielką powagą ukłon na dzień dobry.

— Czy przeminęła wczorajsza migrena? — zapytał po chwili.

— Jak pan sądzi? — odrzekłam, patrząc na róże pod oknem.

— Sądzę, że u pań, trudno zazwyczaj poznać z twarzy, co tam wewnątrz dolega.

— Czuję się mocno znużoną... a to właśnie... z przyczyny pana.

Patrzał na mnie czas niejaki.

— Przepraszam panią! — rzekł nagle, jak gdyby się ocknął! — Zbyt rano, i to pod oknem pani, rozpocząłem robotę. Zbudziłem panią?

— Tak, ale zasnęłam napowrót. Była to tylko krótka przerwa. Spałam potém dosyć długo i spokojnie.

— Spokój, to pół szczęścia, jak mówią.

— Czy pan temu przeczy?

— Prowadzę życie ruchliwe, spokoju nie lubię... a nawet obawiam się go.

— Obawiasz się pan? Dlaczego?

— W spokoju nachodzą nas czasem różne niepraktyczne myśli i rojenia.

— Pan lubisz tylko to, co praktyczne?

— Wypływa to z mego zawodu.

— Jakąż praktyczną korzyść pielęgnowanie ogrodu i kwiatów przynosi?

— Przyjemność dla oczu, które... naprzykład z tego okna, ocienionego krzakiem róży, na nie patrzą.

Uczułam lekki rumieniec, a skłoniwszy się, odeszłam szybko. Weszłam do mego pokoju. Nie wiedziałam, po co i na co. Czyż miałam z czém ukrywać się przed światem? Przecież nic nie zrobiłam, nic nie powiedziałam? Czyż on mi co powiedział? Bynajmniéj. Zwykła codzienna rozmowa między mężczyzną a kobietą. Lekka aluzya, zręczna *riposta* i nic więcéj. I po cóż to zaraz widziéć w tém jakieś wielkie rzeczy, a przedewszystkiém po co się rumienić? Jestem młodą, bardzo młodą.

Niktby nie myślał, że zdałam maturę! Nie, nie, trzeba się od tego odzwyczaić, a przedewszystkiém nie potrzeba się rumienić przy najmniejszém słówku, gdy się z mężczyzną rozmawia.

Po tym monologu wyszłam znów do ogrodu, aby odetchnąć świeżém powietrzem. Zdawało mi się, że teraz całemi godzinami mogłabym rozmawiać z panem Jerzym bez żadnego rumieńca — mimo to, nic

miałam jakoś odwagi. Wybierałam ścieżki odległe, choć z trawy jeszcze nie oczyszone. Nikt tu na mnie nie patrzał, rojeń moich nie podsłuchiwał.

Roiłam więc sobie różne rzeczy, a przytém nasłuchiwałam, czy kto za mną nie idzie. Zrazu byłam z tego zadowoloną, że jestem sama, że nikt do mnie się nie zbliża. Potém wydała mi się samotność moja nieco nudną i zaczęłam oglądać się po za siebie, czy kogo za mną nie zobaczę. Przecież tak być powinno.

Widział mnie, nie powinien mnie saméj zostawić. Mógł przecież tak robotę rozłożyć, aby niby przypadkiem mnie spotkać. Sama grzeczność dla kobiety wymaga tego, aby nie zostawić jéj saméj, aby pójść za nią. Mógłby wypaść jaki pies, albo ukryty wąż nagle wypełznąć na ścieżkę...

Wśród takich myśli usłyszałam nagle szelest przedemną. Gałęzie krzaków zaruszały się, a z po za nich wyszedł — mój ojciec. Zdawał się być w dobrym humorze, w ustach trzymał papierosa, z którego wił się misternie przezroczysty, siny dymek.

— Czyś zdrowsza dzisiaj, Aneczko? — zapytał, całując mnie w czoło. — Czy wczorajsza migrena przeminęła?

Na moją przytakującą odpowiedź uśmiechnął się z pewném niedowierzaniem. Patrzał na mnie czas niejaki.

— Jesteś blada i znużona. Nie dziwię się temu. W twoim wieku nic tu dla ciebie nie ma. Sąsiedz-

twa poczciwe, ale nie bardzo odpowiednie, a nie ma za co téj nory opuścić. Los nielitościwy zawisł nad nami, wszystko nam się urywa. Trzymałem kilka losów krakowskich, żaden z nich nie wygrał! Ale w Bogu nadzieja, że to wkrótce się skończy. Nasz Barski cudów dokazuje. Gdybyś widziała, jak ślicznie pola wyglądają. Od trzydziestu lat, jak tu siedzę, nie widziałem tak ładnéj roboty. Wszędzie go pełno — no, i kapitalikiem swoim przyszedł w pomoc gospodarstwu. Nie wiem, cobyśmy byli robili bez niego, chociaż stary Ligęza obawia się, czy wyjdzie dobrze na tém. Utrzymuje, że on robi to głównie z patryotyzmu, aby ziemia nie wychodziła z rąk tych, którzy od dziada i pradziada ją posiedli.

Potém przeszedł ojciec na inny temat rozmowy. Pytał, czy dawno pisała do mnie księżniczka Idalia, czy nie zapomniałam, że wkrótce będą imieniny hrabianki Lorci i czy obie baronówny wybiorą się, jak pisały, do Biarritz, nad granicę hiszpańską. Potém dodał:

— Stosunków takich nie trzeba zaniedbywać. Mogą one nam się przydać, gdy niebo będzie dla nas łaskawsze. Może być, że Barski, jak drugi Mojżesz, ze skały wodę dobędzie, albo przynajmniéj naftę gdzie wynajdzie.

Ojciec powiedział to z wesołym uśmiechem i odszedł do pana Jerzego, którego właśnie w głównéj alei zobaczył. Zostałam sama i dosyć długo myśla-

łam nad tém, co mi ojciec powiedział. Myśli moje nie wiązały się jakoś; motały się, jak nici porwane.

VI.

Ogród nasz przecudnie wygląda. Ścieżki wygracowane, aleje żółtym piaskiem wysypane, kląby kwiatami obramowane. Skoszone trawniki wyglądają, jak dywany z aksamitu, nad potokiem pną się nowe mostki. Nie myślałam nigdy, aby nasz ogród mógł tak ładnie wyglądać.

Przyleciały do niego różno-barwne ptaki, jakich dawniéj nie było. Na kanadyjskiéj topoli, niedaleko moich okien, ulokował się słowik, dawno tutaj niesłyszany. Po całych nocach wyśpiewuje różne czułości swojéj towarzysce, aż mnie zazdrość bierze. Nikt dla mnie dotąd ani jednéj piosenki nie zaśpiewał, a przecież jabym takiéj piosenki z rozkoszą słuchała!

Ha, może i to kiedy nastąpi, przecież nastąpić musi.

Tymczasem zachwycam się naszym ogrodem, a przytém myślę o panu Jerzym, który ten ogród tak upiększył. Ojciec powiada, że powinniśmy czuć wdzięczność dla niego, że powinnam być zawsze grzeczną i uprzejmą. Staram się o to, ale cóż kiedy rzadko wydarza się sposobność. Najczęściéj urywa się

między nami rozmowa w chwili, gdy mu właśnie coś przyjemnego powiedzieć chciałam. Takie to moje szczęście.

Już wszystko w ogrodzie skończone, rowy, mające z łączki wodę odprowadzać, już wykopane.

Pan Jerzy wziął się teraz do zewnętrznéj restauracyi dworu. Obdarta facyatka zajaśniała białą koszulką, obite kanty gzémsów wyprostowały się. Nie widać już owéj smutnéj starości, któréj widok przygniata, owych defektów, które bliską ruinę zapowiadają. Weseléj jest nam wszystkim, gdy wchodzimy po wyprostowanych schodach, i zdaje się nam, żeśmy przynajmniéj kilka losów krakowskich wygrali. Ojciec nawet zdaje się w to wierzyć, bo zaprenumerował pismo „Merkury," w którém odczytuje pilnie wszystkie wygrane.

Nie sądzę, aby prócz krakowskich, posiadał inne loteryjne papiery, czyta jednak o wszystkich, tak krajowych, jak zagranicznych. Przy grubszych wygranych wypuszcza gęstsze kłęby dymu i marszczy czoło, jakby losowi swemu złorzeczył. Mniejsze przechodzi z uśmiechem życzliwości dla szczęśliwszych od niego.

Najwięcéj uwagi poświęca tak zwanym „restantom", to jest numerom, które wygrały, a za które nikt dotąd należytości nie odebrał. Numera takie figurują często w wykazach od lat kilku, a nawet kilkunastu. Wykazują one czasem sumy bardzo wysokie,

stanowiące same przez się znaczną fortunę. Co się stało z właścicielami takich wygranych, odgadnąć nie można — czy pomarli, czy żyją w nędzy, nie przeczuwając nawet swego bogactwa?

Ziste ciekawą byłaby historya tych zapomnianych numerów, a jeszcze więcéj tych, którzy o nich zapomnieli.

Ojciec poświęca tym zapomnianym posterunkom wiele czasu. Przechodzi je zwolna po kolei, przy grubszych cyfrach zatrzymuje się dłużéj.

Gdy jesteśmy wszyscy razem, a co najczęściéj zdarza się przy herbacie, wtedy ojciec czyta głośno te zapomniane numera, nawiązując do nich różne uwagi.

— Mój Boże! — zawołał raz cały wzburzony — sto tysięcy wygranych i ani pies się o to nie zapyta! Nikt ich nie chce podjąć, jakby mu nie było potrzeba! Zwaryowali ludzie! Przecież, jeżeli kto los posiada, powinien wiedzieć, że może wygrać! Jak można być obojętnym na to, co dla nas może być zgotowaném. To mnie tak boli, jakbym sam stracił.

Po tych wykrzyknikach, czytał ojciec długi szereg numerów, za które pieniędzy nikt nie odebrał. Zapełniały one całe stronnice dziennika, a między niemi były bardzo poważne.

Wywiązała się na ten temat wspólna rozmowa. Mówiliśmy o dziwnych zrządzeniach losu, który uśmiechnął się ludziom, a ludzie tego nie wiedzieli. Ojciec

wpadał formalnie w pasyę na tych wszystkich, którzy o szczęściu swojém wiedzieć nie chcieli. Ja i pan Jerzy dodawaliśmy nasze uwagi.

— Czy można o swojém szczęściu nie wiedzieć? — zapytałam bezmyślnie prawie.

Pan Jerzy spojrzał na mnie z uśmiechem.

— Zdarza się to częściéj, niżeli sądzimy — odrzekł, bawiąc się filiżanką — a jednak nie przychodzi nam nawet na myśl robić sobie z tego wyrzutów. Powiadają, że każdy człowiek przychodzi na świat z losem, który wygrać musi i wygrywa. Nie wie tylko, gdzie téj wygranéj szukać. Zdaje mu się, że jest ona gdzieś daleko za górami, podczas gdy ma ją blisko siebie, a czasem widzi ją tuż przy sobie, gdy ona właśnie za górami na niego czeka!

— Prawda, prawda — odrzekł ojciec i utonął w długim szeregu znacznych wygranych, które zobaczył na drugiéj stronnicy, a które od lat kilku odebrane nie były.

Długo w noc plątały mi się po głowie owe numera zapomniane, owe zastygłe uśmiechy losu, na które nikt nie odpowiedział. Przyszło mi na myśl, że mogą być podobne uśmiechy kobiety, na które nikt nie odpowiada!... Czy i uśmiechy mężczyzn?...

Tu urwał się wątek moich myśli — zasnęłam.

VII.

Nazajutrz przypomniałam sobie moją siwkę. Dawno już na niéj nie jeździłam. Kazałam ją osiodłać.

Gdy ją ze stajni wyprowadzono, zbliżył się do niéj pan Jerzy i zaczął siodło poprawiać.

Stałam w ganku, w mojéj amazonce ciemno szafirowéj, trzymając szpicrutę ze złotą rękojeścią — pozostałość po mojéj matce. Na głowie miałam niski cylinder z błękitną woalką.

Za chwilę stanęła siwka przed gankiem, za nią postępował pan Jerzy. Wiedziałam, że wyjeżdżał on często na koniu do roboty, mimo to zapytałam:

— Czy lubisz pan konną jazdę?

— Poświęcałem jéj wiele czasu, a nawet uchodziłem w zakładzie za najlepszego jeźdźca!... Naturalnie, byłem jak rak na bezrybiu — dodał po chwili.

— Jeżeli tak — odpowiedziałam skwapliwie — to chcę skorzystać z tego. Ojciec nauczył mnie wprawdzie różnych tajemnic tak zwanéj wyższéj jazdy, ale tutaj nie mam się przed kim z nią popisać. Smutno jest między stado wróbli, wron i kawek rzucać perły naszych talentów. Czy będziesz pan widzem, sędzią, a jeżeli potrzeba i nauczycielem zarazem?

— Panie zazwyczaj lubią, gdy tłumy patrzą i podziwiają!

— Pan zaczynasz być złośliwym; przecież jeden jest czasem dla nas wszystkiém.

Zmieszała mnie ta moja porywczość w odpowiedzi, ale nie mogłam już jéj naprawić. Szybko przystąpiłam do siwki, przy któréj stał już pan Jerzy, z ułożoną do pomocy ręką.

Patrzał na mnie z jakimś zagadkowym uśmiechem, jakby mi w duchu przebaczał moją dziecinną gadatliwość. Oparłam koniec bucika na jego ręcę i skwapliwie rzuciłam się na siodło.

Zdawało mi się, że ta ręka zadrżała podemną, i że mogłam spaść na ziemię, gdybym się dłużéj na niéj zatrzymała. A chętnie byłabym to uczyniła, choćby tylko dlatego, aby wypróbować wytrwałość przygodnego mego rycerza.

— Za kilka minut przyłączę się do pani — rzekł, jak zawsze, z ukłonem, zwracając się do stajni.

Stępo wjechałam w główną aleję, oglądając się co chwila za moim towarzyszem.

Dzień był ciepły i pogodny. Przez gęste liście lipowych gałęzi przedzierały się promienie słońca, jak złote nici przez tkaniny kanwy, a padając na ziemię, wypisywały jakieś fantastyczne monogramy. Przypatrywałam się im, chcąc odgadnąć, z jakich składały się liter. Łatwiéj było o moją literę, ale drugiéj z nią związanéj, nie mogłam odcyfrować...

Przypomniało mi się owo przelotne marzenie o nieznanym towarzyszu moim, gdy mi ojciec o siwce po raz pierwszy powiedział. Towarzysza tego, któryby ze mną w takt galopował, dotąd nie było, a o owém

szeptaniu do ucha podczas jazdy trudno było nawet po raz drugi zamarzyć.

Czyż dzisiaj nie zbliżało się to marzenie do rzeczywistości? Może wtedy inaczéj wyobraźnia przystrajała ten obraz, może inne, więcéj wykwintne były akcesorya... Dzisiaj jednak przybladły na szarém tle rzeczywistości, z którą najwybredniejsza wyobraźnia musi się liczyć.

Z niepokojem, który mi sprawiał nieznane dotąd zadowolenie, oglądałam się po za siebie. Każdy głośniejszy szelest, każdy grubszy cień przyspieszał mi bicie serca, a młoda wyobraźnia malowała koło mnie rozkoszne, niewidziane dotąd obrazy.

Trwało to dosyć długo, tak przynajmniéj mnie się zdawało.

Nie mogłam sobie wytłómaczyć, dlaczego tak długo nie przybywa i przyszło mi na myśl, czy mu się co złego nie stało? Gdy raz tę myśl powzięłam, snułam ją daléj i rozwijałam z niéj coraz smutniejsze domysły i przypuszczenia. Nie spostrzegłam nawet, że ta robota mojéj wyobraźni zbliżała się coraz więcéj do mnie, do mego serca, do całéj mojéj istoty.

Drżałam na widok mniemanego nieszczęścia, zapierałam oddech w piersi, aby usłyszéć jakieś dalekie, tajemnicze jęki, niby wołające o pomoc.

W takich chwilach był on mi czémś więcéj, aniżeli zwykłym towarzyszem jazdy konnéj, a serce niepokoiło się, że go tak długo nie widać.

Już zaczęłam przypuszczać najgorsze rzeczy, już chciałam siwkę zwrócić i galopem puścić się do dworu, gdy nagle przed sobą w przyćmionéj perspektywie obaczyłam na wylocie alei ciemny punkt, wahający się z jednéj strony w drugą. Puściłam siwce cugle, a po kilkuset krokach zarysował się w jasnéj przezroczy przedemną jeździec, jak gdyby na czatach stojący. Siwka zrozumiała mnie i wyciągniętym galopem puściła się ku jeźdźcowi.

— Ale pan takie koło drogi zrobił w tak krótkim czasie! — zagadnęłam, poprawiając woalkę, która mi twarz chciała odsłonić.

— I dosyć długo czekam na panią — odpowiedział z ukłonem.

— Myślałam, że pan za mną pogonisz...

— Tylko nieszczęście zwykło gonić za nami...

— A pan chciałeś mię spotkać!

Myślałam w téj chwili o szczęściu, które nas zazwyczaj „spotyka", ale myśli téj nie dopowiedziałam. Nie wiem, czy i on tak myślał, czy tylko przypadkiem złożyły się tak nasze słowa.

Zrównał się ze mną, ale tak, że siwka moja szła o pół głowy przed nim. Podziwiałam tę zręczność, z jaką się trzymał w ciągu jazdy w téj odległości.

Z cienistéj alei wyjechaliśmy w pełne słońce. Tysiące muszek brzęczało koło nas, stada ptaków przelatywały przez drogę. Chór różnorodnych głosów śpiewał nam jakieś pieśni urocze, jakich dawniéj

nie słyszałam, gdy sama jedna lub w towarzystwie stajennego tę samą drogę przebywałam. Cóż otworzyło teraz moje oczy, co zaostrzyło nerwy moich uszu?

Zrazu jechaliśmy w milczeniu. Spojrzałam na niego kilka razy, podziwiając jego zręczność trzymania się na koniu, który co do rasy równał się mojéj siwce.

Na ten temat rozpoczęła się nasza rozmowa, która, jak mi się zdawało, wcale nie odpowiadała temu, o czém chcieliśmy rozmawiać.

Dotarliśmy wreszcie do małego wzgórza, otoczonego wysokiemi sosnami. Sosny stały niegęsto, a przez nie można było widzieć piękny krajobraz z daleką perspektywą. Na piérwszym planie rysowały się drzewa naszego dworu, przecięte w głębi białą wstęgą rzeki, po za którą, w coraz dalszych odstępach, majaczyły błękitnawe zabudowania sąsiedzkich wiosek. Po za niemi ginęła w oddali niezmierzona równina, zlewająca się z niebem, po którém w téj chwili płynęły małe obłoczki, jak stadko baranków, szukających wonnéj paszy.

Na tém wzgórzu lubiłam odpoczywać w moich wycieczkach. Powiedziałam o tém mojemu towarzyszowi. Wyprzedził mnie, aby znaléźć najwygodniejszy przystęp na to wzgórze.

Za kilka chwil byliśmy pośród sosen, które, jak straż przyboczna, otoczyły nas dokoła. Obaczyłam

zdala wyrostka, zbierającego gałęzie. Zawołałam na niego, aby przyszedł potrzymać konie. Mój towarzysz stał już przy mnie na ziemi, podając mi rękę do pomocy. Skoczyłam bez téj pomocy, a oddawszy mu cugle, podeszłam do pniaków, na których zwykłam siadywać.

Zaczęłam mówić o ładnych widokach, o rozkosznych sosnach i o tym tajemniczym świecie, jaki wydawały żywicą woniejące iglice.

Pan Jerzy odpowiadał z pewnym uśmiechem zagadkowym, jakby na coś innego czekał. Stał on dotąd przedemną z uszanowaniem, o parę kroków oddalony. Spojrzenia jego suwały się po ziemi, zatrzymując się od czasu do czasu na moim prunelowym buciku, który ciekawie wychylał się z pod amazonki. Spostrzegłam to i cofnęłam go pod grube zwoje szafirowéj tkaniny.

— Niech pan usiądzie,—rzekłam z uśmiechem— bo nie lubię, jeśli kto z góry na mnie patrzy.

— Zastosuję się do życzeń pani — odpowiedział, wybierając u mych nóg najniższy pieniek drzewa. Wyglądał teraz, jakby przy mnie siedział na podnóżku.

Wpłynęło to jakoś dziwnie na mnie. Ogarnął mię niepokój jeszcze większy, do czego przybyła pewna niecierpliwość tego, co teraz nastąpić powinno.

Po kilku banalnych zwrotach o słońcu, pogodzie i sosnach, nastąpiła dłuższa pauza, śród któréj sły-

szałam własne bijące serce. On patrzał na mnie w milczeniu, jakby czegoś oczekiwał, chociaż właściwie była to moja rola.

— Chciałabym, abyś mi pan na jedno pytanie otwarcie i szczerze odpowiedział — rzekłam po niejakim czasie.

— Czekam rozkazu — odpowiedział z miną giermka, patrzącego na swoją królową.

— Jak pan sam teraz widzisz, ustronie i cała okolica niebardzo ciekawe. Życie we dworze jednostajne, brak wszelkich rozrywek. Sąsiedzi skromnych fortun, zapracowani, rzadko nas odwiedzają, a nawet niebo jest tak spokojne, że od wielu miesięcy nie było ani burzy, ani piorunów i błyskawic. Cóż mogło wpłynąć na pana, żeś dobrowolnie przyłączył się do nas, aby z nami te straszne nudy podzielać?

Pan Jerzy patrzał na mnie chwilkę. Potém zaczął zwolna:

— Zbyt łatwa odpowiedź na to. Z rąk naszych wyrywa się zagon rodzinny, jeden po drugim i przechodzi w posiadanie obcych ludzi...

Nastąpiła długa pauza. Nie spodziewałam się takiego zwrotu. Jakkolwiek stary Ligęza często o czémś podobném mówił, było to w téj chwili dla mnie prawdziwą niespodzianką.

Są chwile w życiu, osobliwie kobiety, w których wielkie i podniosłe rzeczy tchną pewnym dla niéj

dysonansem, jakim może być nawet marsz żałobny Chopina, przy tkliwéj, sielankowéj piosence.

Czy nasz świat jest ciaśniejszy od męzkiego, czy tylko ta ciasnota narzuconą nam jest przez wychowanie, to jednak pewna, że najmilsze są dla nas niektóre ustronia życia, do których nie dochodzą żadne wielkie burze i gromy spraw publicznych. To też wysoki nastrój odpowiedzi pana Jerzego sprowadził mimowolną pauzę, z któréj trudno było odgadnąć, czy ja do niego się dostroję, czy on się zniży do mnie.

— Tak, — rzekłam po długiéj pauzie — pan przyszedłeś z panem Ligęzą właśnie w chwili takiéj, w któréj ważyły się nasze losy. Powiedz mi pan jednak szczerze, czy, oprócz społecznych względów, nie miałeś pan żadnych innych powodów do ratowania naszego mienia?

Pan Jerzy spojrzał badawczo na mnie.

— Jestem przekonany, że pani nie przypuszcza, abym miał jakie podstępne zamiary...

— Ależ nie, nie — odpowiedziałam żywo, trącając go w ramię rękojeścią szpicruty — nigdy o tém nie myślałam... Sądziłam tylko, że pan...

— Że ja?...

— Że pan, widząc mnie płaczącą... ulitował się nad biedną sierotą!

Poczułam łzy w oczach i szybko zasłoniłam chustką twarz, aby tych łez nie okazać. Na mojéj ręce

spoczęła teraz jego ręka. Dotykał się jéj delikatnie, jakby czegoś bezcielesnego.

— Uspokój się pani—przemówił do mnie miękkim głosem — bo chwile takie są dla nas bardzo niebezpieczne. Możemy nieraz żałować tego, cośmy w takich chwilach wyrzekli lub zdziałali... a najczęściéj przemijają one, jak owe sny i marzenia, które brzask dzienny rozprasza!

Usta jego dotknęły się teraz zlekka mojéj ręki.

Otworzyłam szeroko oczy i spojrzałam zadziwiona. Po słowach jego nie spodziewałam się jeszcze takiego końca. Schwyciłam go ra rękę.

— Pan powiedziałeś w téj chwili więcéj, niżeliś zamierzył — rzekłam z pewną rozkoszną gorączką— kobieta potrafi to zrozumiéć.

Ciemny rumieniec przemknął po jego twarzy.

— Nie jest to bynajmniéj w naszym interesie — ozwał się z uśmiechem — abyśmy byli przed czasem zrozumieni. Nie mogę się jednak wyprzéć tego, że i osobiste powody odegrały wtedy pewną rolę, gdym ojcu moje propozycye przedstawiał. Łzy w pięknych oczach mają także swoje prawa.

Mówił to z galanteryą rycerza średniowiecznego, patrząc na mnie z głęboką czcią. Chciałam go wziąść za rękę, ale on wysunął ją aż do końca moich paluszków, na których złożył lekki pocałunek.

Byłam mu teraz sercem tak blizką, a jednak zachowanie się jego kazało mi zatrzymać się w pewnéj

oddali. Chciał on widocznie, jak rycerz średniowieczny, zatrzymać się na granicy owéj czci i adoracyi, która prowadziła go na dzikie przygody, turnieje i śmierć w imię królowéj serca, ale do niéj saméj nigdy go nie zbliżyła.

— Więc przyznajesz pan — rzekłam po chwili — że i łzy moje przyczyniły się do tego, coś pan względem ojca postanowił...

— Mówiłem, że się tego nie wypieram.

— Obawiam się, czy pan tych łez nie okupił za drogo?

— Nie ma tak wielkiéj fortuny, którejbym za nie nie był dał...

— Pan nie wiesz, ile szczęścia dałeś mi w téj chwili.

— Tak szczęśliwą, może panią każdy inny uczynić, używszy podobnego frazesu... Ja zaś chciałbym...

— Co pan chciałbyś?

— Chciałbym, abyś pani była tak szczęśliwą, żeby tém szczęściem i ktoś drugi mógł się podzielić...

— Wyznaję panu, że już teraz tak jestem bogatą w to, co szczęście stanowi... i tak mi pełno w sercu i duszy...

— Że mogłabyś nawet połowę odstąpić...

— Temu, który tyle szlachetności dla ojca, a współczucia dla łez nieszczęśliwéj sieroty okazał!

Uczułam teraz szum w uszach, a sosny zaczęły koleją przechodzić przedemną. Gorący prąd powie-

trza rozsadzał mi piersi, a całą moją postać otoczyła płomienna atmosfera. Czekałam chwili, w której i on wejdzie w tę atmosferę gorejącą i razem ze mną stopi się w nową, niewysłowienie szczęśliwą istotę!...

Czekałam chwilę napróżno; gorzałam sama jedna.

Gdy wkoło mnie nieco się rozwidniło, ujrzałam go stojącego u nóg moich. Stał, zatopiony w czci i adoracyi, jakby patrzał na widmo niebieskie, którego nie chciał spłoszyć... Po chwili nachylił się i wziął mnie za rękę.

— Pozwól pani — rzekł drżącym głosem — że te słowa zachowam w głębi mojéj duszy, jako jedyny talizman mego szczęścia. Będę odtąd cieszył się nim, jak skąpiec cieszy się swoim skarbem ukrytym. Będę go oglądał w chwilach największych smutków i boleści, a w zwątpieniu będę się krzepił jego blaskiem cudownym!... Tych słów będę strzegł z zawiścią i nikt mi ich nie wydrze... a zgłoszę się wtedy do pani z niemi, gdy czas stosowny nadejdzie.

I ucałował końce palców moich z taką czcią i adoracyą, jakby całował krawędź cudownego obrazu.

Nie odpowiadało to moim nadziejom i wyobrażeniom o miłości, jakie wysnułam sobie w wyobraźni mojéj z przeczytanych książek i rozmów starszych koleżanek. Mimo to uczułam w duszy pewną błogość i zdawało mi się, że jako wyższa nad zwykłe kobiety, unoszę się w podniebne mgły i etery... Byłam

pewną, że gdy wieczór nadejdzie, zawisnę tam gwiazdką pięciopromienną, w którą wpatrywać się będzie mój rycerz zakochany...

Nie wiedziałam że to podniosłe uczucie, jakie wywołały w mém sercu niezwykłe słowa Jerzego, było dopiéro wstępem do nieznanéj mi krainy, wstępem tém ciekawszym, że mi odrazu wszystkiego nie odkrywało.

Już nie wiem, jak się to stało, że za chwilę siedzieliśmy oboje na koniach. Puściłam cugle siwce, która jak strzała pomknęła naprzód. Zdawało mi się, że od czegoś uciekam lub za czémś gonię, czego dogonić nie mogę. Jedno i drugie uczucie napełniało mię takim niepokojem, że ten niepokój wydawał mi się najwyższém szczęście.

Tylko Farys mógł być tak szczęśliwym.

Wszedłszy do mego pokoju, rzuciłam się na sofę. Siły moje wyczerpały się. Zasłoniłam rękoma oczy, aby światła dziennego nie widzieć, aby jak w nocy śnić o tém, o czém niedawno na jawie śniłam!

A był to w istocie sen tylko, sen, który wstrząsnął wszystkiemi memi nerwami. Wiele rzeczy było mi w nim nieujętych, niedopowiedzianych, ale niepokój, który mną miotał, obiecywał mi, że będą kiedyś ujęte i dopowiedziane.

Długi czas siedziałam w tém rozkoszném odurzeniu, gdy się drzwi otworzyły. Wszedł ojciec. Zdawał się czemś zmartwionym. Nie spojrzał na mnie,

tylko w milczeniu przeszedł się kilka razy po pokoju. Wreszcie zatrzymał się przedemną.

— Moja Aneczko — rzekł do mnie, nie odrywając oczu od ziemi — chciałbym z tobą pomówić.

Uczułam rumieniec na twarzy, chociaż nie wiedziałam jeszcze o co mię ojciec zapyta. Ojciec nie patrzał wcale na mnie.

— Czy nie uderza cię co w naszém dzisiejszém otoczeniu, moja Anetko?

— Nie wiem, o czém ojczulko mówi — odpowiedziałam z niepokojem.

— Wiesz, że przybył do naszego domu obcy człowiek...

— Czy mówisz, ojczulku, o panu Jerzym?

— O panu Barskim.

— Dlaczego, ojczulku, nazywasz go obcym, gdy on już tak długo jest razem z nami?

— Tak, ale zawsze nie jest nam ani krewny, ani powinowaty.

— Może więcéj niż krewnym, bo bardzo życzliwym... przyjacielem!

Ojciec spojrzał na mnie z uśmiechem.

— W stosunku do nas nazywa się takich ludzi inaczéj. Zgadzam się jednak z tobą, że w istocie jest on naszym przyjacielem, ale właśnie ta jego gorąco okazywana nam przyjaźń zaczyna mnie w końcu niepokoić. Czy ty nic nie przeczuwasz?

Zaparłam oddech i spojrzałam w milczeniu na ojca.

— Jesteś młodą i nie masz takich, jak ja, doświadczeń. Mimo to, wpadło ci zapewne w oko, że pan Barski zbyt gorliwie nami się opiekuje. Nawet nie wiész o wszystkiém. Nietylko, że podjął się trudnéj sanacyi naszego majątku, nietylko, że znaczną kwotę wyliczył Gotsonowi, a jeszcze znaczniejszą w gospodarstwo włożył i inne najpilniejsze pospłacał długi, ale dba coraz więcéj o nasze wygody. Upiększa, restauruje i stawia, a wczoraj zaproponował mi nawet pewną kwotę, gdybym chciał z tobą wycieczkę zrobić, abyś się rozerwała.

— Zacny, poczciwy!

— Otóż ta zacność jego wydaje mi się podejrzaną

— Co mówisz, ojczulku?

— Przegląda po za tém jakiś osobisty interes.

Uderzyła mi krew do twarzy.

— Życzliwość jego — mówił daléj ojciec — jest zawsze zagadkową. Z platonicznéj życzliwości nie stawia się znaczniejszego kapitału na kartę. Wkładać w gospodarstwo, to znaczy grać w loteryę. Można zarobić, można przegrać.

— Zdaje się, że pan Jerzy obliczył dobrze — wtrąciłam nieśmiało.

— I ja wierzę, że obliczył dobrze, ale — dla siebie.

Poczułam łzy w oczach.

— Czy sądzisz, ojcze, że pan Jerzy nie chciałby nic dla nas uczynić?

— Jesteś naiwną. Każdy sobie rzepkę skrobie!

— Jakiż miałby w tém cel?

— Własny interes. Wkłada znaczne pieniądze w melioracyę naszego majątku, aby go potém nam zabrać!

— Jakto, zabrać?

— Policzy sobie wkłady i pretensye, których ja nie będę mógł spłacić.

— A potém?

— Potém... drogą sądową lub dobrowolną umową zabierze nam całe mienie!

Zerwałam się na równe nogi i rzuciłam się z głośnym śmiechem w objęcia ojca. Myślałam, że ojciec co innego powié.

— O, bądź spokojny, kochany ojcze! — zawołałam, całując jego ręce—bądź o to zupełnie spokojny! Pan Jerzy jest najzacniejszym człowiekiem, jakiego znam na świecie. Poznałam go dobrze i sądzę, że i ty, ojcze, wkrótce go lepiéj poznasz i ocenisz.

— Mówisz, jak prorok, moja Aneczko — odpowiedział ojciec w lepszym humorze — dałby Bóg, aby to prawda była!

VIII.

Po téj rozmowie nastąpiły dni jasne, pogodne. Byłam pewną, że ojciec z moich słów coś wyrozumiał, a reszty się domyślił, tak samo, jak i ja domyślałam się wiele z ostatniéj z Jerzym rozmowy.

I nastąpiło między nami dziwnego rodzaju porozumienie. Byliśmy wszyscy przekonani, żeśmy już sobie wszystko wypowiedzieli.

Ojciec, jak przedtém, był w dobrym humorze i często mnie w głowę całował. Było to, jakby ciche zezwolenie na to, o czém teraz marzyłam.

Tak samo mógł sobie pan Jerzy wytłómaczyć moje postępowanie, jak ja w jego słowach i zachowaniu się widziałam tylko ciąg dalszy tego, co mi w owym czasie na wzgórzu powiedział.

Były to w ogóle chwile wyczekiwania, najprzyjemniejsze, jakie są w naszém życiu.

Kochałam Jerzego, chociaż ta miłość inaczéj wyglądała od tego, co mi moje starsze koleżanki opowiadały. Byłam pewną, że i Jerzy mnie kocha, chociaż mi tego tak wyraźnie nie powiedział, jak to w książkach czytałam.

Sercem, marzeniem byliśmy bliżéj siebie, ale słowa nasze zatrzymywały się na pewnéj granicy względów towarzyskich. Więcéj mówiły nasze spojrzenia, nasze witania się na dzieńdobry, a pożegna-

nia na dobranoc, słowa jednak zostawały zawsze daleko po za tém.

Może to i lepiéj było. Był w tém jakiś urok, jakiś czar niewysłowiony. Tajemnicza zasłona kryła wspólną przyszłość naszą, a tylko marzenia nasze, jak złotoskrzydlne motyle, dotykały się téj zasłony. Czasami jakieś śmielsze słówko lub spojrzenie trąciło o nią, a sprawiony szelest czynił nam rozkosz niewymowną.

Taki był stan mojéj duszy i mego serca, chociaż napozór inaczéj to wyglądało. Pan Jerzy stał zawsze na granicy czci i uwielbienia, ale pozwalał mi w swojém zachowaniu się wiele czytać. Jako starszy, otoczył mię męzką opieką, jakby mnie chciał do mojéj przyszłéj roli przysposobić. Objaśniał mi różne gałęzie gospodarstwa kobiecego i zachęcał do wprawy.

Umiał to wszystko tak przedstawić, że nie dostrzegłam prawie owéj chropawéj strony rzeczywistości. Niektóre zatrudnienia uważałam za rozrywkę. Chodziłam na gumna, zaglądałam do stajni i byłam obecną przy pojeniu bydła. Wiedziałam, co utrzymanie inwentarza kosztować może i jakie są z niego zyski. Zaznajomiłam się z prowadzeniem ogrodu i umiałam na pamięć nazwy nasion, które uprawiać można na potrzeby domowe lub na sprzedaż.

Ta praktyczna nauka sprawiała mi prawdziwą rozkosz. Być może, że sama nauka nie byłaby dla mnie tak ciekawa, gdyby nauczycielem nie był sam

Jerzy. Gdyśmy razem obchodzili gospodarstwo, zwiedzali gumna i ogrody, było mi tak przyjemnie, jakbym się znajdowała na wykwintnym raucie, o jakich opowiadały mi na pensyi starsze koleżanki. Wszystko wtedy zajmowało mnie, każda drobnostka nabierała pewnego uroku, gdy on o niéj mówił. Umiał przytém coś dowcipnego lub żartobliwego powiedzieć, co nas oboje utrzymywało w wesołym humorze. A gdy do tego dodam różne przeszkody, jako to: wysokie progi, rowy, kładki i przełazy, przyczém podawał mi rękę, a czasem nawet mnie przenosił, to łatwo zrozumieć, że z niemałą tęsknotą oczekiwałam zawsze takich wędrówek po gospodarstwie.

Wydarzało się często, że troskliwy o moje delikatne zdrowie, proponował mi w stosownych miejscach odpoczynek. Było to najczęściéj przyjemne ustronie w ogrodzie, pod szumiącym nieustannie świerkiem, albo przy krynicy za gumnami, z któréj płynęła woda, tworząc poniżéj mały stawek. Wtedy siadałam na pniu wywróconym lub na trawie, a on zawsze z czcią i adoracyą stał u nóg moich.

Uważał to za wielką łaskę, gdym mu pozwoliła skręcić i zapalić papierosa. Mawiał wtedy z uśmiechem, że wszelka uboczna rozrywka mężczyzny wobec kobiety ubliża jéj. Ona, jako słońce życia, powinna wszystko pociągać do siebie, tak, jak słońce wszystkie rośliny, trawki, krzewy i drzewa niebo-

tyczne do siebie pociąga i tylko na siebie patrzéć im każe.

Takie wypoczynki były najczęściéj poświęcane kwestyom, dotykającym zaledwie zlekka wielkiego tematu życia ludzkiego, jakim jest miłość, a przerywane najczęściéj ucałowaniem moich drobnych paluszków, poczém następowała wspólna ucieczka do dworu, jakby przed grożącém jakiém niebezpieczeństwem. Przed czém uciekaliśmy, nie wiem, ale wiedziałam, że on głównie na taką ucieczkę wpływał.

Raz nawet potrąciłam w rozmowie o to.

— Zaczynam się czegoś obawiać, — rzekłam, siedząc na trawie pod świerkiem — może mi pan tę obawę wytłómaczy?

Spojrzał na mnie owém głębokiém spojrzeniem, którém aż w głąb' mego serca wnikał.

— Tak długo jesteśmy już razem, — mówiłam daléj, niepokojona owém spojrzeniem — tak wiele rozmawialiśmy z sobą i tak dobrze, jak mi się zdaje, znamy się, a jednak jest coś między nami, co mnie trwoży i przestrasza. Gdybym była skłonną do halucynacyi, widziałabym może wykopaną między nami przepaść.

Jerzy spoważniał i wpatrzył się we mnie.

— Być może, — odrzekł — że i ta przepaść istnieje, tylko, że oczy pani jéj nie widzą jeszcze.

Chwyciłam go spazmatycznie za rękę.

— Nie, nie, nic niéma między nami i nigdy nic

nie będzie, a jeśli się czego obawiam, to tylko téj próżni... téj przestrzeni, dotąd niczém nie wypełnionéj!

Uśmiechnął się z pewnym smutkiem.

— Próżnia, któréj się pani obawiasz, istnieje rzeczywiście, ale jest ona tylko dla pani. Od pani tylko zależéć będzie wypełnić tę próżnię, co zazwyczaj szczęściem nazywamy.

— Przecież możesz pan liczyć na mnie — podjęłam szybko...

— I nawet liczę, bo bez tego czułbym się nieszczęśliwym...

Z twarzą zarumienioną pochylił się ku mnie i ucałował z adoracyą końce moich paluszków.

Zatrzymałam jego rękę.

— Teraz i zawsze możesz pan liczyć, a każda zmiana byłaby i dla mnie wielkiem nieszczęściem!

Wejrzenia nasze spotkały się. Słów już nie było nam teraz potrzeba.

Jerzy odetchnął głęboko, jakby się ze snu obudził.

— Śniłem rozkosznie,—rzekł miękkim głosem— ale sny nasze są często niepochwytne i często rozbijają się o zapory rzeczywistości. Do szczęścia potrzeba pierwéj drogę dobrze wydeptać, aby potém nie zbłądzić na bezdrożach... Serca są częstokroć kapryśne, wpływają na nie okoliczności i wypadki... a wtedy każda zmiana może się stać bardzo bolesną... Otóż na wypadek zmian takich zacho-

wałem tę przestrzeń, która dotychczas jest między nami.

— Jakto, pan mógłbyś?

— Mowa być może tylko o pani.

— Mniemasz pan, że ja mogłabym...

— Pani jesteś młodą... Patrzysz na świat zarumienionym blaskiem jutrzenki i jesteś pewną, że ten różowy blask na cały dzień pozostanie! A jednak stać się może, że gdy słońce zejdzie w okazałych blaskach swoich, zapomnisz o różowéj mgle minionéj jutrzenki!

Zasmuciła mnie myśl, w tych słowach ukryta.

— Czy zasłużyłam sobie na to? — rzekłam z wyrzutem.

Pochwycił mnie za obie ręce.

— Nic nie mówię, — przerwał z pewném rozdrażnieniem — nic nie powiedziałem, coby pani ubliżyć mogło... Pragnę tylko szczęścia pani, szczęścia, któregoby nic zamącić nie mogło! A do niego prowadzi tylko droga pewna, choć dłuższa, z któréj wiele innych rzeczy obaczyć możemy, nie zbaczając jednak do nich!... Pani możesz jeszcze wiele obaczyć... Po cóż wiązać się wyraźniejszém słowem, które potém łamać potrzeba?

Łzy zalały mi oczy, chciałam je rękami zasłonić, ale nie mogłam ich podnieść. Trzymał je silnie, jakby chciał liczyć przyspieszone tętna mego serca... Przez powłokę łez widziałam twarz jego czerwoną, jak

bronz rozpalony... Czułam gorąco téj twarzy i zdawało mi się, że coraz więcéj zbliża się do mego czoła...

Gruba, nieprzejrzysta mgła pokryła teraz moje oczy, wszystko pociemniało przedemną, a jednak na tém ciemném tle zapalały się gwiazdy, biegły komety z ognistemi włosami, spadały meteory z ogniem bengalskim i wyginały się tęcze różnobarwne... A widok ten sprawiał mi taką rozkosz, że za przedłużenie téj rozkoszy mogłabym oddać całe życie!

Mimo chęci mojéj, przerwało się urocze widzenie; otworzyłam oczy, aby obaczyć, że to wszystko było złudzeniem!

Siedziałam pod świerkiem, przedemną stał Jerzy i trzymał mnie za obie ręce. Oczy jego pałały niezwykłym ogniem i patrzały na mnie nieruchome, jak oczy posągu. Uczułam niepokój, wstałam szybko i zwróciłam się ku dworowi. Jerzy postępował za mną w milczeniu.

Jak zawsze, tak i teraz, zdawało mi się, że przed czémś uciekam lub za czémś gonię, czego może nigdy w życiu nie pochwycę!

IX.

Ten dzień pozostał mi w głębokiéj pamięci. Gdy sama w pokoju byłam, gdy się wszystko we dworze uciszyło, wracałam pamięcią do tego dnia, który dzi-

wną rozkosz pozostawił w mojém sercu. Wracałam do niéj w marzeniach moich i wysnuwałam z niéj dziwne, urocze obrazy. Karmiłam się niemi, jak się karmi dziecko łakociami i upajałam się, jak się upaja młoda roślina promieniami słońca, pod któremi dojrzewa.

Płynęły znów dnie i miesiące, a każdy dzień dorzucał pokarmu dla moich marzeń dziewiczych.

Proboszcz nie miał teraz dosyć słów na moją pochwałę.

Mówił, żem się zmieniła na bardzo rozsądną i gospodarną pannę. Zachwycał się mojém zamiłowaniem do gospodarstwa i wróżył mi pogodną przy pracy przyszłość. Zdaje się, że wiedział o dzisiejszych marzeniach moich, bo uśmiechał się dobrotliwie, gdy o nie jakie przypadkowe słowo potrąciło.

I powoli zaczęła się przedemną rozjaśniać cała przyszłość. Zatrudnienia moje codzienne pozostały te same, tylko co dzisiaj miało cechę nauki, było w przyszłości obowiązkiem gospodyni.

Nie był to zbyt obszerny i urozmaicony widnokrąg życia, o jakim opowiadały mi koleżanki lub czytałam w książkach — ale przyzwyczaiłam się do niego i byłam pewną, że wystarczy mi na całe życie.

Wiara ta była tém silniejszą, że dotąd nie odkryto przedemną rzeczywistych czynników tego życia, które, jako urocza panorama, w dali przedemną majaczyło.

Mały ten światek, dzięki Jerzemu, rozszerzył się jeszcze więcéj. Gdy w polach roboty pokończono, gdy piérwsze zżółkłe liście zaczęły pokrywać zielony dywan pod świerkiem, wynalazł dla mnie Jerzy nowe zajęcie.

Naukę gospodarstwa i obcowanie z naturą miało zastąpić obcowanie z ludźmi.

Przez kilka dni, przy pomocy proboszcza, rozmawiał Jerzy bardzo wiele o stosunku i obowiązkach dworu do ludu wiejskiego. Wykazywał potrzebę wspólnego pożycia, aby ten młodszy brat coś z cnót starszego i wyższéj jego oświaty mógł skorzystać. Przechodził dzieje nasze i utyskiwał, że brak tego wspólnego pożycia dworu z ludem wiejskim umożliwił katastrofy, które kraj tak boleśnie dotknęły.

Mówił daléj, że i dzisiaj ta sama obojętność tradycyjna zostawia lud wiejski zdala od dworu, na wyzysk przewrotnych jego doradców.

Mianowicie na kobietach z dworu, ciąży obowiązek zbliżenia się do ludu wiejskiego, czy to radą światlejszą, czy pomocą dobroczynną, czy rozniecaniem w ciemnych chatach więcéj światła dziennego. Każdą taką opiekę przyjmuje lud z wdzięcznością, a gdzie to uczucie serca rozgrzewa, tam można wiele zdziałać.

Po takich akademicznych rozprawach zwrócono się do mnie z różnemi wnioskami. Jerzy proponował, abym się zajęła szkółką wiejską, jako opiekunka dobrych i pilnych dzieci.

Miałam czasem szkołę odwiedzać, a pilnym i biednym dzieciom rozdawać drobne podarunki.

Wiele jeszcze w téj materyi rozmawiano i różne czyniono propozycye. Podobało mi się to wszystko, bo świat mój mały stawał się szerszym i więcéj urozmaiconym, a zasługą Jerzego było, że tak samo, jak niedawno gospodarstwo, nowe moje obowiązki pokochałam.

Ojciec nie brał udziału w tych naszych rozprawach. Od niejakiego czasu usuwał się od naszego towarzystwa, poświęcając się wyłącznie wyroczniom różnych pasyansów. Zaledwie zjadł z nami obiad lub wypił herbatę, zasiadł przy bocznym stoliku, na którym leżały stosy kart różnego formatu. Układał je ze zręcznością krupiera w rozmaite figury geometryczne. Posuwał i przemieniał według pewnych systemów, oczekując ostatecznéj wyroczni. Czy sobie przytém co zamyślał, nie wiem; zdaje się, że bez żadnéj myśli układał je z przyzwyczajenia. Był w stanie cały dzień siedzieć przy swoim pasyansie, co tém łatwiéj było, gdyż Jerzy uwolnił go od zajęć gospodarskich. Nad swego pasyansa nie widział on już teraz nic więcéj, a nawet o mnie często zapominał.

Pozostawiona sama sobie, mogłam do woli sobą rozporządzać. Miałam wiele czasu i mogłam z niego wiele nowym zajęciom poświęcić. Odwiedzałam szkółkę, rozmawiałam z dziećmi, nagradzałam pilne, a biedne wspierałam.

W niedzielę po obiedzie zbierałam starsze u siebie i przy fortepianie uczyłam je pieśni chóralnych, w czém mi proboszcz i sam nauczyciel gorliwie dopomagali. Urządzałam dla nich małe zabawy, a patrząc na ich wesołe twarzyczki i oczy we mnie wlepione, zdawało mi się, że jestem ich królową.

Od dzieci, bardzo blizko do rodziców. Wiedziałam, jak się nazywają i nieraz odwiedzałam ich w chatach. Dla chorych miałam lekarstwa, radę dla potrzebujących porady, a zasiłek dla biednych.

Często towarzyszył mi w tych wycieczkach Jerzy. Rozmowa jego odsłaniała mi coraz piękniejsze strony takich wycieczek. Poczęte z obowiązku, stawały się teraz coraz większą przyjemnością. Mały mój świat zapełniał się coraz więcéj, a wybujałe niegdyś marzenia moje zaczęły się powoli do tego małego świata układać.

X.

Piérwszy szron zwarzył moje kwiaty, nad któremi właśnie miałam ochotę zapłakać, gdy nagle ozwała się przed bramą trąbka pocztowa. Wyjrzałam przez bezlistne łodygi. Z pocztowéj karetki wyskoczył już niemłody mężczyzna i zapytał o ojca.

Zakłopotany Franciszek zapytał o godność, ale gość ofuknął go, że tu nie chodzi o godność, ale o interes.

Ogarnął mnie niepokój. Prócz kilku dzisiejszych sąsiadów, nie odwiedzał nas nikt z obcych. Ktoby był ten jegomość, z jakim przyjechał interesem? — były pytania, które biegały mi po głowie. Na domiar tego, z bocznéj alei wyszedł Jerzy, z twarzą niemniéj zaciekawioną. Spojrzał na mnie badawczo, czy czego odemnie się nie dowié? Tak samo patrzałam na niego, czekając na rozwiązanie zagadki, która mię niepokoiła.

Nie mając na razie odpowiedzi, odłożyliśmy ciekawość naszą na późniéj. Weszliśmy oboje do alei i zaczęliśmy mówić o rzeczach niby codziennych, które jednak zawsze potrącały rozkosznie o blizką naszą przyszłość. On patrzał z uwielbieniem, a codzienne sprawy życia nabieraly w takiém oświetleniu niezwykłego uroku.

Dzisiaj jednak spostrzegłam w jego spojrzeniu jakąś mgłę nieprzejrzystą. Nie patrzał wprost na mnie, ale na coś, co między nim a mną wisiało w powietrzu.

Byłżeby ów nieznany jegomość nowym wierzycielem? Miałyżby jego pretensye sprawić Jerzemu nowe kłopoty?

Rozmowa nasza urywała się co chwila. Oboje byliśmy zamyśleni. Jerzy chciał się weseléj nastroić, ale to mu się nie udawało. Zdawało się nam, że coś wisi nad nami, co przeczuwamy, ale czego nie widzimy.

Wreszcie nadbiegł Franciszek i oznajmił, że ojciec woła mnie do siebie. Podałam rękę Jerzemu. Ścisnął ją mocniéj, niż zwykle, a nawet dłużéj ją trzymał, niż to było w jego zwyczaju.

Jak spłoszona sarna, wybiegłam z ogrodu.

W pokoju ojca ujrzałam nieznajomego, wyglądał on na zwykłego mieszkańca miasta, ale mój ojciec był za to dzisiaj niezwykłym.

Gdybym go była gdzieindziéj ujrzała, nie byłabym poznała. Nie wyglądał on teraz, jak ów staruszek przygarbiony, siedzący nad pasyansem, z twarzą zwiędłą i pomarszczoną...

Był to mężczyzna w sile wieku, wyprostowany po żołniersku. Twarz miał młodszą o lat dwadzieścia, zagasłe dawniéj oczy mocno rozpłomienione, a nawet szpakowate włosy przybrały ciemniejszą barwę. Chodził elastycznym krokiem po pokoju i uśmiechał się, jak człowiek w ekstazie największego szczęścia.

Nieznajomy siedział spokojnie, bębniąc palcami po stole. Patrzał chwilami na ojca, a z niego spuszczał oczy na stół, na którym leżały jakieś papiery.

Stałam kilka chwil przy progu, nie mogąc sobie tego wytłómaczyć, co widzę. Ojciec schwycił mię za rękę.

— Anetko, — rzekł do mnie z gorączkowym oddechem—wygraliśmy wielki los! Przywiózł go nam mój dawny znajomy, dzisiaj piérwszy prawnik w całym kraju!

Nie zrozumiałam tych słów.

— Widzisz, — mówił ojciec daléj, jak gdyby w gorączce — widzisz, co to są przeczucia! Śmieliście się ze mnie, proboszcz, ty i Barski, gdym się wczytywał w „Merkurego", w numera wylosowane a dotąd nie wypłacone! Otóż między temi numerami była moja wygrana, o któréj wtedy wcale nie wiedziałem!... Gniewałem się na głupców, co o swojém szczęściu nie wiedzieli, a ja byłem najgłupszym z nich, bo o niém nawet przeczucia nie miałem.

Byłam pewną, że ojciec z powodu nowéj katastrofy popadł w obłąkanie.

— Cóż to jest? — zawołałam z przestrachem.

— A tak, przestrasza cię wielkie szczęście—prawił daléj ojciec, a oczy jego płonęły dzikim ogniem— i ja zrazu byłem przestraszony, ale teraz widzę, że to mi się należy. Nie wiem, jak dotąd bez téj wiary żyć mogłem, bo żyłem, jak pies... No, no, teraz będzie inaczéj!

Spojrzałam błagalnie na znakomitego prawnika.

— Zrobiwszy folgę niespodziewanéj radości, — ozwał się tenże z obojętnym uśmiechem — wypada pannie Annie coś bliższego powiedzieć. Oto stryjeczny brat ojca, ś. p. Krzysztof, znany bogacz, ale oraz i dziwak, zmarł właśnie temi dniami. Wiadomém było wszystkim krewnym, że ś. p. Krzysztof w dziwactwie swojém zapisał był cały swój majątek na

tak zwane cele publiczne. Jest to mania, która coraz więcéj grasuje w naszym kraju. Z krzywdą krewnych rzuca się mienie na cele niepewne, które nawet, pod niewłaściwym zarządem, przemieniają się w klęskę publiczną. Odgrywa tu rolę próżność ludzka, która tylko pewnéj liczbie próżniaków korzyść przynosi, albo ich na niewłaściwe tory popycha.

Słowa znakomitego prawnika sprawiły na mnie przykre wrażenie, bo po raz piérwszy widziałam dobroczynność w takiém oświetleniu.

Nie miałam czasu bliżéj się nad tém zastanawiać, bo znakomity obrońca prawnych sukcesorów prawił daléj po krótkiéj przerwie:

— Otóż ś. p. Krzysztof, jak sam wszystkim ogłosił, miał całe mienie swoje zapisać na dom pracy dla biednych, ale po jego śmierci, prócz niezdarnego szkicu takiego projektu, nie mającego żadnéj cechy dokumentu, takiego zapisu nie znaleziono. Przeto należy się ś. p. Krzysztofa uważać za zmarłego bez testamentu, po którym należy spadek najbliższemu krewnemu. A takim jedynym spadkobiercą jest ojciec pani!

Ojciec podrzucił głowę do góry i wspaniałym krokiem przeszedł się po pokoju. Nawet głuchoniemy byłby poznał, że to szczęśliwy spadkobierca, który nagle posiadał choćby milion!

Co do mnie, zrazu doznałam nieprzyjemnego uczucia. Zdjęła mnie jakaś obawa przed tém, co usłyszałam. Zkąd ta obawa pochodziła, nie umiałam zdać

sobie sprawy. Czyż miałam to wszystko za sen, który przeminąć może?

Stałam nieporuszona na miejscu, między ojcem a prawnikiem. Patrzałam na stół, na którym leżały tajemnicze papiery, przejmujące mię trwogą...

— Anetko! — zawołał ojciec — czyś dobrze słyszała? Posiadamy teraz co najmniéj pół miliona, a może i milion; ci, którzy, o nas zapomnieli, pękną z zawiści! Pokażę im, co umiem, nie darmo się straciło tyle pieniędzy! Wszystkich prześcignę!

Odetchnął głęboko, jak człowiek, któremu niedawno zmora pierś przygniatała.

— O tak, to mi się należy — rzekł, uderzając o stół. — Żyłem długo, jak kret pod ziemią, tylko poczciwe tałatajstwo przychodziło do mnie... A ś. p. Krzysztof?... napisał do mnie list grubiański, gdym go o pomoc prosił... Wyrzekł się mnie, mówiąc, że mnie znać nie chce, żem nie wart być jego krewnym!... Ha, ha, ha! A dzisiaj jego pieniążki przejdą do mojéj kieszeni... i będzie z grobu patrzał, jak z téj kieszeni toczyć się będą po świecie!... O, jest sprawiedliwość Bozka, jest Opatrzność! Plwał na mnie, odsądzał od czci i wiary, a dzisiaj wszystko, co zebrał, przechodzi na moją własność! O, jest Bóg, który nagradza cierpliwych!

Słowa te, z gorączką wypowiedziane, przygnębiły mnie jeszcze więcéj. Był w nich jakiś dysonans, który mnie raził, a wszystko to złożyło się, że nowego

naszego położenia należycie pojąć i ocenić nie mogłam. Myśli moje rozbiegły się, a nie mogłam ich zebrać. Pierś moją napełniały rozmaite uczucia, a były tak pomieszane, że ich rozróżnić nie mogłam.

Była to radość i trwoga, nadzieja i oczekiwanie czegoś, co się stać miało, a co się jeszcze nie stało.

Zaczęło mi się mącić w głowie, w uszach usłyszałam szum, jak w gorączce... Popadłam w zupełne odurzenie.

Usiadłam na krześle, bo nogi zaczęły mi cierpnąć.

Jakby przez sen tylko słyszałam dalszą rozmowę ojca z prawnikiem. Prawnik objaśniał ojca o toku sprawy. Spadku nikt nie zaprzeczy, chociaż pewne prawne formalności muszą być przeprowadzone. Tymczasem miał prawnik otworzyć ojcu kredyt do połowy spodziewanego spadku. Spadek miał wynosić do pół miliona, a może i więcéj.

— A teraz, Anetko, — zakończył ojciec konferencyę prawniczą — idź do kucharza i każ podać przekąskę, na jaką nas stać w téj chwili. Zawołasz także i Barskiego, bo dzisiaj wszyscy jesteśmy szczęśliwi. On także się ucieszy, bo Gotson obchodził go już jak łup spodziewany. Jest Bóg, jest sprawiedliwość Bozka!

Pobożne ostatnie słowa ojca nie pomogły mi do rozjaśnienia nowéj sytuacyi. Wyszłam, jak automat nakręcony i jak automat spełniłam dane rozkazy.

Nie miałam odwagi zejść się w téj chwili z Jerzym.

Weszłam do mego pokoju i usiadłam na sofie. Nie wiem, o czém myślałam, a nawet zdaje mi się, żem popadła w pewną bezmyślność. W głowie mojéj nastąpiła długa pauza, jak gdyby wytchnienie po gwałtownym ataku.

Gdym przyszła do siebie, spostrzegłam, że z moich oczu płyną łzy potokiem... Jaka mogła być przyczyna tych łez, nie wiedziałam. Nie było mi ani wesoło, ani smutno. Nie czułam ani żalu, ani żadnéj radości... Po cóż więc płakałam i za czém? Czy istniał jaki powód tych łez, powód ukryty przed moją świadomością? Czy to rozdroże życia, na którém teraz stanęłam, kryło dla mnie pewne tajemnice, o których sama nie wiedziałam?

Długo nie mogłam łez powstrzymać. Płynęły same z ukrytych źródeł, nie sprawiając uczucia płaczu.

Wzięłam je wreszcie za skutek zmęczenia i wypiłam szklankę wody, aby się orzeźwić. Pomogło to, a otarłszy resztki chustką, mogłam po niejakimś czasie wyjść do stołowego pokoju.

Przechodząc sienią, kazałam zaprosić Jerzego na przekąskę.

W stołowym pokoju stało już śniadanie. Ojciec mówił coś jeszcze o spadku, ale prawnik wpatrywał

się w befsztyki, z których woń drażniąca unosiła się w powietrzu.

Potrzeba posiłku odsunęła w tył dzisiejsze zdarzenie, chociaż widać było po ojcu, że je, ale sam nie wié, co robi. Oczy jego patrzały gdzieś w powietrze. Prawnik zajadał spokojnie i systematycznie. Ja nie tknęłam się jadła. Siedziałam w tém samém odurzeniu, w jakiém zostawałam od początku.

Nadszedł Jerzy. Gdy na progu jego kroki usłyszałam, ogarnęło mnie uczucie pewnéj obawy. Spuściłam oczy na talerz, aby go nie widzieć. Powitałam go lekkiém skinieniem głowy, nie odrywając oczu od swego talerza.

Byłam pewna, że ojciec lub prawnik opowiedzą zaraz Jerzemu, co zaszło. Zwalniało to mnie od obowiązków gospodyni. To jednak nie nastąpiło. Przeciwnie, nastąpiła dłuższa pauza, która dla mnie nie była miłą. Prócz przywitania, ani ojciec, ani prawnik nie wyrzekli do niego ani słowa.

Podniosłam oczy na Jerzego. Patrzał właśnie na mnie, a był bledszy, aniżeli zwykle. Z twarzy jego widać było, że o czémś już wiedział, że coś się do niego, choćby przez służbę, przedarło.

Zakończył tę pauzę ojciec, który ocknął się z chwilowego zamyślenia

— Wielka nowina, panie Jerzy! — zawołał wesoło — tém większa, że niespodziewana.

Jerzy zwrócił oczy ze mnie na ojca.

Tu opowiedział ojciec w krótkich słowach o spadku, do czego dodał prawnik kilka wyjaśnień.

— Teraz i pan możesz być spokojniejszym, — zakończył ojciec — możesz strzelać śmieléj, bo nabojów nam nie braknie.

Tu podniósł ojciec kieliszek z winem, które Jerzy sprowadził jeszcze na moje imieniny. Wkrótce jednak zamyślił się i kieliszek napowrót odstawił.

— Nie, — ozwał się po chwili — na tak radosną nowinę potrzeba innego wina. Chowałem z lepszych czasów kilka butelek. Chowałem je na wesele Aneczki, a dzisiaj, to tak jakby jéj wesele i moje zarazem. Dzień ten bowiem otwiera przed nami przyszłość, która nam się słusznie należy.

I zadzwonił na Franciszka.

Jerzy nie zmienił wyrazu twarzy. Był spokojny, jakby go to, co słyszał, wcale nie wzruszyło. Tylko nieznaczne dwie zmarszczki na rozumném jego czole okazywały, że jakaś myśl tam nurtuje. Z tym samym spokojem powitał omszałą butelkę, którą Franciszek na stole postawił i trącił potém o kieliszek z winem.

Nie dałam sobie nalać kieliszka, a gdy ojciec nalegał, odpowiedziałam z uśmiechem:

— Wino to przeznaczone na moje wesele, gdybym go dzisiaj wypiła, mogłoby mię moje wesele ominąć.

— Nie ominie, moja Aneczko! — odparł szybko

ojciec — jest Bóg na niebie, a Opatrzność jego na ziemi!

Wino rozwiązało jeszcze więcéj języki ojca i prawnika; Jerzy tylko milczał, zbywając wyrzeczone do niego słowa jednostajnym uśmiechem. Od czasu do czasu patrzał na mnie, a w spojrzeniu jego nie było wcale owéj radości, jaka przepełniała serce ojca, a po części i prawnika.

Co do mnie, byłam jeszcze ciągle pod wrażeniem piérwszego ataku, nie umiałam sobie jeszcze zdać sprawy, co po tém wszystkiém nastąpić może.

XI.

Po tym dniu nastąpiła pewna zmiana, któréj bliżéj określić nie umiem. Byli to ci sami ludzie, ale jakoś inaczéj patrzyli na siebie. Po piérwszych wybuchach zdziwienia, radości i życzeń, nastąpiło pewne omdlenie, jakaś pauza niemiła. Weszły w grę drobne zawiści ludzkie.

Zacni sąsiedzi, wyścikawszy ojca serdecznie, uczuli nagle żal do niego, że takie szczęście im się nie uśmiechnęło. Zacny proboszcz, wypowiedziawszy kilka głębokich sentencyi o krytych drogach Opatrzności, zamilkł na dłuższy czas, nie dotykając tego zdarzenia ani jedném słowem.

Najciekawszym był stary Ligęza. Wpadł, jak

bomba do nas, a wysłuchawszy wszystkiego, długo kręcił głową, jak chrząszcz, zanim do lotu się zabierze.

— No, jeżeli tak się stało, — zawołał w końcu — to się stało! Potrzeba tylko o tém wiedzieć, że z tego będzie się zdawało rachunek przed Panem Bogiem! Pismo święte mówi, że talentów nie zakopuje się bez lichwy w ziemię, ale też nie potrzeba ich wyrzucać przez okno!

Najważniejsze zmiany zaszły w naszym domu.

Służba chodziła zdziwiona i opowiadała po kątach niestworzone rzeczy. Mimo życzliwości, widać było u niéj pewną obawę, czy przy zmienionych stosunkach nie otrzyma dymisyi i nie będzie zastąpioną przez inną, wytworniejszą.

Nawet stary Franciszek zaniepokoił się. W ostatnich latach tak się już był opuścił, że więcéj był podobny do Niemca, podróżującego o żebranym chlebie, aniżeli do byłego kamerdynera. Dzisiaj i on wyprostował się i wąsy jakoś wysmarował, ale tylko ze strachu, aby, jako inwalid, nie był wyrzucony.

W pogawędce, przy rozbieraniu ojca, przypominał mu dawne czasy, jak to obaj, chociaż z pewną różnicą, chadzali po wysokich progach. Obiecywał, że i dzisiaj to będzie, niech-no tylko obaj skrzydła sobie wyprostują. Zaczął nawet o jakiéjś markizie mówić, ale ojciec machnął ręką i kazał mu buty wynieść do kredensu.

Ze mną nie rozmawiał także ojciec o tém wielkiém zdarzeniu. Zaledwie w ogólnikach dotknął téj sprawy i kończył zawsze rozczuleniem, mówiąc, że należała mi się lepsza przyszłość. Co o téj przyszłości mniema, tego jasno nie powiedział.

Piérwsze dni naszego szczęścia tém tylko zaznaczył, że z powiatowego miasta sprowadził sobie jak najlepsze cygara, w stolicy kraju zamówił koniak, maderę, oporto i kilka gatunków win francuzkich. Również wysłał do Hamburga zamówienia różnych delikatesów i konserw, aby, jak utrzymywał, było czém przyjąć nowych gości, których się spodziewał. W tym samym celu napisał do Wiednia, do dawnego swego krawca, aby mu przysłał całą wyprawę, wykwintnych, modnych ubrań.

Po tych piérwszych zarządzeniach spoczął sobie, oddając się rozmyślaniom. Chodził całemi godzinami z głową spuszczoną, jakby układał plany tajemnicze. Nie pytałam go o te plany, bo w oszołomieniu mojém, z którego jeszcze nie wyszłam, nie chciałam o niczém wiedzieć, ani słyszéć, coby na blizką zmianę wskazywać mogło. Był to sen jeszcze, który mnie upajał i odurzał, a z którego nie chciałam się przebudzić. Każde przebudzenie pociągało za sobą pytania, na które jasno trzeba było odpowiedzieć.

Jeżeli ojciec, jak kilka razy napomknął, chciał na szerszy świat wyjechać, cóżby się stało z Jerzym?

Czyby tu pozostał i jaki byłby mój stosunek do niego? Czy ojciec nie miałby teraz jakich innych planów względem mnie i jakie mogły być te plany? Czy Jerzy nia powziął także jakich innych postanowień, stosownie do zmienionéj sytuacyi naszéj? Czy miłość moja mogła dla niego zatrzymać ten sam urok, jaki dotąd opromieniał nasze wspólne marzenia? Dotąd byliśmy prawie równi sobie, czy dzisiaj nie przestraszy go moja przewaga nad nim?... A w końcu, czy ja sama, pod wpływem zmienionego położenia, nie mogę zachwiać się w dzisiejszych marzeniach moich i odwrócić się, choćby nawet z żalem, od tego, co dzisiaj moje szczęście stanowi? Przy tak niezwykłém igrzysku losu któż może ręczyć za siebie? Wielcy ludzie, bohaterowie zmieniają się pod wpływem wypadków, a cóż dopiéro mówić o słabéj kobiecie, któréj nerwy, jak struny harfy eolskiéj, odzywają się za lada powiewem wiatru?...

Wszystko to były pytania, na które potrzeba było sobie lub komu jasno odpowiedzieć, a taka odpowiedź trwożyła mię. Obawiałam się tego, jakbym przeczuwała jakieś nieszczęście.

Nie chciałam nawet myśléć o tém, bo zaraz cisnęły mi się łzy do oczu, jakby mnie przed czémś przestrzegały. Wolałam zamknąć oczy i być w ciemności.

Tak wyglądało dzisiejsze szczęście moje. Gwałtownot niepokój, jakby przeczucie czegoś niewdzia-

nego jeszcze, targał me serce, które pierś mi rozsadzić chciało. Odbywała się w niém jakaś tajemna walka z tém, co tam było, a w imię czegoś, o czém jeszcze nie wiedziałam.

Na to mógł tylko Jerzy odpowiedzieć. Jemu zostawiłam główną rolę, wierząc, że się do niéj zastosuje.

W piérwszych dniach nie miałam od niego żadnéj wyraźnéj odpowiedzi. Wypadek ten stanął tak niespodzianie między nami, żeśmy do siebie przemówić nie mogli. Wiedzieliśmy oboje, że on wiele rzeczy z gruntu zmieni, ale jaki wpływ na sprawę naszych serc wywrze, żadne z nas dotąd nie wiedziało.

Zaraz w piérwszym dniu patrzałam z uwagą na niego, ale jego twarz nie dała mi żadnéj odpowiedzi. Była ona nieco bledsza, jakby po jakiémś zmęczeniu, źrenice oczu nie były tak jasne, jak dawniéj, ale nad to nic więcéj.

Sprawy bieżącéj nie dotknął ani słowem, jakby oczekiwał aż ja sama to uczynię. Milczałam, bo nie wiedziałam, jak zacząć i na czém skończyć.

Milczenie moje niepokoiło go widocznie. Kilkakrotnie na coś obojętnego odpowiedział mi nawet z lekką ironią, ale potém wrócił do dawnego spokoju, który go nie opuścił aż do końca rozmowy.

Stał się nawet dosyć wesołym i dowcipnym, i w ogóle prowadził prawie po mistrzowsku rozmo-

wę, jaką prowadzi się w wytwornym salonie, z osobą nam obojętną.

Nie umiałam sobie tego wytłómaczyć, ale czułam się dotkniętą. Wiem, że wyższych pozycyą można czasem traktować obojętnie, podczas gdy dla równych ma się wiele serdeczności.

Czyż miałby on nagle zobojętnieć dla mnie, aby nie czuć dzisiaj mojéj przewagi? Czyż taka, zkądinąd szlachetna duma, nie staje się zwykłą pychą, osobliwie tam, gdzie drugim boleść sprawia?

Długo w nocy myślałam o tém. Moje zranione serce buntowało się przeciw niezasłużonéj obrazie. Jak on mógł owéj źle zrozumianéj dumie poświęcić to serce, które przecież kochało? Czémże jestem dla niego, jeżeli tak łatwo mógł się stać dla mnie obojętnym? Nawet widać niewiele go to kosztowało!

Rozmawiał wesoło i dowcipnie, jakby się popisywał przed jaką nieznaną damą na raucie.

Przecież mógł zaznaczyć jakiś niepokój, czy mnie ten spadek nie zmieni, czy dzisiejsza przewaga moja majątkowa nie każe mi zapomnieć o przebytéj sielance, o jakich tyle panien zapomina? Nic z tego nie okazał, jakby go to wcale nie obchodziło. Mówił, co jutro robić będzie, jakby był zupełnie obcy temu, co zaszło. Przy pożegnaniu nie uścisnął mi nawet ręki, ale wziął ją delikatnie, jak kawałek cukru w szczypczyki i zaraz puścił.

Takie myśli całą noc nurtowały mi po głowie.

Byłam zagniewana, oburzona — przysięgłam odwdzięczyć się piękném za nadobne. Dopiéro nad ranem mogłam zasnąć.

Niedługo spałam, obudził mnie szelest pod oknem. Zerwałam się z łóżka wzięłam płaszczyk na ramiona, a pantofelki na nogi i pobiegłam pod okno...

Co mi tam iść kazało, nie wiedziałam. Był to jakiś instynkt... czy może wspomnienie, że kiedyś tak samo wybiegłam do okna i nader miłych doznałam wzruszeń!... I w téj chwili przypomniałam sobie, z jaką rozkoszą stałam wtedy przy tém oknie i jak pięknym wydawał mi się Jerzy, ujrzany z pomiędzy gałęzi krzaku róży!

Jeszcze teraz widzę tę twarz męzką, owianą różowém światłem wschodzącego słońca, rozkazującą robotnikom, aby mnie nie zbudzili. A może nawet czułabym w téj chwili to wszystko, co wtedy przeszło przez moje rozmarzone serce, gdybym go tam na ścieżce ujrzała?

Na ścieżce nie było Jerzego. Ogrodnik tylko nakrywał róże na zimowe leże. Pomocnik jego przysypywał je ziemią, tworząc jakby mogiłę tego, co niedawno tak rozkosznie kwitnęło.

Na ten tak wymowny obraz ścisnęło się boleśnie moje serce.

Cóż mi tu przyjść kazało? Czemuż wspomnienie tak rozkosznéj chwili, któremu pozostałam wierną, zawiodło mnie dzisiaj? Któż był przyczyną tego

zawodu? Wszak to on nakazał ogrodnikowi dzisiaj przykrywać róże pod mojém oknem, czemuż sam nie przyszedł, aby doglądać i nakazać: żeby panienki hałasem nie budzić?

Jabym to była przez sen usłyszała i, jak wtedy, na ciepłe ramiona płaszczyk zarzuciła i stanęła przy tém oknie, aby go znów, jak przed półrokiem, w różowém świetle obaczyć.

Jakiż widok sprawił mi dzisiaj? Oto wysłał ogrodnika, aby pod mojém oknem usypał kilka mogił dla róż moich, które w lecie tak rozkosznie kwitnęły!

Czyż nie miał w tém jakiéj myśli ukrytéj? Czyż nie chciał mi dać obrazu tego, czego wymówić nie miał odwagi? Obraz ten mówi wyraźnie: Niech to wszystko, o czém śniłaś tak rozkosznie, zejdzie do grobu, do mogiły! I te róże kwitnęły w lecie tak uroczo, a dzisiaj przykrywa je ziemia na długi sen zimowy!

Jam cię kochał i śnił razem z tobą, a dzisiaj za wysokie są progi twoje, a mój kark nieugięty!...

Tak, on nieraz nawet tak się odzywał do mnie. Mówił, że szczęście tam tylko być może, gdzie mężczyzna otacza kobietę wyłączną swoją opieką, gdzie to, co potrzeba, daje jéj własną ręką, a nic od niéj dla siebie nie bierze, gdzie, co najwyżéj, równe są obopólne ich warunki.

Czyż to nie jest największy egoizm ze strony mężczyzny? Czyż to nie widoczna obawa o władzę

nad kobietą? Czyż nie czuć w tém niepokoju despoty, który chce miéć tylko poddanych i niewolników.

Takie myśli i uczucia owładnęły mię, gdym stała pod oknem. Widziałam, jak ogrodnik brutalną siłą uginał jedną różę po drugiéj i sypał nad niemi mogiły. Poczułam łzy w oczach i wróciłam do łóżka, ale nie po to, aby, jak dawniéj, śnić rozkosznie, lecz aby płakaé.

To téż płakałam długo. Serce biło gwałtownie, przejęte żalem do świata, do ludzi. Czułam się bardzo nieszczęśliwą, opuszczoną, samotną. Nie widziałam przy sobie nikogo, ktoby dłoń do mnie miłościwie wyciągnął i komubym powierzyć mogła moje smutki i marnowane nadzieje.

XII.

Przed południem wszedł do mnie ojciec z cygarem w ustach. Dawniéj nie lubiłam dymu, który mnie krztusił, ale dzisiaj z przyjemnością oddychałam tym wonnym narkotykiem. Było to bowiem cygaro z Hawanny, jakiego za mojéj pamięci ojciec nie palił. Wyglądał przytém wspaniale, bo to, co dzisiaj z dymem puszczał, nie było tak pospolite.

Jest w tém coś doprawdy, że drogo opłacane życie nadaje nam pewną wyższość nad tymi, którzy tak

drogo płacić nie mogą. Chcąc się dostroić do droższego cygara, wziął ojciec na siebie najlepsze, jakie miał ubranie, którego tylko w dniach świątecznych używał. Wobec spodziewanych garniturów z Wiednia było mu już to niepotrzebne.

Ojciec miał uśmiech na twarzy, a od wczoraj widocznie odmłodniał. Barki miał wyprostowane, ruchy dystyngowane, jak za najlepszych swoich czasów, krok elastyczny. Nawet w mowie czuć było pewną zmianę. Mieszał często frazesa francuzkie, a słowa polskie wymawiał z akcentem cudzoziemskim. Zdaje się, że dawniéj przywykł do tego, a co dzisiaj, przy towarzystwie niebardzo wybredném, powoli zatracał.

— *Ma chère!* — rzekł do mnie, całując mię w czoło — nie chciałbym bez ciebie nic robić... Ale cóż to? Jesteś jakaś blada, jakbyś wcale nie spała?

— Długo nie mogłam zasnąć.

— Tak, tak, i ja nie spałem. Nic sypiać nie mogę, odkąd ten prawnik tak wielką nowinę nam przywiózł. Zawsze mawiałem, że na świecie niéma dobrych urządzeń. Albo jest ludziom zanadto źle, albo zanadto dobrze. Po cóż było odrazu tak wiele nam dawać? Aż głowa boli, gdy myślę o tém. Nie wiem, czy wpierw pojechać do stolicy; porobić stosowne wizyty, czy odrazu wynieść się za granicę i ztamtąd dopiéro wróciwszy, powitać dawnych znajomych, którzy z zazdrością na nas patrzéć będą. Nie wiem

także, czy sprowadzić karetę z Wiednia, czy zamówić angielskie „landau"... Ale mniejsza o to, zostawmy to na później. Teraz chciałbym o czém innem z tobą pomówić.

— Słucham cię, ojcze.

— Przed chwilą był u mnie pan Jerzy, chcąc się dowiedzieć, co teraz robić zamyślam. Przy téj sposobności poznałem, żem go słusznie o pewne osobiste zamiary posądzał.

— Jakie zamiary? — zapytałam skwapliwie.

— Przypominasz sobie, co ci przed kilkoma miesiącami powiedziałem, że pan Barski chciałby ostatecznie nasz majątek posiąść i że wszystkie jego przyjacielskie zabiegi do tego zmierzają. Dzisiejsza rozmowa stwierdziła to.

— Cóż mówił?

— Pytał mnie, jak teraz chcę z nim postąpić. Czy mając dostateczne kapitały, chcę mu zwrócić poczynione zaliczki i wkłady i sam objąć napowrót gospodarstwo, czy przesiedlając się do majątku ś. p. Krzysztofa, zechcę mu za pewną dopłatą odstąpić dzisiejszy nasz majątek. Oto wylazło szydło z worka.

— Niesłusznie go oceniasz, ojcze — rzekłam z pewném oburzeniem, chociaż on w téj chwili na to nie zasłużył — krzywdę mu wyrządzasz. Pan Jerzy nie mógłby żywić tak podstępnych zamiarów... On nie obliczał naprzód, aby nas wyzuć z majątku...

On może ma jakie drobne ludzkie przywary, ale podstępnym nigdy nie był i takim być nie może.

Puściły mi się łzy z oczu i zaczęłam płakać.

Ojciec patrzał na mnie z pewném zadziwieniem.

Po chwili odgarnął mi włosy z gorącego czoła.

— *Chère enfant,* jesteś roznerwowaną. Nic dziwnego. Żyliśmy tak długo, jak w pustyni, pokrzepiając się tylko tém, cośmy z lepszego dziedzictwa mieli w sobie. Ale i dziedzictwo dwunastu przodków wyczerpuje się w końcu, jeżeli go nie zasilimy godnemi stosunkami. Dzisiaj skończyło się nasze wygnanie z raju. Pojedziemy, gdzie zechcesz, a wojaże zazwyczaj wzmacniają nerwy.

Otarłam łzy, które nie wiem, dlaczego płynęły.

— I cóż odpowiedziałeś, ojcze? — zapytałam po chwili z niepokojem.

— Nic odpowiedziałem mu nic stanowczego, bo z tobą chciałem pierwéj pomówić.

— Nie ma w tém nic pilnego — odpowiedziałam szybko — będzie na to czas, gdy się w naszém nowém położeniu rozpatrzymy.

— Masz słuszność, moje dziecię, ja mniéj więcéj to samo mu powiedziałem.

— Cóż on na to?

— Mówił, że lepiéj byłoby dla niego, gdyby się jak najprędzéj o tém dowiedział. Sądzi, że jest już niepotrzebny.

— Dlaczego niepotrzebny?

— Widzisz *chère enfant*, ludzie mają swoje słabostki. Wszedł między nas, jako zbawca chwilowy i myśmy go za takiego mieli. To napawało go uczuciem pewnéj równości z nami. W obejściu był więcéj naszym przyjacielem, aniżeli administratorem naszego majątku. Dzisiaj zmienił się ten stosunek. On sam to czuje, że dzisiaj, może być tylko moim oficyalistą. Takim zaś widocznie nie chce być. Ludzie, mający jakie takie własne pierze, nie chcą u bogatych służyć, szukając tylko spółki z równymi. Tę słabość, czy raczéj pychę niestosowną, widać także u pana Barskiego. Widocznie przymuszał się dzisiaj do pewnéj, wyszukanéj grzeczności, która mi się teraz już należy.

— Czy był dzisiaj rzeczywiście bardziéj uważającym na swój stosunek do ojca?

— Spodziewam się. Gruby pieniądz w kieszeni, to tak, jak magnes. Przyciąga tych, co z niego chcą korzystać, a odpycha pysznych, którzy się nie chcą przed nim uniżyć.

— W taki sposób — odpowiedziałam z uśmiechem — to smutnym jest dar fortuny.

— Poradzimy sobie jakoś z tym smutnym darem — zakończył ojciec.

Pocałował mnie w czoło i wyszedł.

XIII.

Rozmowa ojca dala mi wiele do myślenia. Nie wierzyłam wprawdzie jego podejrzeniom, aby Jerzy miał ukryte względem naszego majątku zamiary. Nigdy nawet o tém pomyśléć nie mogłam. Inna rzecz co do zmiany dzisiejszych naszych stosunków. To, co ojciec był powiedział, utwierdzało tylko mniemanie moje.

Jerzy mógł mnie kochać, gdy byłam mu prawie równą, gdy pracą swoją i zapobiegliwością mógł mnie podnieść na dawne nasze stanowisko, ale nie chciał stać na stopniach pałacu i patrzéć w piętrowe okna, czy mu się tam z łaski nie ukażę. Może to być duma szlachetna, ale jeśli jest większą niż miłość, to jest niegodna człowieka, który był szczerze kochany. To jest tylko egoizm, który wszystko, co wyższe, sobie poświęca, aby tylko nad wszystkiém panować.

Tak jest, nie kochał mnie więcéj, aniżeli siebie, podczas gdy ja bez żadnych zastrzeżeń oddałam mu serce moje. Byłam pewną, że mnie kocha nad wszystko, choć mi tego wyraźnie nie powiedział. Słowa uważał za zbyteczne, gdy same serca z sobą rozmawiały.

Każde jego spojrzenie, uścisk ręki, nawet słowo niekiedy żartobliwe, wszystko było dla mnie tak wy-

mowne, tak jasne. Powściągliwość jego w słowach miała dla mnie tém większy urok, że mi wszystkiego nie odsłaniała. Uważałam to nawet za wyjątkowe szczęście moje, gdyż mogłam roić i snuć daléj wątek w przecudne pasmo przyszłości. To, co u innych kończyło się formalném oświadczeniem, przeciągało się u nas, jak nić pajęcza, z godziny na godzinę, z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc. Szliśmy oboje ręka w rękę do świątyni bóstwa, na któréj progu mieliśmy wzajemną złożyć przysięgę, ale świątyni saméj nie widzieliśmy jeszcze.

Co więcéj, on na téj drodze, która już sama była rozkoszną, zapoznawał mię powoli z obowiązkami, które mnie czekały i wspólne życie nasze miały uzupełnić. Słuchałam go, jak dziecko słucha nauczyciela swego i zdawało mi się, że przy nim staję się coraz lepszą. Cóż dzisiaj z tego zostało?

Dzisiaj urywają się moje sny złote a nie umiem ich powiązać napowrót. Ręka moja zesztywniała, pajęcze nici złotych rojeń wysuwują się z niéj. A któż temu winien?

Gdyby mnie kochał, jak dawniéj, gdyby się nagle nie był zawahał przed tém, co zaszło, bylibyśmy oboje tak szczęśliwi!

On zatrzymał się nagle, gdy moje położenie się zmieniło. Chciał być rycerzem swéj damy, ale nie chciał być jéj giermkiem.

Gdyby on kochał szczerze, gdyby egoizm nie gó-

rował nad jego miłością, nie widziałby w tém żadnego poniżenia.

Po takich rozmyślaniach zrobiło mi się jeszcze smutniéj i znów zaczęłam płakać. Czułam się jakoby opuszczoną, zdradzoną. Rozżalenie moje prowadziło mię do coraz smutniejszych domysłów. Postanowiłam zachowaniem mojém dać mu do poznania, że mi ubliżył, że sercu memu niepowetowaną wyrządził krzywdę.

Postanowiłam zająć wobec niego takie samo stanowisko, jakie on zajął wobec mnie. Chciałam mu dać poznać, że i ja widzę tę zmianę, jaka dziś zaszła w naszém położeniu i nad dalszą drogą zaczynam się namyślać.

Równą bronią zmierzymy się.

Takie postanowienie uspokoiło mnie nieco. Przyczyniła się do tego ukryta pewność, że w takim razie zwyciężyć muszę. Mężczyzna musi w takiéj walce uledz kobiecie, musi się dać zwyciężyć, choćby miał rękę silniejszą i większą wprawę.

Otarłam łzy, poprawiłam włosy i przejrzałam się w źwierciedle. Byłam blada, oczy miałam zamglone. Około źwierciadła zobaczyłam pączek róży, który mi ogrodnik przyniósł, jako ostatni wysiłek zamierającéj „Gloire de Dijon". Zanurzony w wodzie, rozwinął się nieco przez noc. Wyjęłam go z kubka i wsadziłam we włosy. Był on dzisiaj w zgodzie z moją twarzą, a nawet czynił mnie podobną do Ofelii, jak

ją raz w teatrze widziałam. Szarą, pluszową chusteczkę zarzuciłam na ramiona i wyszłam do ogrodu.

Było południe. Mimo przymrozku, słońce przygrzewało łagodnie. Zbliżyłam się do ogrodnika, który róże ziemią przykrywał. Nie spostrzegłam, że tuż koło niego stał Jerzy.

Zmieszałam się, gdyż tak prędko nie chciałam go zobaczyć. Ale na to nie było już rady, nie mogłam się cofnąć.

Zebrawszy wszystkie swoje siły i przypomniawszy sobie, com postanowiła, powitałam go pierwsza, nie podając mu jednak ręki. Zaczęłam właśnie poprawiać chustkę, która mi z ramion spadała. To miało wytłómaczyć moją powściągliwość.

— Dzień dobry panu!—rzekłam, zajęta chustką.

— Dzień dobry pani! — odpowiedział z nizkim ukłonem.

Zdawało mi się, że ten ukłon był sztywny, a głos, który mu towarzyszył, głosem aktora, zastosowanym do nowéj roli.

— Czy to pan kazałeś róże na zimę pochować?

— Tak jest, pani.

— Tym razem nie myślałeś pan o tém, że ta robota rano obudzić mię może?

— Przyznaję, że nie myślałem.

— A przecież nie więcéj jak pół roku temu, gdy ścieżki gracowano, byłeś pan sam przy rozpoczęciu

roboty, aby robotnikom nakazać, by mnie nie zbudzono.

Spostrzegłam, że Jerzy przy tych słowach zarumienił się. Wnet jednak wrócił spokój na jego twarz, która była blada i nieruchoma, jak twarz wykuta z marmuru.

— Nie wiedziałem — odpowiedział z pewnym ironicznym uśmiechem — że ta robota tyle hałasu sprawić może, co gracowanie ścieżek. Czy rzeczywiście zbudzono panią?

— Na cóż zda się wiedzieć teraz o tém? Lepiéj może nie porównywać dzisiejszego dnia z tym dniem, który był przed pół rokiem?

— Nie chciałbym go porównywać, obawiając się różnicy.

— Różnica jest, ale nie mówmy dziś o niéj. Wtedy rozpoczynała się wiosna, dziś nastaje zima.

— Konieczność biegu rzeczy, przeciw czemu trudno walczyć.

— Sentencya wygodna... i ja zgadzam się z nią.

Nastąpiła pauza. Bawiłam się frędzlami chustki, a on kreślił laską jakieś figury geometryczne, które miały wyobrażać jego myśli. Obliczał widocznie za pomocą geometryi, jak daleko mu teraz do mnie, przy któréj niegdyś stał tak blisko. Stał przytém prosto, jak żołnierz, któremu pycha pewnego zwycięstwa nie pozwoliła pochylić się.

— Czy nie zawcześnie — rzekłam po chwili — każesz pan te róże przykrywać mogiłą?

— Lepiéj wcześniéj skazać je na zamarcie, niż pozwolić mrozom, aby ich młode gałązki zwarzyły.

— Zbytnia ostrożność. Czyś pan pewny, że już mrozy nastąpić muszą?

— Tak przynajmniéj każe doświadczenie wierzyć.

— Czy nie można przypuszczać, że po kilku dniach mroźnych nastąpią dni ciepłe, jasne i pogodne?

— Jutra nie można budować na niepewnych przypuszczeniach.

— A więc lepiéj odrazu wszystko przysypać mogiłą, co dopiéro wczoraj kwitnęło tak rozkosznie?

— Lepiéj zawczasu przykryć mogiłą, aniżeli miałby mroźny wicher młode latorośle powoli zabijać i w końcu białym całunem je przykryć. Śmierć szybka znośniejsza jest od śmierci powolnéj.

W tych słowach Jerzego odzywał się jakiś dźwięk, dla mnie obcy i niemniéj obcy wyraz towarzyszył im na jego twarzy.

Cóżby to było? Widocznie mieściła się w tych słowach pewna aluzya. Chciał mi coś powiedzieć, ale brakło mu odwagi. Mniemał, że sama domyśléć się mogę reszty.

Domyśléć się nie trudno. Była mowa o młodych latoroślach serc naszych, że lepiéj schować je dzisiaj

do mogiły odrazu, niż pozwolić im zmarnieć na mroźnym wietrze. A mroźny wiatr zaczął już dąć od zmienionéj naszéj sytuacyi i groził, że będzie z każdym dniem mroźniejszy.

Westchnęłam głęboko. Czułam, że nadzieja zwycięstwa ucieka odemnie. Serce ścisnęło mi się w piersiach.

— Jeżeli tak pan mówisz — ozwałam się, tłumiąc wzruszenie — to tak być musi. Pan widzisz daléj w przyszłość, niżeli słabe oczy kobiety. Uznaję zupełnie słuszność dyspozycyi pana wydanych ogrodnikowi.

Powiedziałam to prawie z uśmiechem, wracając z różnych aluzyj do przedsięwziętéj pod mojém oknem roboty. Czułam jednak łzy pod powieką, których Jerzemu okazać nie chciałam.

Zdawało mi się, że je mimo to przeczuwał, bo twarz jego zaczęła przybierać miękki wyraz pewnego wzruszenia.

Nie pragnęłam w téj chwili żadnéj jałmużny; litość, współczucie ubliżałyby mi. Nie chciałam okazać się słabą.

— Żegnam pana — rzekłam z wymuszonym uśmiechem — widok tych świeżych mogił, zarządzonych przez pana dzisiaj pod mojém oknem, przejmuje mnie zimnem!

Jerzy skłonił się w milczeniu, a ja zwróciłam się szybko, bo łzy cisnęły mi się już do oczu.

XIV.

Resztę dnia przebyłam smutna, przygnębiona. Rozmowę z Jerzym przypominałam sobie nieustannie. Każde słowo miało u mnie pewne znaczenie i utwierdzało mię w domysłach moich.

Widocznie powiedział mi, aby to wszystko, co dotąd było pomiędzy nami, złożyć do grobu. Chciał być panem moim, sługą być nie chciał. W pierwszém mógł widzieć swoje szczęście, drugie ubliżało jego dumie. Ależ to nie duma, która każe cierpieć innym, tylko pycha, która naprzód wysuwa własne zadowolenie.

Całe zachowanie się Jerzego stwierdza moje mniemanie.

Przy obiedzie rozmawiał wiele z ojcem o rzeczach obojętnych, chwalił koniak i maderę, które teraz przy obiedzie figurowały i wyliczał najsławniejsze fabryki likierów i składy win najwytworniejszych.

Ojciec zdziwiony był rozległością jego wiadomości, a niektóre firmy notował sobie w pugilaresie.

Gdy mowa zeszła na potrzebę ciepłych dla mnie ubrań, wyliczył Jerzy cały szereg najpierwszych w Europie magazynów i ze znajomością modniarki zalecał najpyszniejsze, ale oraz i najkosztowniejsze artykuły.

Zapewne z przeczytanych dzienników czerpał wiadomości, ale potrzeba przyznać, że umiał je tak ułożyć, jakby to widział na własne oczy. Opisywał gustowne toalety znanéj z czasów drugiego cesarstwa, księżnéj Matyldy. Przechodził na różne hrabiny, markizy i lady z werwą komi - wojażera od fabryk, wyliczał romantyczne nazwy najnowszych tkanin. A wszystko to było w stylu wielkim, niby stosownym do dzisiejszego mego położenia.

Z ubiorów przeszedł na salony i prawił takie dziwy o różnych sprzętach i dekoracyach, że aż ojcu, który słuchał go z uwagą, wydały się niepotrzebną przesadą.

Uderzyła mnie ta apoteoza przepychu w ustach Jerzego. Spostrzegłam nawet, że się sam swemi słowami zapalał. Mówił z widoczną gorączką, oczy biegały szybko, twarz zabarwiła się rumieńcem. Mimo widocznego zapału, mieszał się jakiś cierpki uśmiech do słów jego, a od czasu do czasu padały na mnie z jego oczu jakieś niemiłe spojrzenia.

Widoczném było, że dzisiaj miał mnie za inną osobę od téj, z którą dawniéj rozmawiał. Wtedy mawiał nieraz o pracy i oszczędności, ubolewał nad zamiłowaniem przepychu, które nas z majątków rodzinnych wydziedzicza. Dzisiaj z widoczną ironią pieje hymny owych blasków, które niegdyś miał za fałszywe.

Już tém samém osądził mnie. Zaliczył mię w po-

czet owych ludzi, którzy, otrzymawszy potrzebne środki, bez tych blasków żyć nie mogą. Sam zaś nie chciał wejść wraz ze mną w promienne koło tych blasków i cofnął się.

Czyż to miłość tak robi? On mnie nie kochał prawdziwie. Inaczéj byłby na pierwszą wieść o niebezpieczeństwie, które naszéj miłości zagrażało, przypadł do mnie i drżący z obawy przed utratą wszystkiego zażądał odemnie szybkiéj odpowiedzi.

A cóż on? Spokojnie, z uśmiechem, wysłuchał wieści o wielkim spadku, a że ten mógł zmienić nasz stosunek do siebie, uznał za stosowne zrzec się mnie, wraz ze spadkiem, pierwéj, aniżeli miałoby to późniéj nastąpić samo przez się, siłą zmienionego naszego położenia.

O cóż więc chodziło? Oto o honor mężczyzny, który, obawiając się rekuzy od panny, sam ją czemprędzéj porzuca i całemu światu potém to objawia.

Czyż to miłość? Czy obawa przed możliwą przegraną może nas nakłonić do zerwania więzów serdecznych?

Im więcéj nad tém rozmyślam, tém więcéj utwierdzam się w mniemaniu, że on mnie tak nie kochał, jak sobie roiłam. Zaczekam, co dalszy dzień przyniesie. Przecież sama nie mogę się mu narzucić!

XV.

Tego samego wieczora, gdyśmy zasiedli do herbaty, zajechała dorożka przed ganek. Ojciec wybiegł do przedpokoju, wystrofowawszy nawiasem Franciszka, że nie wziął fraka, którego mu wczoraj ze swojéj garderoby udzielił.

Po kilku wykrzyknikach powitania i rozczulenia, weszła do pokoju już niemłoda, młodo jednak ubrana dama. Miała kapelusz z piórami, do podróży nie bardzo wygodny, olbrzymią mufkę, a krótki, aksamitny paletocik, na którym były ślady drogiego dzisiaj już nie bardzo modnego futra. Ujrzawszy mnie, chwyciła w objęcia.

— A! Anetka! — zawołała, ściskając mnie — zarazbym ją poznała! W pełnym teatrze, gdybym ją ujrzała, poznałabym zaraz, choćby mi nikt ani słowa nie powiedział!... Ten melancholijno - dziecięcy uśmiech, te oczy zamglone jakby krepą jedwabną, ta postać drobna i wątła, jakby z eteru utkana, a usta czerwone i pełne, jak pączek róży... Wszystko to przypomina mi babkę twoją, o któréj tyle w swoim czasie mówiono w kraju i za granicą! Życzę ci, abyś tylko w części była tak szczęśliwą, jak ona. Tysiące wielbicieli przepadało za nią, do jéj rydwanu zaprzęgali się markizowie i książęta!

Oszołomiło mnie to i nie mogłam zrazu tego wszystkiego pojąć. Patrzałam na nią wystraszona i drżą-

ca. Tymczasem ojciec objaśniał mnie, w czyich byłam objęciach.

Pani Zenobia, wdowa po pułkowniku wojsk polskich, później towarzyszka księżnéj X., w podróżach do różnych klimatycznych stacyi Europy, Azyi i Afryki, była cioteczną siostrą mojéj babki.

Dzisiaj, posiadając niewielki fundusik, a nader rozległe stosunki w świecie, żyła skromnie w stolicy, dzieląc swój czas między liczne kościoły i niemniéj liczne salony swoich znajomych, przyjaciółek i protektorek. Słyszałam coś o niéj dawniéj od ojca, ale ona, o ile pamiętam, nigdy się do nas nie zgłaszała.

Uściskawszy mnie, zwróciła się do ojca, który jéj teraz pana Jerzego przedstawił.

Na jéj lekki, prawie nieznaczny ukłon, odpowiedział Jerzy, ukłonem dosyć sztywnym. Widoczném było, że cały nasz świat dzisiejszy już mu się nie podobał. Patrzał z ukrytą ironią na ruchliwą damę, a mnie udarował spojrzeniem, w którém malowało się jakieś politowanie. Zdawało się, że teraz na nas wszystkich z góry patrzy.

Tymczasem rozgościła się nasza ciotunia, jak się urzędowo nazwała, a Franciszek zajaśniał we fraku i białych, bawełnianych rękawiczkach, co znów na twarz Jerzego wywołało uśmiech ironiczny, a ojcu widoczne zadowolenie sprawiło.

Pani Zenobia zaczęła od tego, że cała stolica trzęsie się od niespodzianki, jaka nas trafiła. Wszyscy

byli pewni, że ś. p. Krzysztof, ulegając próżności zapisów publicznych, skrzywdzi swoich najbliższych prawowitych krewnych.

Tymczasem, dzięki jednemu z najpierwszych prawników kraju, grosz familijny wraca do familii. Nie mogła dłużéj powstrzymać radości swojéj i przyjechała uściskać ludzi szczęśliwych i nacieszyć się ich szczęściem. Wyliczyła długi szereg znanych w kraju rodzin, które z nią tę radość podzielają i przez nią składają swoje życzenia.

Ojciec wyprostował się, jak po kieliszku dobrego koniaku i jasnemi oczyma spojrzał przed siebie, jakby patrzał na rozkoszne obrazy.

Jerzy patrzył na talerz, podziwiając arabeski staréj, myśnińskiéj porcelany.

Po tym wstępie płynęła rozmowa szerokiem korytem, podtrzymywana głównie przez panią Zenobię. Rzucała nieustannie zapytania, ale na nie najczęściéj sama odpowiadała.

Zapytała dyskretnie o wysokość spadku, utrzymując zarazem, że on dosięgnie do miliona. Sam bowiem zapis publiczny miał wynosić parękroć sto tysięcy, a trudno przecież przypuszczać, aby po za tém już nic dla krewnych nie pozostawił...

I tak, z małego napozór jądra zaczął przedemną wyrastać i roztaczać się obszerny i nowy świat, którego kresów dotąd dojrzéć nie mogłam.

Wyliczone nazwiska rodzin, zajętych mojem

szczęściem, przeciągały przedemną, jak chińskie cienie o nieznanych mi profilach. Słyszałam ich głosy radosne i życzliwe i widziałam oczy tłumów, zwrócone na mnie...

Uczułam lekki zawrót głowy — ale w téj chwili spojrzał na mnie Jerzy. Spojrzenie jego było tak dziwne, że chcąc je zrozumieć zapomniałam o tém, co mi głowę zawrócić chciało.

Niedługo mogłam się zajmować owém spojrzeniem. Pani Zenobia była niewyczerpana. Mówiła o dawnych znajomych rodziców moich, o ich wielkich afektach dla nas i gorących życzeniach, aby jak najprędzéj przerwane losem stosunki nawiązać. Zaniechali ich dotąd z dyskrecyi, aby podupadłym majątkowo ludziom nie przysparzać kłopotów. Dzisiaj otwierają swoje ramiona i podwoje zmartwychwstałym, jako równi równym.

Jerzy obracał srebrną podstawkę z widoczną niecierpliwością, jakby oddychał w nieswojéj atmosferze.

Teraz przyszła koléj na przyszłość naszą. Pani Zenobia pytała, co teraz począć zamyślamy?

Gdy ojciec o zagranicy napomnął, o Rzymie, Neapolu, Paryżu i Egipcie, machnęła pani Zenobia ręką, twierdząc, że i wzbogaceni przemysłowcy dzisiaj takie podróże wyprawiają. Modniejsze są podróże do Konstantynopola, do Azyi lub przynajmniéj do Zanzybaru, gdzie Europejczyków żywcem pieką i jedzą.

Była za wyjazdem na zimę do stolicy, gdzie właśnie zaczyna się gromadzić liczne towarzystwo. Jest ono w téj chwili rozruszane wiadomością o naszym spadku, a żelazo potrzeba kuć, póki gorące. Wielu młodych ludzi pragnie poznać szczęśliwą dziedziczkę, a jest ich tylu, że między nimi można wybierać.

Rozumié się, że do tego potrzebną jest opieka starszéj damy i spryt, potrzebny w tych sferach. Taką opiekę chce pani Zenobia nademną rozciągnąć, a że jéj sprytu nie braknie, dowodem tego jéj dzisiejsze stosunki.

Przy tych słowach wstrząsnął się Jerzy kilkakrotnie, jakby go co zabolało. Wnet jednak twarz jego przybrała wyraz spokojny, a nawet obojętny. Nie mogłam dłużéj patrzéć na niego, bo w téj chwili wzięła mnie pani Zenobia za obie ręce i zwróciła ku sobie:

— Daj mi się napatrzéć na siebie, bo zdaje mi się, że patrzę na moją siostrę. Istny jéj portret. Te włosy ciemno-kasztanowate, ten nosek stylowy, ta wierzchnia warga, lekko omszona, z dziecięcym kaprysem naprzód wysunięta, to uszko misterne, wszystko mi ją przypomina. Postać drobna, giętka, jak bez stawów, ciałko aksamitne, poprzerzynane błękitnemi pręgami — to moja najdroższa Iza! Nie uwierzysz, jak szalenie była kochaną. Napozór nie uderzała ani postawą, ani kształtami posągowemi. Gdy weszła na bal, zdawało się, że zginie wpośród innych

kobiet, jak mały strumyk ginie w obszernem jeziorze. Trwało to jednak krótko. Za kilka chwil wszystkie oczy były na nią zwrócone, otaczało ją grono najznakomitszych mężczyzn i każdy rad był, aby na niego spojrzała. Bo też w oczach jéj był dziwny magnetyzm. Chwytała, przywiązywała i więziła niemi wszystkich!... W twoich oczach jest coś podobnego, ale spoczywa jeszcze we śnie. Nic dziwnego, w téj zapadłéj pustyni cóż cię mogło obudzić?... Niech się zbudzi w tobie żądna życia i wrażeń kobieta, niech krew zagra w sercu, a usta gorącą czarę zachwytów poczują, wtedy te oczy otworzą się szerzéj, a pociski z tych czarnych źrenic będą ranić i zabijać, jak to czyniła twoja babka. Jest to już dziś w twoich oczach, tylko potrzeba szerszego widnokręgu, ażeby dojrzało.

Przy tych słowach uczułam szum w uszach, jak szum polnych koników. Było w nich to, o czém dotąd nikt mi nie mówił. Uczułam się bogatszą i spojrzałam na Jerzego, czy on także te bogactwa moje uznaje — ale Jerzy nie patrzał w téj chwili na mnie.

Patrzał na dno filiżanki, a po jego czole przebiegały jakieś cienie nieokreślone. Może on tych bogactw nigdy nie widział, nie zachwycał się niemi...

— Gdym z nią podróżowała, — mówiła daléj pułkownikowa — choć byłam o wiele młodsza, ginęłam zawsze w jéj cieniu. Byłam tylko świadkiem jéj tryumfów, a dla mnie zostawały się zaledwie od-

padki, które ona odrzucała. Nie były to wprawdzie ostatnie, w naszym kraju uszczęśliwiłyby niejedną, bo to, co Izę otaczało, było kwiatem towarzystwa. Zresztą wyrobnik za granicą lepiéj wygląda od piérwszego lepszego naszego hreczkosieja.

Jerzy powstał tutaj i pożegnał nas, aby na jutro wydać dyspozycyę gospodarską.

— Przyzwoity, inteligentny mężczyzna — ozwała się pułkownikowa. — Któż on właściwie jest?

— Nasz rządca — odparł ojciec.

— Żyjecie patryarchalnie.

— Właściwie miał on nasz majątek do porządku przyprowadzić, do czego użył własnéj swojéj fortunki.

— Czy miał w tém także jakie zamiary osobiste?

— Co do naszego majątku?... Być może, podejrzewałem go o to. Dzisiaj to wszystko upada.

— Ale ja myślałam o Anetce.

— *Quelle idée!*

— Bo coś strasznie kręcił się na krześle, gdym o wyjeździe do miasta mówiła.

Krew uderzyła mi do twarzy, coś mnie w piersiach zakłuło. Pochyliłam się nad stołem i zaczęłam rozdzierać frędzle chustki.

Niepotrzebnie chciałam ukryć mój rumieniec, pułkownikowa nie patrzała na mnie, ale patrzała w powietrze, jakby na dawne wspomnienia swoje.

Rzeczywiście była ona teraz daleko, bardzo daleko.

— Już to, co prawda, — mówiła jakby przez sen — babka twoja rzucała na mnie cień swemi wdziękami, ale tylko w kraju, we Francyi i w Niemczech; we Włoszech za to górowałam nad nią. Byłam blondynką, a wiadomo, czém są we Włoszech blondynki! *Bionda* znaczy tyle, co piękna. Gdy Włoch zawoła: *Ecco bionda!* to wszystkich oczy zwracają się na szczęśliwą kobietę! Pamiętam, raz między księciem Albano a markizem de la Stufa przyszło do krwawéj rozprawy o mnie, i byłoby gorzéj się stało, gdyby Iza nie była swemi wdziękami księcia podbiła, zostawiając mi markiza. Ach! były to jasne, słoneczne dni, które przeminęły i nigdy nie wrócą.

Siwe strzępki włosów poczciwéj pułkownikowéj zaruszały się od wzruszenia, które jéj serce ogarnęło.

— Przeminęły te dni, — mówiła daléj — ale wspomnienie zostało. Wierzaj mi, Anetko, wszystko przeminie, uroda i młodość, ale najbiedniejsza jest ta, która z chwil swego panowania nie wyniesie zasobu wspomnień! Zrywaj kwiaty, gdy kwitną, a jedz owoce, gdy się rumienią, bo gdy nadejdzie zima, będziesz to wszystko odżuwała. Kobieta nigdy nie wié i wiedzieć nie może, gdzie się kończą cnoty domowe, a zaczynają zboczenia, bo serce, jedyny jéj sędzia, zawsze ją rozgrzeszy i uniewinni.

Nastąpiła długa pauza, a po niéj zwróciła się pa-

ni Zenobia do ojca i zaczęła z nim rozmawiać o różnych projektach na przyszłość.

Nie brałam udziału w téj rozmowie. Byłam oduerzoną, jakby haszyszem. Przed oczyma biegały mi jakieś nieznane cienie, wiązały się w grupy i tańczyły wkoło mnie, trzymając w rękach puhary szumiących napojów. Patrzałam z pewną rozkoszą na ten taniec, który się zwijał i rozwijał w splotach wzajemnych uścisków, podziwiałam ogniste spojrzenia i rozpalone usta uroczych bachantek.

Jak długo to trwało, nie umiem powiedzieć. Przebudził mnie ojciec oznajmieniem, że czas do spoczynku, dodając, że pułkownikowa po podróży jest zmęczona.

XVI.

Długo w nocy nie mogłam zasnąć. Majaczyły przedemną obrazy nowe, jakich dotąd nie widziałam. Rzucone ręką pułkownikowéj na ciemne tło nocy, błyszczały teraz wśród ciemności, jakby były malowane fosforem. Wpatrywałam się w nie chciwie i doznawałam rozkoszy, jakiéj się zwykle doznaje przy nowych widokach.

Podobieństwo moje do babki i przysądzone mi dziedzictwo jéj do tryumfów drażniło moją próżność kobiecą. Czułam smak owoców, dotąd mi niezna-

nych, a uczucie to rosło coraz więcéj w pragnienia nieugaszone. Czułam te pragnienia na moich ustach spalonych, słyszałam je w tajemniczém biciu serca, które mi zasnąć nie dało.

O Jerzym zrazu niewiele myślałam. Usunął się w tył aż pod ścianę, zkąd jak gdyby przez mgłę patrzał na mnie. Nie widziałam go dobrze, ani jego oczu, ani tego uśmiechu, który mnie zawsze przyciągał do siebie.

Dopiéro po północy zaczęła blednąć ta mgła, przez którą go widziałam. Wystąpił jasno przedemną, a nawet zbliżył się do mnie. Teraz oboje patrzyliśmy na siebie.

Zdawało mi się, że chciał się ze mną rozprawić.

Z mojéj strony czułam także potrzebę takiéj rozprawy. Byłam jakoby na rozdrożu, a chciałam być pewną, że tą tylko drogą, a nie inną pójść miałam. Nie chciałam nikomu krzywdy wyrządzić, ale téż nie chciałam kosztem mojéj godności kobiecéj dobijać się o szczęście, które się odemnie oddalało.

Czułam, że mnie kochał i wiedziałam, że ja dotąd go kocham, ale jeśli on dzisiaj, przy zmienioném położeniu, zawahał się i rozmyślił, to już tém samém wydał wyrok na swoją miłość.

Czyż w takim razie mam mu się narzucać, na szyję jego zarzucić ramiona i zatrzymać go wołając: Nie uciekaj odemnie, bo ja cię kocham! Zostań przy mnie, jak dawniéj, choćbyś się miał czuć pokorniej-

szym, niżeli dawniéj!... A jeśli pycha twoja jest większą od miłości, to cię żegnam z tém rozczuleniem, z jakiém się żegna sen nocy majowéj, który był zbyt rozkoszny, ale także zbyt krótki.

Nazajutrz przed południem wyszłam do ogrodu. W ogrodzie było głucho i pusto. Ogrodnik pozostawił wczorajszą robotę rozpoczętą, nie otrzymawszy żadnego rozkazu. Słońce tylko świeciło pogodnie, jak wczoraj i przyjemnie ogrzewało.

Stadko wróbli szukało na gazonie skrzepłych w nocy owadów, a na suchéj gałęzi topoli kanadyjskiéj siedziała wrona przypatrując się ciekawie biesiadzie maluczkich.

W oknie pokoju, w którym spała pani Zenobia, były jeszcze story zapuszczone. Sędziwa matrona śniła prawdopodobnie o włoskich laurach, kiedy była jeszcze blondynką, o księciu Albano i o markizie della Stufa.

W ogrodzie nie było żywego ducha. Nie chciałam być w téj chwili samotną. Przypomniałam sobie, że już dawno nie widziałam mojéj siwki. Weszłam do stajni. Poczciwa „Lady" zwróciła do mnie swe czarne oczy i zarżała, ale jakoś niewesoło. Biedna, czyż i ona obawia się, abym jéj nie porzuciła?

Kazałam ją osiodłać, a sama poszłam po cieplejsze ubranie.

Za chwilę wyjeżdżałam z dziedzińca, a za mną podążał zwolna stajenny chłopak.

Wjechałam do téj saméj alei, która na moje ulubione wzgórze prowadziła. Jak przed półrokiem, tak i dzisiaj czułam jakiś niepokój w sercu, z tą tylko różnicą, że wtedy oczekiwałam Jerzego, a dzisiaj jadę w próżną przestrzeń, gdzie, prócz moich myśli, nikogo nie widzę. Pusto wszędzie, jak oko zasięgnie.

Mimo to, oglądałam się często po za siebie. Każdy szelest, zbłąkane jakieś echo, stuk dzięcioła na drzewie, wszystko niepokoiło mnie i obiecywało, że kogoś zobaczę. Tymczasem w głębokiéj przestrzeni nie było nikogo, tylko wiatr zrzucał z drzewa zwarzone liście, tylko kawałki suchych gałęzi padały na drogę, a zdala dolatywał głos chłopaka, wołającego na konia, który nie mógł za mną zdążyć.

Smutna to była jazda. Siwka brodziła po grubéj warstwie zeschłych liści, a szelest tych liści przestraszał ją. Podnosiła łeb do góry i strzygła uszami, jakby widziała jakie niebezpieczeństwo.

Byłabym nawet rada takiemu niebezpieczeństwu. Silne wstrząśnienie mogłoby mnie orzeźwić i dodać sił nowych. Gdyby przepaść otwarła się nagle przedemną, musiałabym ją przeskoczyć, a gdyby się to udało, cieszyłabym się odniesioném zwycięztwem. A gdyby się nie udało?...

Po cóż o tém myśléć, żadnego niéma niebezpieczeństwa.

Długa, daleka, pusta przestrzeń rozciąga się przedemną.

Lecz cóż to? Słyszę tentent konia... Ach! nie, to echo mego towarzysza błąka się po suchych konarach.

Nagle podniosła siwka głowę i zwolniła biegu. Coś dojrzała i zarżała. Spojrzałam przed siebie, nic nie było.

Dopiéro za kilka chwil zamajaczył w dalekiéj perspektywie na końcu alei jakiś punkt ruchomy. Siwka zarżała znów, a za kilka chwil zaczął z tego punktu wyrastać jeździec na ciemnym rumaku.

To Jerzy; poznaję go po ramionach pochyłych, po tém wdzięcznem nachyleniu się naprzód i po téj swobodzie, z jaką rumaka prowadzi. To on!

Tak samo, jak przed półrokiem, czekał na mnie przy końcu alei. Zkądże wiedział, że tutaj przyjadę?

Doznałam przyjemnego uczucia, chociaż obawa przed czémś, o czém nie wiedziałam, kazała mi zwolnić biegu.

Im bliżéj byłam końca alei, tém wolniéj biegła siwka, jakby mię rozumiała. W końcu zaczęła iść stępo.

Jerzy widział to i zapewne mniemał, że się wrócę. Sparł konia i za chwilę stanął przy mnie.

Ucieszyło mnie to, że on zbliżył się piérwszy do mnie, uważałam to za małe zwycięztwo. Z uśmiechem pozdrowiłam go.

Jerzy skłonił się z uszanowaniem i zapytał o cel mojéj przejażdżki. Wskazałam na poblizkie moje wzgórze.

— Chciałam przed odjazdem pożegnać się z mojém ustroniem, — rzekłam spokojnie, — bo nie jestem pewną, kiedy je znów zobaczę.

— Czy mogę pani w tym zamiarze towarzyszyć? — zapytał Jerzy — chociażbym jéj uczuć wcale nie podzielał .. to jest pożegnania?

— Przyjmuję z wdzięcznością i to, co mi pan dajesz.

Zrównaliśmy się, dążąc razem do wzgórza. Milczenie panowało między nami, tylko szelest suchych liści mącił je.

Dobiliśmy do wzgórza. Oddałam siwkę chłopakowi, kierując kroki do pnia, na którym zwykłam siadywać. To samo uczynił Jerzy, z tą tylko różnicą, że stanął daléj odemnie.

Spojrzałam przed siebie. Jakże inaczéj wyglądało teraz wszystko!

Przed półrokiem kwitły tu kwiaty, zieleniły się drzewa, wesołe ptactwo śpiewało... Dzisiaj bezlistne konary, jak ciemne zygzaki, rysują się na bladém niebie, najeżony ptak napróżno szuka żeru, a dalekie krzaki wyglądają jak tapety. Dokąd oko sięgnie, panuje jednostajność zamierającéj natury, smutny obraz przedgrobowy!...

Owładnęło mnie rozżalenie. Żal mi było owych

kwiatów, które tu przed półrokiem kwitnęły, tych wesołych barw pejzażu, które mnie zachwycały wtedy. Czy żal mi było i czego innego?

— Dziwny zbieg rzeczy, — rzekłam, jakby do własnych myśli—na tém samém miejscu, gdzie przed półrokiem witałam wiosnę, przychodzi mi żegnać się z jéj wspomnieniem!

— Pozbywasz się pani nawet wspomnień? — zauważył Jerzy z uśmiechem.

— Są one często niepotrzebną zmorą.

— Zazwyczaj nazywamy je kapitałem życia, z którego żyjemy.

— Odnosi się to może tylko do ludzi bardzo biednych, którzy niczego się nie spodziewają.

— Takich jest wiele, więcéj może, niżeli pani sądzisz. Nie wszystkim sypią się pod nogi dary bogów! A nawet i te dary...

— Nie zawsze przyczyniają się do szczęścia, chciałeś pan powiedzieć, i to być może, ale zawsze dają nam możność zasłonięcia się od pocisków złośliwego losu!

— To prawda.

Nastąpiła dłuższa pauza. Patrzałam na daleką smugę rzeki, która jak srebrny wąż wiła się wśród ciemnych zagród. Biegła ona nieustannie, jak życie ludzkie, a każda ubiegła chwila już nie wróci.

Żal mi było tych chwil, które biegną bez celu, bez wspomnień może. Czyż moje dotychczasowe

życie, czy ta chwila obecna nie zostawi mi żadnych lepszych wspomnień?

Zbudził mnie Jerzy z tych myśli moich.

— Kiedy pani zamyśla opuścić te strony? — zapytał spokojnie.

— Choćby jak najprędzéj! — odpowiedziałam szybko, podrażniona tém zapytaniem.

— Tak pani spieszno do szerszych widoków, do nowych wrażeń?

— Któżby tego nie pragnął?

— Jeśli są środki, aby każde pragnienie zamienić w rzeczywistość...

— W pragnieniach niezaspokojonych rozkoszują się tylko poeci.

— I ubodzy, przykuci do taczki swojéj pracy.

— Wymawiasz to pan z pewną dumą, jakbyś sam się zaliczał do tych dzisiejszych bohaterów dramatów i powieści.

— Bądź pani pewna, przeciw przywilejom kapitału nie myślę walczyć.

— Sądząc zapewne, że taka walka byłaby pana niegodną!

— Chciałaś pani powiedzieć: niemożliwą.

— Niemożliwą tylko dla tego, kto nie pragnął jéj szczerze i gorąco.

Ciemny rumieniec przebiegł po twarzy Jerzego. Zabrakło mi tchu w piersiach. Przeciągnęłam ręką po czole.

— Rozmowa dzisiejsza — rzekłam po chwili — sprawia mi jakiś zamęt w głowie, którego nie mogę się pozbyć.

— Jestto zwykły skutek każdéj nagłéj zmiany— odparł Jerzy z uśmiechem.

— Nie wiem, co pan pod tém słowem „zmiana" rozumiesz?

Patrzał na mnie chwilę, jakby mnie chciał wzrokiem wskroś przeniknąć.

— Zapewne — rzekł po chwili — widziałaś pani kiedy „niknące obrazy," gdzie jeden obraz znika, a drugi na jego miejsce wchodzi... Według tego, jaki obraz po którym następuje, doznajemy uczuć odpowiednich. Gdy naprzykład cichy, uroczy krajobraz wzburzone morze zalewa, ogarnia nas trwoga...

— Dodaj pan do tego obraz pochylonego od starości dworku, który nagle zmienia się w okazały pałac o karyatydach, podtrzymujących złocone balkony — wtrąciłam z ironiczném spojrzeniem.

— Można i ten obraz dodać—zauważył z uśmiechem.

— Jakiegoż pan uczucia doznajesz na taką zmianę obrazu?

— Chciałbym pierwéj od pani to usłyszéć.

— Wszak powiedziałam: czuję zamęt w głowie.

— Nic dziwnego. Patrząc na wysokie drzewo, na wieżę lub zamek niebotyczny lub chociażby pałac tylko — doznajemy zawrotu głowy.

— I cóż na to poradzić, gdyby tak było w istocie?

— Przeczekać, póki się nie przyjdzie do równowagi.

— Szkoda, żeś pan nie został lekarzem, chciałam powiedzieć chirurgiem, miałbyś pan powodzenie, z czego mógłbyś być także dumnym!

Czułam łzy pod powieką, ale zacisnęłam zęby. Jerzy patrzał na mnie z łagodniejszym wyrazem, który przechodził w rozrzewnienie.

Wziął mnie za rękę.

— Czy to słowo: „przeczekać" wydaje się pani tak niestosownem?

— Wyczekiwanie można sobie uprzyjemnić — odpowiedziałam z wymuszonym uśmiechem — ale ono może być także torturą...

— Zawsze lepsze od kroków, uczynionych wśród zawrotu głowy.

— Przestrzegasz mię pan przed fałszywym krokiem?

— Który pani prędzéj lub później za fałszywy uznać możesz.

Spojrzałam na niego z rożaleniem — zdawało mi się, że wyrządził krzywdę. Ścisnął mnie za rękę.

— Mówmy szczerze i otwarcie! — zawołał z głębokim oddechem, jakby z trudnością przychodziło mu tak mówić — mówmy otwarcie!

— Mówmy otwarcie — odrzekłam, trzymając jego dłoń silnie.

— Od dnia, w którym stałaś się pani bogatą, wyjątkowo bogatą, rozmawiamy z sobą tylko półsłówkami, nie szczędząc ironii...

— Któż temu winien?

— Nagła zmiana sytuacyi.

— Cóż ona zmienia?

— Wszystko!

Westchnęłam. Zdawało mi się, że mówimy już o naszéj przeszłości.

— Czy i ja zmieniłam się?

— Sądzę, że tak jest, chociażbyś pani sama o tém nie wiedziała!... Nie jesteśmy równi!

— Więc téj nierówności obawiasz się pan? I z tego powodu wolisz raczéj zrezygnować z niéj, niż się jéj poddać?

— Rezygnacya jest często żelazną koniecznością...

— Więc już pojednałeś się pan z rezygnacyą?— zawołałam skwapliwie, bo łzy cisnęły mi się do oczu.

Wziął mnie lekko za rękę.

— Nie dotykaj pani tak szorstko bolesnéj rany mego serca — rzekł miękkim głosem, bo na to nie zasłużyłem. Mogę uledz żelaznéj nieubłaganéj konieczności, mogę się złamać pod ciosem nieprzepartym, ale nie ułożę się naprzód wygodnie, aby mnie zbyt boleśnie nie trafił.

— Czyż byłby on dla pana bardzo bolesny?

— Zależy od tego z czyjejby wyszedł ręki.

— Czy możesz pan wątpić o tém, że nie z mojéj?

— Dzisiaj nie wątpię. Ale jutro... pojutrze...

— Nie, nie!—zawołałam.—Nigdy, nigdy!

I podałam mu obie ręce.

Wziął je, jak się bierze poświęcany obrazek i przyłożył do ust swoich.

Moje serce biło gwałtownie, na skroniach czułam prądy gorącéj krwi, w oczach zaćmiło mi się... a on stał przedemną, jak pobożny pątnik, zatopiony z głęboką adoracyą w cudowny obraz.

Odgarnęłam włosy z czoła, bo zdawało mi się, że nie widzę dobrze, że widzę tylko jakiś cień spokojny, nieruchomy... Tylko bladsza twarz jego i oczy głęboko na mnie patrzące, świadczyły o jakiejś wewnętrznéj walce.

Ulękłam się téj walki... Szybko wstałam z drzewa.

W téj chwili poruszyły się sosny od równiny i zaczęły jakiś dziwny taniec... Nogi omdlały podemną... krew uderzyła ukropem do głowy...

Czułam, że jakieś ramię obejmuje mnie... moja pierś opiera się o pierś drugą, w któréj bije serce równie gwałtownie jak moje... że jakiś gorący oddech zbliża się do mojéj twarzy... do moich oczu... do ust moich... I słyszę jakieś słowa, tak słodkie, jak muzyka... jak chór aniołów!...

Gdym przyszła do siebie, stałam oparta na ramieniu Jerzego, dotykając głową jego piersi. Odstąpiłam szybko i usiadłam.

— Czy pani już lepiéj? — zapytał z niepokojem.

— Przecież mi źle nie było — odpowiedziałam prawie bezmyślnie, poprawiając włosy, które mi na ramiona opadły.

Jerzy zarumienił się i odstąpił na dwa kroki.

— Przestraszyłaś mnie pani — odpowiedział — nie wiedziałem, jak panią ratować.

— A cóż to było? Nic nie pamiętam... jak sen tylko przesuwa się przed memi oczyma jakieś widzenie.

Jerzy patrzał na mnie, ale nic nie odpowiedział.

Nastała długa pauza. Uporządkowałam już włosy, chustkę zarzuciłam na ramiona, czekając, czy Jerzy nie zacznie mówić. Ale on milczał, jak człowiek narkotykiem upojony, który jeszcze nie przyszedł do równowagi zmysłów.

Nie byłam i ja trzeźwą. Słyszałam szum w uszach i przyspieszone bicie serca, ale ta pauza była dla mnie nieznośną.

— Przestraszyłeś się pan — rzekłam, zawiązując chustkę. — Bardzo przepraszam, ale właściwie pan jesteś winien.

— Czyż to być może?— zapytał z pewną obawą.

— Tak jest, pan jesteś winien—odpowiedziałam z uśmiechem.

Patrzał na mnie zdziwiony.

— Powiedziałeś pan, abyśmy szczerze i otwarcie

z sobą mówili. Cóż winnam, że byłam zanadto szczerą?... Żałuję teraz tego.

Wziął mnie za rękę z pewną gorączką.

— Więc to była odpowiedź pani? — zapytał — dziękuję za nią i przechowam ją na dnie serca do śmierci!

Ucałował gorąco moją rękę.

— Zachowam tę odpowiedź w mojém sercu — mówił daléj z pewnym smutkiem — chociażby z czasem miała stać się tylko wspomnieniem!

— Czyż ta szczera odpowiedź moja zasłużyła sobie na takie smutne refleksye?

— Im wyżéj kto swoje szczęście stawia, tém więcéj się obawia...

— Po cóż się trapić zawczesną obawą?

— Aby nas, gdy się spełni, odrazu nie zabiła!

Podałam mu rękę.

— Bądź pan spokojny.

— Tak pani mówisz dzisiaj, ale jutro, pojutrze, możesz inaczéj powiedzieć.

— Zawsze to samo?

— Bo zawsze ta sama nagła zmiana położenia cięży nad nami. Od dnia, w którym los tak daleko odrzucił nas od siebie, zmieniły się widoki nasze, a jutro naszych marzeń stało się mniéj, niż pewne. Pani nie widzisz jeszcze dotąd skutków téj zmiany, ale ja widzę i obawiam się ich.

— Czyż takie skutki są konieczne?

— Nie powiem, że konieczne, ale prawdopodobne. Dotychczasowy świat pani był dosyć mały. Można go z tego wzgórza jedném spojrzeniem ogarnąć. W tym światku mieściła się do niedawna cała przyszłość pani. Praca codzienna, uczynki chrześcijańskie, opieka nad mieszkańcami tych chat ubogich, a wszystko to w spółce z jedynym towarzyszem życia i przyjacielem, mogło na długo wystarczyć! Dzisiaj rozłamał los ten ciasny widnokrąg i odsłonił nowe, nieznane dotąd widoki. Życie tam ma inne warunki, innemi kieruje się prawami. Zmienia ono ludzi, otwiera przed nimi nowe tory i mimo ich woli popycha ich naprzód. Na nowych drogach bledną barwy wspomnień, a wkrótce zapominamy o tém, cośmy zostawili za sobą.

Krzyknęłam z przerażenia.

— Co za okropny horoskop! — zawołałam — nie pójdę tą drogą!

— Pani nią iść musisz, bo zmienione położenie tego wymaga. Wprowadzi panią tam ojciec, który, jak stary orzeł, poczuł znowu siłę w odmłodzonych skrzydłach swoich. Poleci między skały i urwiska, gdzie było dawniéj gniazdo jego i gdzie wespół z nim krążyły sępy i krogulce. Pani musisz wejść na te szlaki, bo inaczéj być nie może. Jestto konsekwencya każdego większego daru fortuny, wyssana u nas z mlekiem, wraz z tradycyą wszelkich cnót naszych.

— Ta droga nie wszystkich zmienia.

— Ale bardzo wielu.

— Mogę wcale na nią nie wchodzić.

— Prędzéj, czy późniéj, musi to nastąpić.

— Tak pan mówisz, jakbyś pan sobie tego życzył...

— Lepiéj może uczynić to wcześniéj, niż potém walczyć całe życie z kulą u nogi.

— Nie mogę pana zrozumiéć.

— Bo jeszcze nie widzisz pani tego wszystkiego; co na nowych drogach życia przed tobą się otworzy.

— Pan mówisz, jakbyś przeczuwał coś najgorszego.

— Najgorszém jest to, co nasze szczęście zabija.

Uczułam ból w sercu i spojrzałam z wyrzutem na Jerzego.

— Czemuż pan tak czarno malujesz najbliższą przyszłość moją?

— Zależy to od pani utkać ją z samych gwiazd jasnych, w które mógłbym się tu, po dziennéj pracy, wpatrywać okiem i sercem.

— Dziękuję panu za te słowa. Będę o nich pamiętała, jeśli mnie los choć na krótki czas ztąd oddali...

Podałam mu obie ręce, które gorąco zaczął całować.

Uczułam nagle jakąś trwogę tajemną. Patrząc na zarumienione czoło Jerzego, zdawało mi się, że widzę

łunę niedalekiego pożaru, w którym palą się najpiękniejsze moje marzenia.

Wstałam szybko.

— Chodźmy ztąd — zawołałam skwapliwie — chodźmy ztąd, bo czuję, że jeśli kiedy nie będę szczęśliwą, to wspomnienia z téj ustroni zabiją mnie!

Koniec części pierwszéj.

CZĘŚĆ DRUGA.

XVII.

Od kilku tygodni jesteśmy w stolicy. Trudno coś o nich napisać, choć składały się na nie dnie i godziny, które całą moją uwagę pochłaniały. Ani minuty nie byłam sobą; byłam manekinem, popychanym przez różne osoby i drobne wydarzenia spraw codziennych.

Wpadłam, jak drobny atom, w morze nowego życia. Jedna fala ciągnie mię naprzód, druga popycha, a odbite od brzegu i skał podwodnych, uderzają z boku, usiłując inny nadać im kierunek.

Nie mam jeszcze żadnéj woli, nie opieram się żadnym prądom, bo nie wiem dotąd, gdzie jestem, jak głębokie to morze podemną i jak daleko do brzegów. Przecieram oczy i rozpatruję się, a tymczasem płynę z falą, nie wiedząc, gdzie mnie zaniesie.

Na wsi czułam się istotą niepodległą, mogłam czuć, myśléć i poruszać się według woli; tutaj, zdaje

mi się, zawisłą jestem od rozlicznych przyczyn, które mną rządzą i kierują.

Wchodząc w świat towarzyski, bierze się jego obowiązki, od których już wyłamać się nie można. Jest się drobném kółkiem większéj maszyny, zależném od mrowia tych kółek i sprężyn, które w niéj działają.

Oto jest świat, nowe życie, w które weszłam Gdyby nie ojciec i pułkownikowa, czułabym się samotną, jak Robinson na wyspie bezludnéj.

Możebym uciekła do starego, rodzinnego dworku, do tych świeżych wspomnień moich, które czasem jak błyskawice krzyżują się po nad te miejskie tłumy. Ale na to wszystko nie ma teraz czasu. Tysiące spraw wiążą się w łańcuch nieprzerwany, a ten pociąga nas daléj za sobą.

Potrzeba przyznać, że jest w tém także pewien urok. Chwytam w siebie wiele nowych rzeczy, których nie znałam, a spieszę się z tém, bo inne nadchodzą. Nie ma czasu na refleksye, bo przyjemniéj jest brać, niż dawać. Jestem odurzona; słucham i patrzę na wszystko, ale nie wiem, kiedy to uporządkuję.

Trudno o lepszych przewodników w tém nowém życiu, jak ojciec i pani Zenobia. Bez nich byłabym nieudolną i śmieszną. Pod ich opieką jestem pewna, jak stary żołnierz. Dziwią się nawet, gdzie takiéj wprawy nabyłam, nie będąc nigdy w większym świecie. Być może, że to dziedzictwo po mojéj babce, jak

to utrzymuje pani Zenobia. Nie chciałabym tylko, aby do tych samych prowadziło rezultatów.

Mamy pomieszkanie wykwintnie urządzone. Pani Zenobia mieszka razem z nami, mając nademną opiekę matki. Mam własny buduarek, który wygląda jak z tysiąca nocy i jednéj. Zasłany perskim kobiercem, ma niskie, chińskie sprzęty, obite materyą oryginalnie chińską. Ściany ozdobione draperyą takiéj saméj materyi, a sufit obity modrą tkaniną w łamiące się fałdy, wygląda, jak woda morza, po którém pływają zlote rybki.

Do tego obrazu zastosowane są różne sprzęty i sprzęciki, jak stojące po kątach złomy skał, naśladujące różne skamieniałości, od których pną się po ścianach gałęzie koralowe i inne produkta morskie.

Siedząc na otomanie, w obszernéj bluzie z chińskiego jedwabiu, złotym paskiem spiętéj, otoczona światłem błękitnawém, które z lampy, zwieszającéj się u sufitu, cały buduar napełnia, wydaje mi się, że jestem wodną nimfą, mieszkającą w morskim pałacu Oceanu.

Nieuchwytne, nieokreślone rojenia snują mi się po głowie i sama nie umiem sobie zdać sprawy, coby to było!

Chwile jednak takie są rzadkie, bo brak mi czasu. Gdyśmy się urządzili, potrzeba było wejść w stosunki z ludźmi. Pracowaliśmy wiele, a praca była nielada. Potrzeba było zastosować się do nowego na-

szego położenia, a to było dla mnie rzeczą nie tak łatwą.

Pani Zenobia uczyła mnie formalnie, jak pensyonarkę, jak się ubierać, jak długo i o czém mówić, a prawie nawet kiedy się uśmiechać i kiedy oczy podnieść do góry. Porozkładała na moim stole mnóstwo żurnali i kazała się w nie wpatrywać, jak się wpatruje Chińczyk w zwierciadło, odmawiając modlitwę.

Od śniadania do obiadu jeździłyśmy nową karetą po różnych magazynach i modniarkach, gdzie się odbywał praktyczny kurs tego, co na moim stole w buduarze leżało. Pani Zenobia nazywała te przejażdżki wielką biesiadą ducha, po któréj obiad sam wybornie smakuje.

Na te przedobiednie biesiady wyjeżdżałam zrazu dosyć obojętnie, więcéj z konieczności zaznajomienia się z panującą modą, a że „l'apetit vient en mageant" —zaczęłam w nich także smakować.

Poznawałam tajemnice, które wdzięki kobiety podnoszą, aże chciałam być także we wdzięki nieubogą, to przecież młodéj kobiecie nikt tego za złe nie weźmie.

Miałam już całą wyprawę w moich pokojach, a wszystko to były rzeczy wykwitne i drogie.

Ojciec i pani Zenobia utrzymywali, że jest mi to w dzisiejszém położeniu koniecznie potrzebném, aby z nowemi znajomościami stanąć na równi. Dodam

do tego przerwane od pensyi lekcye śpiewu i malowania na porcelanie, co także do mody należy.

Zrazu niewiele robiliśmy wizyt, ale były to wizyty wyborowe w najpiérwszych domach stolicy.

Przyjęto nas z otwartemi rękami i tak poufale z nami rozmawiano, jakbyśmy od urodzenia razem się chowali. Poważne matrony zachwycały się urodą, figurą i toaletą, a niektóre groziły mi paluszkiem abym pomiędzy młodzieżą karnawałową nie sprawiła zbyt wielkiego spustoszenia. Pułkownikowa z uśmiechem obiecywała trzymać mnie za cugle, jak trzymała niegdyś swoją siostrę, a moją babkę, po któréj w stolicy jeszcze tradycya nie wygasła.

Ojciec, nakreśliwszy plan nowéj kampanii w grubych zarysach, oddał resztę w ręce pani Zenobii. Przy pierwszych wizytach figurował razem z nami, potém cofnął się zupełnie.

Cały dzień przesiadywał w resursie, zkąd nawet rzadko na obiad do domu przychodził. Również i noce często tam przepędzał, o czém dowiadywałyśmy się dopiéro przy drugiém śniadaniu. Stał się teraz zupełnie innym. Kto go widział dawniéj, w téj zaniedbanéj izdebce starego dworu, siedzącego w wytartém ubraniu, nad brudnémi kartami, z których pasyans układał, nie byłby go dzisiaj poznał.

Ów przygarbiony, starzejący cię człowiek, stał się dzisiaj mężczyzną w sile wieku, trzymał się prosto, ubranie miał wykwintne, wąsy zakręcone „en Croque,"

a na krótko strzyżonéj głowie kapelusz paryzki. Usługiwał mu strzelec czeski, a poczciwy Franciszek zdegradowany został na naszego kamerdynera. Od czasu do czasu odwiedzał go znany prawnik, z którym odbywał długie konferencye. Potrzeba było jeszcze załatwić niektóre formalne kwestye spadku, a tymczasem postarać się o fundusze na bieżące wydatki.

I tak powoli zaczęliśmy wchodzić w ruch skomplikowanéj maszyny zimowego towarzystwa stolicy.

Wchodząc w ten ruch, nie zdałam sobie zrazu sprawy, gdzie ten ruch ma mnie zaprowadzić. Uważałam go za konieczność naszego nowego położenia, za nowy w mojém życiu rozdział, który nie zrywa wcale z tém, co przed nim było. Byłam pewną, że wrócę do moich wspomnień, których się dotąd nie wyrzekłam, gdy czas będzie po temu. Wracałam nawet czasem myślą do nich, gdy miałam wolną chwilę od dzisiejszych moich zajęć.

Przyznam się, że nietylko nie straciły dla mnie uroku, ale przeciwnie błyszczały, jak fosfor w przyćmioném nocném światełku mego buduaru. Trwożyły mnie tylko nieco owe wykwintne wspaniałości dzisiejszego mego otoczenia, na którém postać Jerzego nie odbijała się tak wspaniale, jakbym tego sobie życzyła.

Mimo to, niezapomniane było dla mnie owo pożegnanie na wzgórzu, z którego wysnuwałam w wyo-

brażni dalsze ponętniejsze jeszcze rozkosze. Był on dotąd ciągle bohaterem mego serca i zawsze stawał przedemną, gdy go trzeba było do snów mojéj gorącéj wyobraźni. Obsypywałam go wtedy pieszczotami, jakich w rzeczywistości odemnie nie doznał i obiecywałam mu, że kiedyś to wszystko w rzeczywistości powtórzę. Dotychczasowe milczenie jego wydało mi się bardzo naturalném, wszak i ja milczałam.

Nie byliśmy zaręczeni formalnie, więc nie mogliśmy się formalnie znosić ze sobą. Zresztą taki nieokreślony jeszcze nasz stosunek miał dla mnie więcéj uroku, niżeli dostarczane codziennie bukiety narzeczonego, albo co gorsza, obowiązkowe jego wizyty przy trzecich osobach.

Tak płynęły pierwsze tygodnie pobytu w stolicy, poświęcone głównie rehabilitacyi naszéj majątkowéj, po któréj następowała rehabilitacya dawnych ojca stosunków i przyjaźni.

Zabawnie było teraz patrzéć na te wyścigi, jakie ze wszystkich stron teraz urządzano do naszego domu. Uściski, powitania, potoki najsłodszych słów płynęły do nas, jak ciepły prysznic z wódki kolońskiéj, a silono się na wynalezienie nadnaturalnych powodów, że o nas zapomniano na czas niejaki.

Patrząc na to, przychodzę do przekonania, że nie potrzeba wszystkiego brać na seryo. Jestto gra, często artystyczna i jako taka, zabawia nas. Bie-

rzemy udział w téj grze, bo to sprawia nam rozrywkę. Z widzów, jakimi jesteśmy z początku, stajemy się aktorami, a wystąpiwszy raz na scenę, już na niéj pozostać chcemy.

Tak sobie wyobrażam ten świat, w którym dzisiaj żyję.

Poznałam wielu młodych mężczyzn, ale żaden z nich nie został długo w mojéj pamięci. Przeszli przed memi oczyma, jak żołnierze w jednakowym uniformie. Żadnego z nich nie mogłabym potém poznać, bo mundur był jednaki, ruchy te same, a fizyognomii nie zapamiętałam.

Cisnęli się widocznie do mnie, ale z tego, co widziałam, mogłam słusznie wnosić, że przyciągała ich aureola majątku, o którym coraz potworniejsze roznoszono biuletyny. Inaczéj nie mogłam mniemać, bo mimo zachwytów pani Zenobii i komplementów innych matron, nie uważałam się wcale za tak bardzo piękną. Widziałam piękniejsze od siebie, które stały opuszczone, podczas gdy wokoło mnie tłoczyła się młodzież, wypierana nieraz przez starszych.

Zaraz na wstępie wydało mi się to bardzo zabawném i słowa moje zabarwiło żartobliwą ironią. Tym sposobem dostroiłam się odrazu do tonu, jaki zwykle w tym świecie panuje.

Okazywałam nawet niemałe zdolności w tym kierunku, co panią Zenobię wprawiało w zachwycenie.

Widziała w tém namacalne spadkobierstwo po mojéj babce, która słynęła z trafnych a ciętych odpowiedzi.

Po kilku większych rautach, otrzymałam przydomek ciętéj „causerki", a z tego powodu grono moich „causerów„ przerzedzało się coraz więcéj.

Trwożliwsi i mniéj pewni cofali się na drugi plan, a przy mnie pozostali najbieglejsi w tém rzemiośle, albo zajmujący przedniejsze w towarzystwie stanowisko.

W ten sposób miałam koło siebie więcéj powietrza i przestrzeni, co dawało mi sposobność utrzymania pewnéj równowagi.

XVIII.

Z pomiędzy nowych znajomych kobiet, które najwięcéj do mnie przylgnęły, były dwie młode mężatki. Trzymały się one zawsze razem, jak siostry bliźniaczki; ubierały się w jedne i te same barwy, a nawet jednakie miały maniery, więcéj męskie, niż kobiece. Nazywano je pionierkami nowszych prądów, a mężczyźni otaczali je zawsze w znacznéj liczbie. Prowadziły rozmowy wesołe i dowcipne i zawsze były w wesołym humorze. Materyalna ich pozycya pozwalała im na różne wybryki fantazyi, o których potém szeroko mówiono w mieście. Urzą-

dzały u siebie herbatki w kostyumach na wielką skalę, a czasami przybierano maski na twarze, z czego potém zabawne wynikały sytuacye. Mimo niezbyt licznego grona, umiano się tak urządzić, że goście nie poznawali siebie, a czyniąc pewne pomyłki, dawali powód do różnych żartów i wesołego śmiechu.

Od czasu do czasu zabawiały się także w tak zwane zebrania amerykańskie, z tą tylko różnicą, że w Ameryce zbierają się same panny, a tu zbierały się same młode mężatki z kawalerami.

Rozumie się, że na tych zebraniach nie mogłam bywać.

Polubiłam przedewszystkiém humor wesoły moich przyjaciółek, w czém także i pani Zenobia ze mną się zgadzała. Przypominały one jéj podobne towarzystwa za granicą, w których przeważnie tak zwana złota młodzież udział brała.

Wesołe mężatki miały także swoich nieprzyjaciół, którzy wprawdzie marszczyli brwi, mówiąc o nich, ale rozmawiając z niemi uśmiechali się słodko i pobłażliwie, jak do miłych, nieco popsutych dzieci.

Raz nawet byłam świadkiem pewnéj akademickiéj dysputy na ten temat. Pewna poważna matrona, mówiąc o dzisiejszych obyczajach towarzyskich, nadmieniła, że się one coraz więcéj psują, że przesiąka do nich zepsute powietrze z tak zwanego modnego półświata. Nietylko narzuca on mody, ale

cały ton i koloryt swoich zabaw przerzuca do salonów.

Znalazła się antagonistka tych poglądów, utrzymując, że to jest tylko konsekwencyą coraz więcéj rozwijających się potrzeb życia. I za czasów staréj Grecyi słyszano podobne skargi. Kobiety greckie były zacne i pełne cnót domowych. Poświęcając się pracy, przędły cały dzień kądziel. Tymczasem wesołe córy Grecyi, którym chodziło o przywabianie mężczyzn do siebie, śpiewały piosenki na cześć Erosa, wtórując sobie na cytrze lub harfie.

Gdy kądzielowe matrony spostrzegły, że ich mężowie, z domowych progów do harf i śpiewów pouciekali, zaczęły się także uczyć śpiewać na harfach. A uczyniły to nie dlatego, aby zejść do niższego poziomu wesołych kapłanek Cythery, tylko, aby swoich mężów w domowych zatrzymać progach.

Otóż i na dzisiejsze salony wchodzi wiele rzeczy ze sfery dzisiejszych pół-kapłanek na to tylko, aby dzisiejszych mężczyzn w progach domowych uwięzić.

Rozprawiano długo na ten temat, dosyć zaciekle, ale gdy z salonu ozwały się kuplety z najnowszéj operetki francuzkiéj, mocno wesołéj, pośpieszyli wszyscy do fortepianu, darząc oklaskami młodą artystkę i młodszego jeszcze jéj towarzysza.

Byli tam razem i sędziowie zbyt wesołéj atmosfery dzisiejszego salonu, jakotéż jego wyznawcy.

Przyznam się, że zrazu dziwnym mi się wydał

ten ton wesoły. Moje osamotnienie przez lat kilka w rodzinnym dworku i brak weselszego towarzystwa nastroił mię poważnie, a nawet poważniéj nad mój wiek.

Wszedłszy dzisiaj w atmosferę weselszą i swobodniejszą, zaczęłam powoli, jak rybka w wodzie, pływać w niéj, a nawet skrzeli moich próbować.

Do grona moich nowych przyjaciółek przylgnęłam prędko. Nie miałam bynajmniéj zamiaru zrównać się z niemi we wszystkiém, ale polubiłam ich towarzystwo, które mojéj młodéj fantazyi w pewnych względach odpowiadało.

Przychodziły często do mnie i w błękitnawém świetle mego buduaru siedziały nieraz do późnéj godziny. Dla jednéj z nich sprowadziłam nawet cytrę, na któréj wygrywała nam sentymentalne, niemieckie piosenki.

Upajały mnie te pieśni, a modry sufit, buduaru napełniały fantastycznemi widzeniami. Młoda moja fantazya rozpalała się, a serce pragnęło wzruszeń, jakich dotąd nie znało.

Zrazu na owych wieczorkach, przy dźwiękach melancholijnéj cytry, zjawiał się gość, którego nie wszyscy widzieli. Wchodził powoli i cicho między nas i stawał przedemną, gdy oparta na poduszkach otomany, patrzałam z tęsknotą przed siebie.

Był to Jerzy. Spokojny i blady, jak zawsze, pa-

trzał na mnie z jakimś żalem, jakby mi chciał czynić wyrzuty.

Wpatrując się we mnie czas niejaki, zmieniał wyraz twarzy, który powoli przechodził w wyraz uwielbienia i rozkoszy, jakiéj doznawał. Przyjaciółki moje nie wiedziały nic o tym gościu, a tajemnica moja cieszyła mnie niewymownie.

Raz była mowa o jednéj ze znajomych, która była popadła w dziwne położenie. Kochała ona męża wzorowo, ale obok męża zajmował ją także i jego przyjaciel, który codziennym był u nich gościem. Zwrócono uwagę męża na ten trzeci liść koniczyny domowéj, z czego wynikło zajście, dla wszystkich bardzo niemiłe.

Podczas gdy jedni potępiali żonę i przyjaciela, inni obmywali ich ze wszelkiéj winy. Do tych ostatnich należały i moje przyjaciółki. Utrzymywały, że można męża kochać cnotliwie, a przytém bawić się czasem mrzonką, o innym, który nam pewne miłe sprawia wrażenie.

Wrażenia takie, mówiła starsza z przyjaciółek, nie są ujmą praw małżeńskich, ani wykroczeniem. Tworzą się one w tajnikach naszéj istoty, jak owe efemerydy jesienne, które pod blaskiem słońca się rodzą, a przy ostatnich jego promieniach giną. Leży to już w naturze kobiety bawić się takiemi efemerydami, które nikomu nie szkodzą, chyba jéj saméj, jeżeli myśli, że je do drugiego dnia przechowa.

A która je ma za to, czém one są w istocie, to nie zejdzie dla nich z drogi obowiązku.

Długo rozmawiałyśmy na ten temat i zakończono to mniéj więcéj maksymą, że kobiecie w tym względzie należy się zupełna swoboda, a kto ją zacieśnia, ten daje powód do jéj następnych nadużyć.

Po wyjściu przyjaciółek rozmyślałam późno w noc o tém, co mówiły. Słowa ich brzęczały zrazu, jak szerszenie, koło moich uszu.

Późniéj rozbierałam je uważniéj. Widziałam w nich nieco prawdy, ale więcéj usiłowania, aby późniéj wytłómaczyć to, z czego potrzeba się już usprawiedliwiać. Nie chciałam wydawać wyroków w téj mierze, ale nie chciałam być także pod wyrokiem. Skłonną byłam do pewnego kompromisu między śmielszém roszczeniem kobiety, a surowém wymaganiem opinii.

To téż, ile razy po wesołym wieczorku lub skocznym walczyku z namiętnym tancerzem, blada i spokojna twarz Jerzego stanęła przedemną, byłam pewną, że mi tego za złe nie wziął i że niczém przeciwko niemu nie zawiniłam.

Uśmiechał się wtedy pobłażliwie na to moje tłómaczenie się, a ja obsypywałam go za to w wyobraźni mojéj pieszczotami, jakich na jawie odemnie nigdy nie doznawał.

Czy te pieszczoty w całości go dochodziły, czy

nie uroniło się coś z nich dla namiętnego tancerza lub czy tenże nie przyczynił się sam do temperatury tych pieszczot — o tém Jerzy wtedy nic mi nie mówił.

XIX.

Pewnego dnia zajechała kareta przed nasze mieszkanie, a w chwilę potém przyniósł lokaj w błękitnéj liberyi dwie karty. Ojciec przypadkiem był w domu, a nawet i pani Zenobia ukończyła już swoją tualetę, która jéj wiele czasu zabierała.

Odczytane karty sprawiły na ojcu i pani Zenobii niemałe wrażenie. Ojciec pośpieszył z odpowiedzią aż do przedpokoju, a pani Zenobia kazała mi odejść do mego buduaru i tam czekać dalszych rozkazów. Przedtém jeszcze poprawiła mi włosy, grzywkę spuściła nad oczy, a brylantowe kolczyki ułożyła w najlepszém świetle.

W buduarze nie bawiłam długo. Miałam jednak tyle czasu, aby o nowych gościach nieco pomyśléć, przytém i moje ubranie uzupełnić.

Jednego i drugiego wymagały odczytane nazwiska gości, chociaż same osoby były mi już z salonów znane. Odgadłam znaczenie dzisiejszéj wizyty, bo prawnik ojca coś o tém już dawniéj z pewnym uśmiechem napomykał.

Wkrótce weszła pani Zenobia z rozkazem, abym

wyszła do salonu. Obejrzała mię starannie, a widząc poprawki w mojéj tualecie, pocałowała mię w czoło.

Wszystkie ci zazdroszczą *chère Anette* — szepnęła mi do ucha — masz niesłyszane powodzenie.

Weszłam do salonu. W salonie siedziała na kanapie dama już niemłoda, z wielką pretensyą ubrana. Miała jasne kolory na sobie, a na ciemnym aksamitnym kapeluszu jaśniały pęki żółtych róż, przeplatane fiołkami z Parmy.

W jednéj ręce trzymała zarękawek z białéj angory, a drugą ręką przytykała do ust mocno różowych cienki, jak ołówek, papierosik. Opodal kołysał się na krześle młody człowiek, postaci atletycznéj, o bladych oczach i lnianych włosach.

Zwrócił na mnie blade oczy, jakby czegoś oczekiwał. Silna woń mieszanych perfum wiała od tych niezwykłych gości i podczas gdy dama, wraz z dymkiem papierosa, wydmuchiwała strugi piżma, młody mężczyzna otaczał się, jak mógł najszerzéj, atmosferą paczuli.

— Księżna powiada — ozwał się ojciec z uśmiechem — że jest formalnie w tobie zakochana. Utrzymuje, że wczorajsza twoja tualeta na raucie zrobiła *furorę*.

— *Je vous aussere* — odparła księżna — takiéj tualety nikt nie miał na wieczorze. Materya jedwabna „peau de soire", różowa, pokryta gazą haftowaną złotem, do tego szarfa „Directoire", *c'était sublime!*

— Nie moja to zasługa — odpowiedziałam skromnie, kłaniając się pani Zenobii.

— Wyglądałaś pani jak marzenie, *comme une apparition*!

— *Oui, comme une apparition!* — powtórzył, jak echo, młody mężczyzna.

Tak zwana księżna, dama około czterdziestu lat mająca, przyjechała niedawno z północno-wschodnich kresów naszéj ziemi, jako wdowa po jednym z tamecznych kniaziów, ze swoim kuzynem, używającym tego samego tytułu. Był to ród niegdyś możny, dzisiaj majątkowo podupadły.

Ojciec silił się na wyszukaną konwersacyę z księżną, dobywał ze wspomnień swoich najświetniejsze momenta, a wszystko to wypowiadał tak czystą francuzczyzną, jakiéj od dawna u niego nie słyszałam. Widać było, że wizyta księżnéj wraz z kuzynem, sprawiła mu wielkie ukontentowanie. Wśród swoich opowiadań zwracał się często do mnie, abym to i owo księciu Jarosławowi okazała: album widoków Bosforu, fotografie premiowanych piękności, albo portrety najsławniejszych w Europie koni wyścigowych. Raz nawet chciał, abym francuski romans zaśpiewała, który na wieczorze u księżnéj Matyldy taki aplauz wywołał.

Pani Zenobia jednak zauważyła, że jakkolwiek bywają „matinées musicale", przed obiadem jednak

niebardzo stosowną jest muzyka, dla której trzeba pewnego wieczorowego podrażnienia nerwów.

Nie skorzystałam z żadnego projektu ojca, bo wolałam w rozmowie z księciem czegoś się od niego dowiedzieć. Niewiele mogłam się dowiedzieć. Był on skąpy w słowach, jak kapłan egipski, albo, mówiąc po naszemu, rabin cudowny. Często tylko głową przeczył lub przyznawał. Blademi oczyma patrzał to na moją grzywkę, to na pasek z czarnego rzemienia, nabijany srebrem, to na koniec bucika, który z pod sukni, przy żywych moich ruchach, się ukazywał.

Przychodziła mu w pomoc pani Zenobia, która, według swego zwyczaju, zadawała mu różne pytania i sama zaraz na nie odpowiadała.

Wypełniło to wszystko jakie pół godziny, poczém skończyła się wizyta. Pożegnaliśmy się serdecznie, dawszy sobie *rendez-vous* w teatrze.

Już z przedpokoju wróciła się księżna Adela z zapytaniem do mnie:

— Powiedz mi, *ma chère*, jaką weźmiesz toaletę do teatru? Nie skorzystam z tego, *je vous donne ma parole*, ale nie chcę mocno od ciebie odbijać.

Ruszyłam ramionami. Odpowiedziała za mnie pani Zenobia:

— Już pomyślałam o tém. Anetka będzie miała okrycie z pluszu koloru „scabieuse", przód haftowany srebrem, bramowanie futrem z białych kóz.

— Widzę, że z wami trudno rywalizować. Wezmę suknię „à la religieuse", zarzutkę czarną „cardinal", aby od panny Anety odbijać prostotą i skromnością!... *Et vous madame?*

Pani Zenobia uśmiechnęła się na tak przezroczysty komplement.

— *Moi* — odpowiedziała z uśmiechem naiwnym — cóż ja na to odpowiem? Wybiorę zapewne coś z zeszłego stulecia... z czasów mojéj młodości!... *N'est ce pas, ce sera joli?*

— Wyborny żarcik i skromność niezwykła! *Au revoir!*

Młody kniaź był niemym świadkiem téj dodatkowéj rozmowy i ograniczał się tylko na sympatycznym uśmiechu, jakim mnie, ojca i panią Zenobię kolejno obdzielał.

Po oddaleniu się gości, wróciliśmy wszyscy do salonu, jakbyśmy tam sobie mieli co do powiedzenia. Nikt jednak z nas nie przemówił.

Ojciec, włożywszy ręce do kieszeni, zaczął się po salonie przechadzać. Spuścił oczy na posadzkę, jakby kontrolował ułożone tam parkiety.

Od czasu do czasu podnosił oczy na mnie, jakby o coś zapytywał. Nic mu nie odpowiadałam, oczekując od niego piérwszego słowa.

Przerwała tę pauzę pani Zenobia.

— Ależ księżna jest jeszcze młoda — zaczęła — i wcale dobrze wygląda! Widać, że była bardzo

piękną, a dzisiaj zostały jeszcze obfite *les beaux restes*. Czy tego nie widzisz, kuzynie? Patrzałeś na nią, jak znawca na znakomity obraz.

Ojciec poczerwieniał zlekka, jak gdyby się poczuł do jakiéj winy. Przyszłam mu w pomoc.

— Jeżeli ojciec — ozwałam się — rzeczywiście jako znawca dzisiejszy obraz admirował, to mogłoby zażenować, gdyby jaki profan chciał go uznać za podrobiony.

— Jak możesz tak na wiatr mówić? — odparł urażony moim żartem — znam doskonale wszystkie jéj koligacye i wiem, że pochodzi w prostéj linii od znanych książąt, a matka jéj należała do jednego z piérwszych rodów żmujdzkich, o którym Paprocki, Niesiecki, a dzisiaj Żychliński...

— Ależ ojcze, — przerwałam heraldyczny zapęd ojca — ja nie mówiłam nic o pochodzeniu księżnéj, tylko o jéj wdziękach!

Ojciec zmierzył mnie okiem podejrzliwém.

— Wdziękach?—powtórzył—któż mówi o wdziękach u kobiety, która może być twoją matką...

— Matką? — podjęłam figlarnie.

— Tak jest, matką, — kończył ojciec, jakby w gniewie — matką, któréj mogłabyś być córką.

Nie był jakoś rad i z tego szyku słów swoich, dodał bowiem zaraz:

— Przecież ty masz niespełna dwadzieścia dwa lat, a pani Adela nie przechodzi jeszcze czterdzie-

stu. W takim wieku nie szuka się wdzięków wiośnianych, ale pewnych wyższych zalet, które więcéj znaczą, niżeli młodość.

— Zapewne... przymioty duszy i serca... umysł wysoko wykształcony... pragnienie uczynków dobroczynnych i różnorakie cnoty miłości bliźniego...

Nie podobał się ojcu mój humor.

— Lubisz dowcipkować, a to niezawsze ci się udaje. Słyszę, że młodzież z tego powodu stroni od ciebie; to niedobrze!

— Czy co złego powiedziałam o księżnéj?

— U niéj potrzeba uwzględnić stanowisko, jakie zajmuje. Wdzięki jéj płyną z pochodzenia rodowego, a te są trwalsze od wdzięków młodości! Już sama atmosfera takiéj kobiety...

— A pfe! piżmowa!

— Jesteś niepoprawna! A młody książę czy ci nie pachnie?

— Paczulą!

— Zielone winogrona, *chère Annette*, zielone dla ciebie!

— Mówisz tak, jakby cię już chciał! — wtrąciła pani Zenobia — daleko jeszcze, bardzo daleko do tego!

— Niech będzie jak najdaléj — nie znoszę paczuli!

Uścisnęłam radośnie ojca i panią Zenobię, a ta wesołość moja rozzbroiła ich z chwilowego gniewu. Spojrzeli na siebie z widocznem zadowoleniem.

XX.

Młody kniaź zmienił moje położenie. Na salonach widziano w nim piérwszego mego konkurenta. Niemała liczba młodzieży kręciła się wokoło mnie. Wielu z nich probowało ataku, jeżeli nie do mojéj ręki, to przynajmniéj do mego serca lub współczucia, jako piérwszego etapu dalszych nadziei, mimo to, nie widziano w żadnym z nich starającego się kawalera. Był to zwykły orszak, jaki każdą młodą, a do tego bogatą pannę otacza, z którego dopiéro z czasem wyłania się jeden lub drugi bohater.

Dotąd nie widziałam go jeszcze, albo raczéj ujrzéć nie mogłam, bo zasłaniał go bladą i milczącą twarzą swoją — Jerzy.

Młody książę już stanowiskiem swojém odznaczył się od innych. Wyrósł im po nad głowy, a gdy stanął przy mnie, ujrzano go zaraz. Zaczęto mówić o nim i o mnie, a to dało powód do różnych kombinacyi.

Byłabym nieszczerą, gdybym chciała twierdzić, że taki wypadek był dla mnie objętny.

Kniaź, a raczéj książę, jak go oficyalnie w salo-

nach nazywano, nie zachwycał mnie wcale ani urodą, ani tém, co miał w głowie, ale sam tytuł jego rzucał na mnie światło elektryczne. Mogłam być księżną, a jako taka, dobierać sobie towarzystwo według upodobania, nietylko w całym kraju, ale także i w całéj Europie.

Magiczne to słowo otwierało mi bramy ziemskiego raju, a gdyby tego zaszła potrzeba, skupiłoby koło mnie rzeszę hołdowników. Taką aureolą nie każda gardzi kobieta, tém mniéj, jeśli ma środki podtrzymania świetlanych jéj blasków.

Być może, iż każda inna na mojém miejscu byłaby z uległością przyjęła ten dar bogów i dla niego wyrzekła się swoich mrzonek dziewiczych. Dla mnie jednak nie miał on wiele uroku.

Młody książę nie był stworzony na bohatera. Objawiał pewne niedomaganie umysłowe, wiedza jego zamykała się w ciasnym zakresie, a we wszystkiém odnosił się do swojéj kuzynki, pani Adeli, która nim kierowała, jak manekinem.

Dowcipniejsi z pośród młodzieży opowiadali nawet różne anegdotki, jako to: że sama księżna wydawała fryzyerowi rozkazy, jak mu włosy zaczesać, jaką grzywkę na czole ułożyć, a krawcowi, jak mu przykroić tużurek i jaką materyą mają być klapy wyłożone.

W salonie nadzorowała go swojém okiem i mimiką dawała mu stosowne upomnienia. Młody książę tak był przywykł do tych upomnień, że w każdéj

krytyczniejszéj chwili zwracał oczy na swoją guwernantkę, a na twarzy jego malowała się prawdziwa rozpacz, jeżeli księżna pani zajęta była rozmową z innymi.

Taki bohater nie mógł w sercu mojém, mimo wszelkiéj próżności kobiecéj, obudzić marzeń matrymonialnych, ale przyznaję się do słabości, że w zaprzęgu mego rydwanu sprawiał mi wielkie zadowolenie. Rosło ono tém bardziéj, im więcéj wkoło siebie spostrzegałam zazdrości u moich rówieśniczek. Nie tajono się z tém bynajmniéj. Jedne życzyły mi z obłudną przyjaźnią tak wyjątkowego powodzenia, inne, niewprawne jeszcze do téj gry towarzyskiéj, patrzały na mnie okiem melancholijném lub wprost zawistném. Były nawet takie, które mu różne łatki przyczepiały, chcąc go w moich oczach ośmieszyć. Czytałam jednak w ich spojrzeniach, że byłyby najszczęśliwsze, gdyby młody książę ku nim swe afekta zwrócił.

Bądź co bądź, kniaź Jarosław zmienił wiele koło mnie.

Mniéj odważni cofnęli się na drugi plan, inni zaś, których energia została przez to podrażnioną, stanęli odważnie do walki. Jako nieznani dotąd rycerze, zdjęli przyłbicę, gotując się do harców.

Było ich kilku. Jeden z nich, pan Achil, kuzyn mojéj przyjaciołki, hrabiny Izy, był doświadczonym lwem salonów. Nie zdobył on dotąd Troi, ale nie-

jedna Helena rzucała tęskne za nim spojrzenia, że nie dotrzymał co obiecywał.

Młodszych wprowadzał w świat, niedoświadczonym udzielał swoich doświadczeń, potrzebującym dawał skuteczne rady, a z bogatszymi dzielił się sumiennie ich zasobami. Miał kawalerskie wykwintne mieszkanie, lokaja w liberyi, wierzchowca maści kasztanowatéj i starą ciocię, baronową Fipcię, czyli raczéj Filipinę z Grunwaldów Opacką. Był także kuzynem hrabiny Izy, u któréj pełnił urząd reżysera zabaw wieczornych. Pani Iza często mi o nim prawiła i widać było, że chciała go forytować na mego dozgonnego towarzysza.

Między młodzieżą naszą był pan Achil rzeczywiście bohaterem; prowadził tańce, rozsądzał *prima vista* nieporozumienia honorowe, wynikłe podczas balu, urządzał składkowe obiady, układał *menu* i wznosił odpowiednie toasty. Żaden pojedynek nie odbył się bez niego; on dawał komendy strzałów lub godził przeciwników przy zamrożonym szampanie.

Była to znakomitość i powaga swojego rodzaju.

Krępy, nieco szpakowaty, miał twarz rumianą, wąsy czarne, do góry zakręcone. Lubiły go starsze mężatki i młode wdowy, którym dostarczał tancerzy do herbat tańcujących.

Umiał on dla wszystkich być potrzebnym, wszyscy lubili go i przyjmowali. W karty grał szczęśli-

wie, a to szczęście, prócz cioci Fipci, miało podtrzymywać jego niezawisłą egzystencyę.

Jakkolwiek moja przyjaciółka, hrabina Iza, często mi go przed oczy stawiała, nie brałam jednak tego na seryo. Doświadczony Adonis stroił do mnie różne miny, nie szczędząc półsłówek, które mnie mocno bawiły. Był on śmielszy od innych, co dawało mi prawo odcinać się śmieléj, aniżeli innym. Bywały między nami dyalogi, przy których hrabina Iza pękała od śmiechu, a często nawet wołała w ekstazie:

— Wyście oboje dla siebie stworzeni!

— Czyż mógł Pan Bóg — odpowiedziałam, śmiejąc się — zrobić taką pomyłkę, stwarzając mnie kilkanaście lat późniéj?

— Tyle właśnie czasu potrzeba było na skombinowanie tak doskonałéj istoty! — odpowiedział spokojnie pan Achil.

— Wolałabym być mniéj doskonałą, a więcéj młodszą od przeznaczonego mi ideału.

— *C'est un blasphème!* — wtrąciła pani Iza. — Przeciw wyrokom Boga nie należy oponować.

— Zaczekajmy aż te wyroki staną się prawomocne — odrzekłam, podając rękę niezwyciężonemu bohaterowi. — *Cinna, soyons amis!*

Cinna uścisnął moją rękę i złożył na niéj konwencyonalny pocałunek, zostawiając po nim wspomnienie rezedy.

Drugim pretendentem do mego serca był oficer

od ułanów, który polkę i walca tańczył *en artiste*. Nazwisko jego, jakkolwiek bez tytułu, dobrze brzmiało, a przez koligacye dawało mu prawo do bywania w wyższych sferach towarzystwa. Oprócz złotych sznurów przy mundurze, nie posiadał on wiele złota, ale za to miał w perspektywie przyobiecane szambelaństwo, o czém matka jego wszystkim na ucho mówiła. Chodziło tylko o sprawdzenie szlachectwa prababki, któréj nazwisko obce było Paprockim i Niesieckim.

W świecie młodszym był porucznik powszechnie lubianym; na balach dobijano się o niego, a z kotyliona wychodził, jak nowożytny bohater, obwieszony orderami i krzyżami rozmaitych narodów na kontynencie i po za nim.

Z porucznikiem lubiłam tańczyć i rozmawiać. Zachowanie się jego było odpowiednie znakowi, pod którym służył. Jako towarzysz lekkiéj kawaleryi, traktował lekko warunki ataku i walki, okrążał nieprzyjaciela jak ptak chyżopióry, wymierzał z nienacka nieszkodliwe cięcia, udawał ucieczkę lub rzeczywiście uciekał, ujrzawszy drugiego, godnego siebie nieprzyjaciela.

Był on w tym względzie sumiennym, jak rzadko. Wychodząc z punktu, że dla wszystkich panien jest pożądany, dzielił swoją wiedzę, koncepta, anegdotki i udatniejsze frazesa na małe dawki i wszystkie niemi, jak oszczędny aptekarz, zaopatrywał. Był on

podobny w tym względzie do słabego mocarza, który wszystkim ofiaruje swą przyjaźń i wzajemnie się o nią stara.

Wszystkie panny były rade z téj dyplomacyi, miały bowiem na zawołanie zręcznego tancerza, nieszkodliwego „causera" i usłużnego posługacza, czyli, jak się nazywał sam, przyjaciela.

Za te drobne usługi zostawiano mu chętnie wiarę, że każda mogłaby przyjąć go, gdyby się oświadczył. Dotąd jeszcze tego nie uczynił.

Zaraz za porucznikiem, a może i przed nim, stali dwaj bracia przyrodni, z których jeden był hrabią, a dla drugiego starał się właśnie ojciec o taki tytuł w sposób urzędowy, choć prywatnie dawno go posiadał. Bracia Kastor i Polluks stawali zawsze przedemną w jednéj linii.

Żaden z nich nie zbliżył się do mnie więcéj od drugiego, żaden nie wyrzekł ostrzejszego słowa.

Jeden był brunetem, drugi blondynem i widocznie pozwalali mi wybierać pomiędzy sobą. Mówili mi często, że obaj bardzo się kochają i że szczęście jednego byłoby szczęściem dla drugiego. Co do ogłady salonowéj byli obaj wzorowi.

Ubierali się starannie, w grzeczności dla dam byli niedościgniени, dowcip ich był wykwintny, lecz łagodny. Posiadali wiedzę rozległą, lecz nikomu nią nie imponowali.

Z ludźmi odmiennych zdań łatwo zawierali kom-

promisy, nie wydawali zbyt ostrych wyroków na winnych, niewinnych nie bronili gwałtownie — słowem, byli to ludzie bardzo dobrze wychowani. Mogłam z nich wybrać jednego bez urazy drugiego. Ponieważ zawsze obaj stali przy mnie, nie mogłam sprawdzić tego przypuszczenia.

Bardzo poufale obchodził się ze mną pan Zbigniew, rządowy praktykant w biurze władzy krajowéj.

Matka jego, spokrewniona z piérwszymi rodami w kraju, mawiała każdéj, która chciała słuchać, że „Zbinio" za trzy lata będzie starostą, za pięć lat hofratem, a za dziesięć przynajmniéj ministrem handlu i komunikacyi.

Tymczasem prowadził pan Zbigniew tańce w salonach, przy których tak głośno komenderował, jakby już był ministrem, ale nie handlu, tylko wojny.

Mówiono także, że w spółce z jakimś literatem pisze komedyę obyczajową. Zwykle traktował mnie z góry, jak kapral szeregowca, gdy panna Lunia, dotychczasowa jego bohaterka, na nas patrzała—w przeciwnym razie rozgniatał mi palce, nachylał się do mojéj twarzy i przez złote „pince-nez" wtłaczał mi w oczy zabójcze spojrzenia.

Bardzo przyzwoitym sąsiadem przy kolacyach był dla mnie pan Kajetan Odrowąż, bezpłatny docent na uniwersytecie. Poświęcał się głównie literaturze, a rodzona ciocia jego, imćpani Pelagia, utrzymywała iż pan Kajetan na to tylko wybrał sobie ten przed-

miot, aby w krótkim czasie zostać w centralnym zarządzie państwa ministrem oświaty.

Był to człowiek wszechstronnie wykształcony, poważnie traktujący rzeczy światowe, tylko gdy w oczy moje znienacka spojrzał, miał minę zachwyconego Anakreonta.

Między tymi, którzy mnie najbliżéj otaczali, był jeszcze jeden, którego nie wszyscy widzieli. Nie cisnął się do mnie, przeciwnie, stał jak najdaléj. Nie mówił wcale, tylko patrzał zdaleka. Ustępował mi z drogi, gdym koło niego przechodziła i cofał się w najodleglejszy kąt salonu.

Był to młodzieniec o bladéj, prawie przezroczystéj twarzy, szczupły i drobny. Przebył już od paru lat dwudziestą wiosnę, był doktorem filozofii, a nawet i obojga praw, mimo to nie miał na twarzy żadnego zarostu. Duże czarne oczy patrzały rozmarzone z pod wypukłego czoła, a czasami pokrywały się mgłą tak nieprzezroczystą, że nie można było widzieć, gdzie patrzą.

Niezwykłém był on zjawiskiem w salonach. Chodził najczęściéj sam, rzadko z kim zawiązał rozmowę, panien unikał, przysiadując się czasem tylko do matron bardzo poważnych i znanych z pobożności.

Zaciekawiła mię ta postać.

Widziałam jego ukradkowe spojrzenia na mnie i chciałam, choćby z ciekawości, zbliżyć się do niego, jeżeli on sam widocznie mnie unikał.

Pewnego wieczora znalazła się sposobność, chociaż niezbyt zręcznie przezemnie obrana.

Tańczyłam właśnie polkę „trotteuse" z moim porucznikiem od ułanów. Przy takim tancerzu wyglądałam zapewne bardzo świetnie, bo słyszałam z kanap i z fotelów różne wykrzykniki zachwytu.

Po części może przyczyniła się do tego moja suknia „vert de Nil", z przodem, pokrytym falbaną koronkową, a na ramionach spięta brylantowemi półksiężycami.

Postanowiłam skorzystać z wrażenia, jakie wywołałam i opuściłam tancerza przed fotelem, na którym siedział rozmarzony doktór filozof.

Zarumienił się jak Serafin, gdy się ujrzał w mojéj atmosferze i szybko powstał z fotelu, odstępując mi go na odpoczynek. Przyjąłam ofiarę, ale wezwałam go, aby się postarał o inny fotel i przy mnie usiadł.

Zawahał się chwilę, ale właśnie opróżniło się sąsiednie krzesło. Nie było wyboru, musiał usiąść.

Widziałam, że czynił to nawet z pewnym wewnętrznym uporem.

— Czy pan nie tańczysz? — zapytałam, chłodząc się wachlarzem.

— Nie tańczę — odpowiedział, spuszczając oczy na parkiety.

— Nigdy pan nie tańczyłeś?

— Tańczyłem w piérwszych latach mojéj młodości.

— A kiedyż to było, dla Boga?

— Gdy byłem uczniem w gimnazyalnym.

— To bardzo dawno!

— Dosyć dawno; kilka lat temu.

— Kilka lat tak wiele zmienia?

— Nietylko lata, ale minuty i godziny mogą wiele zmienić.

— Czy w téj minucie nie zmieniłeś się pan?

— Dotychczas... może nie, ale najsprawiedliwszy upada.

— Przebóg! Chcesz mię pan obarczyć jaką winą? Odchodzę!

— Nie odchodź pani, poświęć mi jeszcze kilka chwil... Ach! poświęcenie, jestto najwyższa, ale oraz i najsłodsza cnota chrześcijańska.

— Pan mówisz, jakby z doświadczenia... czy poświęcałeś się kiedy?

— Potrzeba pierwéj miéć coś do poświęcenia. Cóż mógłbym Bogu lub ludziom poświęcić?

— Bogu, co bożego, a ludziom, co ludzkie.

— Wszystko należy do Boga.

Spojrzałam na Cherubina. Był w téj chwili różowy, jak jutrzenka, a do połowy przykryte oczy świeciły się, jak dwie gwiazdy zaranne. Bawił się lapisową rękawiczką, a na ustach jego igrał uśmiech, jakby był w zachwyceniu.

— O czém pan marzysz?

— O poświęceniu się.

— Czy czujesz pan skłonność do tego?

— Jestto mojém marzeniem! Żyć dla innych, pracować dla nich cierpiéć. Wszystko dla Boga i dla nich, nic dla siebie! Czyż to nie rozkosz nadziemska?

Zajrzałam mu w rozmarzone oczy. Płonęło tam jakieś światło mistyczne, którego ziemia nie rodzi.

— Czy z życia nic pan nie chcesz dla siebie?

Spojrzał na mnie okiem prawie ziemskiém, a smutne usta jego zadrżały nieznacznym uśmiechem.

— To, cobym chciał posiąść — odpowiedział — jest zbyt wysoko i daleko odemnie!

— Czy pan myślisz o królestwie niebieskiém?

— Chociażby tylko... o królestwie na ziemi!

— Podaj się pan na księcia Bulgaryi!

Cherubin zmarszczył brwi, a ukośne spojrzenie jego zdawało się teraz mówić: „Królestwo moje nie jest z tego świata!"

Od dalszych, może jeszcze pogardliwszych spojrzeń, uwolnił mnie mój ułan, zapraszając do polki.

Uśmiechnęłam się do Cherubina, jak zdradliwa Satanella i puściłam się, jak kometa, w objęciach ułana.

Cherubin patrzał za mną, jak uwolniony od szatana pustelnik, bo taki miał na twarzy wyraz, jakby w duchu do Boga się modlił, dziękując za szczęśliwie

pokonaną pokusę. I mnie podrażniła nieco ta dziwna w salonie rozmowa.

Uwolniwszy się wreszcie z objęć porucznika, usiadłam przy pani Pelagii.

— Wyglądasz dzisiaj niezwykle — rzekła do mnie — taką cię jeszcze nie widziałam. Czy przypadkiém nie roi się co w serduszku twojém, dotąd szczelnie zamkniętém, jak mój Kajcio zawsze utrzymuje?

Wzruszyłam ramionami, aż półksiężyce moje snopami światła zabłysły.

— Nie przyznajesz się, ale ja dostrzegłam. Przestrzegam cię jednak, że pan Celestyn dla ziemskich kobiet stracony.

— Dowiedziałam się właśnie o tém wielkiém nieszczęściu.

— To nieszczęście wybiera sobie pan Celestyn dobrowolnie. Poświęca się stanowi duchownemu.

— Czy czuje powołanie?

— Powiada, że czuje.

— Czy nie jest to zawcześnie?

— Ojciec od najpiérwszéj młodości przeznaczył go do tego stanu i w tym kierunku prowadził jego wychowanie.

— Aby został zakonnikiem?

— Gdzież tam — biskupem, arcybiskupem, a jeśli Bóg pozwoli — kardynałem.

— Więc ma być dygnitarzem kościoła?

— Dygnitarstwa w kraju i w kościele należą do tradycyi tego historycznego rodu.

Z niekłamaną sympatyą spojrzałam na młodego Cherubina. Siedział nieruchomy na fotelu i patrzał na kwadrat posadzki, na którym przed chwilą spoczywały moje atłasowe buciki. Zapewne rad był, że pokusa uciekła od niego.

W téj chwili przyszły minister zawezwał mnie do tańca. Rzuciłam się mu w objęcia jakimś dziwnym szałem podniecona, a suknia moja zaszeleściała, jak wzburzone fale Nilu.

Szum ten przebudził młodego pustelnika. Podniósł oczy i z pewną trwogą patrzał na mnie, jak na gwiazdę z nieba spadającą, któréj światło bengalskie widocznie go raziło. Mrużył źrenice, gdym się zbliżała do niego.

Były to może tylko blaski z moich ramion, na których tkwiły półksiężyce brylantowe.

XXI.

Przywykamy do atmosfery, w któréj dłuższy czas żyjemy. I ja zaczęłam się powoli przyzwyczajać do tego szumu, który mię teraz otaczał.

Nie wiele z tego szumu pozostało w pamięci, nie wyłoniło się żadne ciekawsze słowo, nad którém można byłoby dłużéj rozmyślać, żadne trwalsze nie pozo-

stało wspomnienie. Wszystko to, co w téj atmosferze brzęczało, należało do wielkiéj rodziny efemeryd, które przed wschodem słońca się rodzą, a po zachodzie giną.

Szum ten jednak miał swoje powaby. Podrażniał nieszkodliwie zmysły, wypełniał długie, nudne godziny wieczorów zimowych, a w najgorszym razie obiecywał, jak w grze loteryjnéj, pewne drobne wygrane, które nie wymagały wielkich stawek. Miał przytém cechę pewnéj sztuki, a każda sztuka bawi. Były w niéj pewne tony artystyczne, zrozumiałe dla wtajemniczonych. Artystyczna ta przyprawa życia kosztowała wprawdzie wiele pieniędzy, ale za to ekspens moralny był bardzo skromny.

Jeżeli więc z jednéj strony widać było lukulusową rozrzutność, a z drugiéj widoczna była oszczędność.

W ten sposób można się było nieźle zabawiać, jeżeli tylko środki pieniężne na to pozwalały. Bawili się więc ci, którzy się tak bawić mogli.

Przyzwyczaiłam się powoli do takiego życia. Szum ten dźwięczny, choć nie zawsze zrozumiały, wydawał mi się, jak owe „pieśni bez słów.” Słucha się ich z przyjemnością, ale każdy co innego w nich słyszy. Dla mnie były one pewném przyjemném odurzeniem. Wiedziałam, że to sen tylko, ale nie chciałam się z niego obudzić.

Nie pytałam, jaka potém czekała mnie rzeczywi-

stość, bo na to pytanie było jeszcze dosyć czasu. Chwilę przebudzenia odkładałam na później.

Tak rozmarzona i marząca, siedziałam po ostatniéj polce na fotelu, odpędzając wachlarzém wszelkie niemiłe myśli. Koleją przychodzili i stawali przedemną rycerze tanecznych turniejów.

Jeden pytał, czy nie jestem zanadto zmęczona, drugi chciał mi podać lody lub wino, trzeci mówił coś o wspomnieniach tego wieczoru, a kniaź Jarosław utyskiwał, że nie jest księciem udzielnym, i że nie może na moje włosy włożyć korony dynastycznéj. Zepchnął go z toru rzeczywisty porucznik, a przyszły szambelan, zabawiając mię rozmową o swoim bułanym „Batorym," który „bierze" wszystkie przeszkody.

Jeden tylko nie zbliżył się do mnie. Niebu poświęcony pan Celestyn stał w najciemniejszym kącie salonu, tuż koło kolumny z wazą etruską i wyglądał, jak żywy pomnik. Wydawało mi się, że duma nad grobem młodych marzeń swoich, do których może i ja, choćby na chwilę tylko, należałam. Widziałam siebie już w tym grobowcu, jak mumię, spowitą w prześcieradło...

Biedny Celestynie, czemuś ty taki okrutny? Mordujesz rozkoszne mrzonki swoje i wtłaczasz je do przedwczesnéj mogiły!... I mnie tam już złożyłeś, w mojéj przepysznéj sukni „vert de Nil" z przodem koronkowym i z półksiężycami brylantowemi na ramionach!

Czyż warto było tak się ubierać, i w tym ubiorze słodkie chwile przemarzyć przed zwierciadłem? A ty rzucasz wszystko do ziemi, gdzie pleśń i stęchlizna! O marność nad marnościami, *vanitas vanitatum!*

— *Savez-vous* — ozwał się w téj chwili porucznik — urządzamy przepyszny kulig w dwanaście par, nie licząc organisty i żyda, czy zechcesz pani być moją krakowianką? Będę miał białą kierezyę, złotem wyszywaną — możesz pani do tego dobrać swój kostyum.

— *Vanitas vanitatum!* — powtórzyłam jakby do myśli swoich.

— *Quel mot horrible!...* Gdzież pani jesteś?

— Na cmentarzu!

— Na czyim grobie?

— Na moim własnym!

— Któż panią tak fatalnie ulokował?

— Pan Celestyn!... Patrz pan... tam przy urnie oparty na złamanéj kolumnie, stoi i śpiewa nademną; „Salve regina!"

— Te słowa mogą co innego oznaczać!

— Nie panie, jest to ostatnia pieśń na pogrzebie.

— Zkąd tak smutne myśli?

— Czyż nie wolno smucić się nieboszczykowi?

Ułan roześmiał się prawdziwie żołnierskim śmiechem.

— Jeżeli tu o Celestyna chodzi, to nie pani, ale

on wygląda raczéj na nieboszczyka! W takim razie przystoi pani rola wskrzesić go do życia.

— A gdyby to mi się udało?

— Miałabyś pani przed sobą — drugiego nieboszczyka!

Ułan ukłonił mi się na znak, że on byłby tym nieboszczykiem.

Nieboszczyka usunął na bok profesor.

— Ile razy na panią spojrzę—ozwał się z uśmiechem — przypomina mi się jedna z wybitnych germańskich postaci: Tusnelda!

— Wczoraj mówiłeś pan o Grymhildzie!

— Zapewne inne było otoczenie i tło. W życiu codziennem, jak i w dziejach ludzkości, zależy wiele od tła i otoczenia, na którém rysują się postacie ludzkie. Podkład taki nadaje im różne cechy charakterystyczne.

— Jaką na tém tle ma cechę pan Celestyn?

Profesor spojrzał w kąt salonu i milczał czas niejaki.

— Pan Celestyn — rzekł po chwili — bardzo dobre ma tło i akcesorya. Życie jego, to jest życie w znaczeniu ziemskiém, jest złamane, jak ta złamana kolumna, na któréj się opiera. Ale po nad nim góruje urna, która wprawdzie zawiera w sobie resztki ziemskości, lecz właśnie w tych popiołach rodzi się Feniks, który niebawem uniesie go w wyższe krainy życia.

Przerwał mu przyszły dygnitarz koronny, a dzisiaj praktykant bezpłatny w biurze władzy krajowéj.

— Salon nie katedra, zacny profesorze — zagadnął obcesowo — czy wiesz pani, że książę Jarosław chciał z rozpaczy oknem wyskoczyć, nie mając od kuzynki żadnych rozkazów, co ma daléj robić?

— Gdybyś pan tak, jak książe Jarosław na kuzynkę, patrzał na swego szefa i jego rozkazy wypełniał, byłbyś pan już dawno na komisarza awansował.

— Przeciwnie, przykład księcia Jarosława odstrasza mnie od téj rady ze strony pani. Widzę, że on — nie awansuje.

— Może pan źle widzisz?

— Jeśli tak, to nic innego nie pozostaje, jak skłonić się pokornie nieubłaganéj królowéj, która już awansy podpisała.

— W takim razie... czy mogę moim przyjaciółkom powiedzieć, żeś pan odemnie dostał odkosza?

— Co to, to nie! — szybko przerwał przyszły dygnitarz — przecie korona posiada jeszcze prawo łaski do którego, gdy będzie czas po temu, nie zaniedbam się udać.

Z niezwykłą energią stanął teraz przedemną książe Jarosław.

Starannie na jego czole rozdzielona grzywka zbiła się w jednę masę, jak się zbija stado owiec na widok rozwartéj paszczy wilka.

— *Excusez, dites moi* — ozwał się sopranowym głosem — co mam robić? Nie mówiłem z panią cały wieczór, nie tańczyłem i nie siedziałem nawet przy pani! Mogłem tylko patrzéć!

— I patrzałeś pan?

— Patrzałem, ale pani patrzałaś na kogo innego!

— To fatalnie!... Zapewne nie patrzałeś pan dobrze. Mówią, że silne i energiczne spojrzenia zwracają kobietę twarzą do patrzącego, jak gorące promienie słońca obracają słonecznik do ognistéj tarczy nieba!

— Ależ patrzałem tak mocno, aż mi moja kuzynka to zganiła, mówiąc, że więcéj zdziała łagodne słowo, niżeli spojrzenie zabójcze.

— O zachcianki zabójcze przecież pana nikt nie posądzi.

— *Excusez* — ja umiem zabijać. Gdy jestem na polowaniu, to wszystko strzelam — zająca nie zająca, kozioł nie kozioł, lis nie lis... puf! bęc!... A raz postrzeliłem nawet chłopa z naganki.

Przestraszyłam się tych mordów książęcych, ale w sam czas skinęła na mnie pani Zenobia.

Powiedziała mi, że ma migrenę i że, jakkolwiek jest jeszcze bardzo wcześnie, chce salon opuścić.

Ojca mego nie było, bo miał na dzisiaj wieczór jakieś interesa z prawnikiem. Musiałam się więc do woli pani Zenobii zastosować. Wyniosłyśmy się cicho,

aby zabawy nie psuć, tylko w przelocie uściskałyśmy rękę gospodyni.

Mimo dobrze zachowanéj tajemnicy, zastałyśmy przy karecie kilku usłużnych naszych przyjaciół. Po jednéj stronie stał pan Achil, który dzisiaj z bufetu do salonu nie wychodził, wraz z docentem literatury niemieckiéj, a z drugiéj nieunikniony ułan z przyszłym dygnitarzem koronnym. Książe nie miał zapewne rozkazu. Ukazał się także na schodach za nami pan Celestyn — ale widocznie spóźnił się.

Patrzył za nami, jak patrzy podróżny za odpływającym okrętem, który go nie wziął ze sobą.

XXII.

Siedząc w karecie obok pani Zenobii, myślałam o wieczorze, który dzisiaj przyniósł dla mnie więcéj rozmaitości. Doznawałam nawet pewnego zadowolenia. Miałam najprzód niezwykłe powodzenie, co dla kobiety nigdy nie jest obojętném. Młodzież dobijała się o mnie w tańcach, a starsze kobiety nie szczędziły mi komplementów. Jedne chwaliły gustowną tualetę, inne były tego zdania, że nigdy nie byłam tak piękną jak dzisiaj. Prócz tego młody Cherubin zostawił mi takie wspomnienie niezwykłe.

Młodzieńczy doktór filozofii, który całą mądrość świata składał objawionéj prawdzie w ofierze, z do-

datkiem młodych marzeń swoich i całego swego życia, zarysował się wybitniéj w mojéj pamięci. Było wiele uroku poezyi w téj jego ofierze, coś prawie nieludzkiego.

Przedstawiał mi się jak cień przezroczysty, a jednak w tym cieniu ujrzałam bijące serce, które mogło bić i dla ziemskich kwiatów!... A wszystko to miałam w téj chwili po za sobą!

Mimo to nie czułam za tém wielkiego żalu. Nie gniewałam się wcale na panią Zenobię, żem z jéj przyczyny tak wcześnie opuściła wieczorek. Mogłam się była jeszcze kilka godzin wybornie bawić, mogłam z ułanem przetańczyć kilka szalonych polek z profesorem mówić o Tusneldzie i Nibelungach, przy młodym księciu dowolnie się naśmiać—wszystkiego jednak tego nie żałowałam.

Rada byłam, że jadę do domu. Nie było to wskutek zmęczenia, bo zmęczoną wcale się nie czułam. Przeciwnie, byłam przyjemnie podrażnioną, jakbym jechała na drugi, niemniéj przyjemny wieczorek.

Doznawałam uczucia, jakbym czegoś jeszcze oczekiwała, jakby dzień dzisiejszy nie miał się zakończyć rozebraniem i udaniem się na spoczynek.

Zawiele życia czułam w sobie, aby to mogło nastąpić.

Były chwile, w których śmiałam się z tych moich przypuszczeń. Brałam wszystko za rozdrażnienie,

jakiemu ulegały jeszcze moje nerwy po tańcach i rozmowach. Miałam nadzieję, że się uspokoją, gdy do domu przyjadę.

Droga z wieczorku do naszego domu była dosyć długa. Widziałam przez szybę migające latarnie, tu i owdzie widziałam w kamienicach okna jasno oświecone, a nawet zdawało mi się, że słyszę muzykę i tupanie. Pojedyńcze, skulone od zimna postacie, zjawiały się i znikały, a za niemi zdążały wesołe gromadki podochoconych biesiadników zapustnych.

Przychodziły mi na myśl rozmaite sprzeczności społeczne, o których tyle się nieraz naczytałam.

Tam, w oknach oświeconych, widziałam cienie par tańcujących, a z suteren i z poddasza wybijało się blade światełko, przy którém albo biedny rzemieślnik pracował, albo chory ojciec rodziny dogorywał!...

Poważniejsze myśli mieszały się z niedawnemi wspomnieniami i nastrajały mię dziwnie. Byłam chwilami z czegoś niezadowolona, to znów jakieś milsze uczucie przepływało przez moje serce. Wreszcie zapragnęłam już jak najprędzéj dojechać do domu, jakby mi tam pilno było.

Spuściłam szybę i wyjrzałam. Opodal rozeznałam kamienicę, w któréj mieszkaliśmy. W pokojach ojca były okna oświecone. Z ustawienia lamp i kandelabrów widać było, że miał gości, co w ostatnich dniach często się powtarzało.

Wjechałyśmy do sieni. Kamerdyner ojca oznajmił nam, że ojciec ma dwóch gości, z których jednym jest znajomy mu prawnik, a drugi przyjechał ze wsi.

Coś mi strzeliło przez głowę. Serce uderzyło silniéj.

— Któżby to mógł być? Czy to nie Jerzy?

Wbiegłam szybko na schody, a na pierwszym zakręcie dopędził mnie poczciwy Franciszek z oznajmieniem, że to rzeczywiście pan Jerzy. Dowiedział się coś od stróża, a resztę dokombinował.

Wpadłam do mego buduaru i rzuciłam się na fotel.

Byłam w dziwném położeniu. Wyrwana z rozkosznéj dzisiejszéj atmosfery, miałam przed sobą ujrzéć niedawną przeszłość, o któréj często myślałam.

Jak mi się przedstawi teraz ta przeszłość na tle dzisiejszych i wczorajszych wspomnień moich? Czy nie zawiele dotąd upłynęło czasu, przeszło wydarzeń, aby ją w dawnym ujrzéć uroku? Czy ja nie zmieniłam od tego czasu mojéj właściwéj fizyognomii? Czy nie lepiéj było, aby mój Alf pozostał u podnóża wieżycy, w któréj Aldona czułą pieśn o nim śpiewała? A czy odwrotnie nie byłoby właściwiéj, abym ja rolę Alfa wzięła na siebie, zadawalniając się tylko echem czułych pieśni, któreśmy niegdyś oboje śpiewali?

Nieokreślona obawa miotała mną, serce moje

biło gwałtownie. Drżałam cała, jakby przed wyrokiem, który miał zapaść nademną. Zdawało mi się, że losy moje ważą się, a nie miałam żadnéj pewności, na którą stronę się przeważą.

Byłam jak chmurka, zawieszona między niebem a ziemią; do ziemi przyciągała mnie woń łąk rodzinnych, a w wyższe krainy ciągnęły mnie mimowolnie gorące słońca promienie.

Za chwilę inne nadpłynęły myśli. Wstałam z fotelu i zbliżyłam się do źwierciadła. W źwierciedle odbiła się cała postać moja. Włosy były nieco w nieładzie, ale było mi z tém dobrze. Kilka przywiędłych kwiatków wychylało się z po za ucha. Były to świadki niedawnych tryumfów moich i zdawały się żałować, że tak prędko przeminęły. Na twarzy były jeszcze ślady rumieńców, oczy miały blask niecodzienny. Usta były jeszcze zwilżone od wychylonéj czary uciech i rozkoszy, a blask pereł na szyi przyćmił się od blasków wieczoru.

Spostrzegłam dopiéro teraz, jak mi do twarzy było w téj sukni „vert de Nil", z jakim tajemniczym urokiem zwijały się na przodzie koronki i falbany i jak cudowne światło tryskało za każdém poruszeniem z ramion, na których leżały, jakby w uśpieniu półksiężyce brylantowe.

Taką mię Jerzy nigdy nie widział. On widział mię tylko w codziennych, domowych szatach.

A czémże jest strój balowy dla kobiety? Ona

wtedy zachwyca tych, którzy dawniéj obojętnie na nią patrzyli i najzimniejszych prowadzi do szału.

Jerzy, prócz kiku przelotnych chwil, nie okazał mi nigdy tego szału, za jakim przepada każda kobieta.

Dzisiaj powiedziano mi nieraz, że wzniecam szał u tych, którzy na mnie patrzą, że wywołuję podziwienie tych, co szaléć nie mogą.

Jerzy musi mię dziś zobaczyć, winnam to sobie i jemu.

Weszła do pokoju pani Zenobia.

— Przysłał ojciec Franciszka—rzekła do mnie— abyśmy obie tam przyszły. Ciekawy jest relacyi z wieczoru.

Nie namyślałam się wcale. Poprawiwszy nieco włosy, wyszłam za panią Zenobią.

Przy progu pani Zenobia obejrzała się.

— Jeszcześ nie ochłodła z tańców — rzekła — masz silne rumieńce.

Uczułam, że się jeszcze zwiększyły.

Weszłyśmy do pokoju ojca.

Przy środkowym stole siedzieli wszyscy trzej. Na stole stały resztki wieczerzy, filiżanki z herbatą i leżały porozrzucane cygara.

Prawnik trzymał w ręku jakieś papiery, jakby z nich coś odczytywał.

Wszyscy powstali na nasze powitanie.

Ojciec pocałował mnie w czoło, prawnik podał

mi rękę, ale Jerzy nie zbliżył się do mnie. Stał tuż obok swego krzesła, opierając się ręką o poręcz. Prawdopodobnie nie mógł się zbliżyć, bo między nim a mną stała pani Zenobia. Ukłonił się tylko nisko, z uszanowaniem.

Twarz miał spokojną, chociaż nieco bledszą, niż dawniéj. Widać było na niéj zmęczenie, a nawet jakiś smutek.

Raz tylko spojrzał na mnie uważniéj. Zaczął od zwiędłych kwiatów we włosach, przeszedł powoli po twarzy, zatrzymał się dłużéj na ramionach z brylantami, a skończył na długim trenie, który szeroko pokrywał dywan. Od dywanu już oczu nie podniósł.

Co do mnie, nie umiem opisać uczucia, jakie mię teraz ogarnęło. Było to coś pomiędzy radością, a obawą, między uciechą a żalem. Sam Jerzy, w podróżném prawie ubraniu, nie wydał mi się takim, jakim go w marzeniach moich widzieć chciałam. Po strojach balowych wyglądał na znużonego pracownika, który dopiéro od pracy odszedł.

— Czy była księżna? — zapytał ojciec, zapalając papierosa.

— Jakżeby nie była? — odparła pani Zenobia — skoro wiedziała, że my będziemy.

— Więc sprawa dobrze idzie?—wtrącił prawnik z uśmiechem słodkiego Mefistofelesa.

— Książe Jarosław był nieodstępnym towarzyszem mówiła daléj pani Zenobia.

— A cóż księżna?

— Wiedziałam że o nią zapytasz *mon chèr cousin.* Błyszczałeś świetnie swoją nieobecnością. Co chwila pytała się o ciebie.

Ojciec zasłonił się chmurą dymu.

— Czy książe Jarosław wiele z tobą tańczył? — zapytał zwracając się do mnie.

— Wcale nie tańczył — odpowiedziałam szybko, z pewném zadowoleniem.

— Jakże się to stało?

— Zawsze się spóźnił.

— Wolał za to długo rozmawiać—wtrąciła pani Zenobia.

Ojciec zmarszczył czoło.

— Bądź pan pewny — ozwał się prawnik z uśmiechem — książe nie spóźni się. Zawsze przyjdzie wczas i zawsze będzie dobrze przyjęty!

— Nie potrzeba na to przyszłego czasu — dorzuciła pani Zenobia — jesteśmy zadowolone z tego, co jest.

— Wiem o tém i nigdy inaczéj nie myślałem— odparł mecenas — cieszę się bardzo, że mój horoskop nie omylił!

— Już taki bieg rzeczy na świecie, panie mecenasie: jak komu bieda dokuczy, to już bez końca, a jak się zacznie szczęścić, to się szczęści!

— Masz pan zapewne na myśli Jaworzynę, którą przed tygodniem kupiłeś.

— Przedewszystkiém myślałem o sobie i Anetce.

Prawnik zaczął krząkać i suwać nogami, z czego chciałam skorzystać. Zwróciłam się do Jerzego:

— Czy nie masz pan mi nic do powiedzenia z tamtych stron?—zapytałam z jakąś nieśmiałością.

Spojrzał na mnie, a po jego twarzy przemknął uśmiech nieznaczny.

— Żadna nie zaszła tam zmiana—odpowiedział — a gdyby nawet co zaszło, nie miałoby dla pani dzisiaj żadnego znaczenia.

— Dlaczego pan tak mówi?

— Karnawał, bale, tańce i zabawy! Któżby do téj czary poezyi światowéj chciał domieszać, choćby kilka kropel, goryczy wiejskich kłopotów?

— Pan tak dziwnie to wypowiadasz!

— Dobrze, bardzo dobrze pan powiedziałeś — odparł ojciec — na cóż mamy sobie zatruwać tych parę miesięcy pobytu w mieście? Opłacamy przecież drogo tę poezyę miejską, zdawszy kłopoty wiejskie na naszych ekonomów i plenipotentów.

— Dzięki Bogu—odpowiedział Jerzy z pewnym sarkazmem — że z téj drogiéj sfery już wyszedłem.

— Pan nigdy w niéj nie byłeś — szybko podjął ojciec, ściskając Jerzego za rękę.

Nie mogłam tych słów zrozumieć. Miałam żal do Jerzego, że tak szorstko rzucił mi w twarz bale, tańce i zabawy. Czułam, jak niestosowną w téj chwili była moja suknia, spięta na ramionach bry-

lantami, a może i owe kwiatki, które zwiędły w atmosferze balowéj.

— Zostawcie gospodarstwo na wsi — zawołała pani Zenobia — a teraz mówmy jeszcze o wieczorze. *Je vous assure*, wieczór był świetny. Rozmawiałam wiele z księżną, a z tego co mi mówiła, byłam bardzo zadowoloną. Wybiera się do nas z księciem Jarosławem, jutro lub pojutrze, na małą herbatkę *en famille*. Te dwa słowa podkreśliła wyraźnie i kilka razy powtórzyła.

— Jakby już oboje należeli do jednéj familii — uzupełnił mecenas.

Pani Zenobia trąciła go wachlarzem.

— Jesteś pan niedyskretny, po cóż nad *i* dawać zaraz kropkę? Trzeba coś zostawić domysłom.

— Prawnicy, kochana pani, nie znają żadnych domysłów. U nich musi być wszystko jasne i określone, bo inaczéj mogą wyniknąć procesa.

— O to wam przecież chodzi.

— Nie u nas, nie u nas, kochana pani, to tam w Ameryce, gdzie panny procesują konkurentów o wyrządzone szkody i stracone korzyści. U nas jeszcze kwitnie kłusownictwo w naszych dziewiczych kniejach. Wolno szczuć, ścigać i niepokoić zwierzynę, jak się podoba!... Tego jednak niech pani dobrodziejka nie stosuje do wiadoméj nam rzeczy.

— Wcale nie ma potrzeby, jesteśmy o to spokojni.

— Ja to z góry przepowiedziałem.

Przy tych słowach podniósł się mecenas na palcach, jakby chciał w górę o kilka cali wyrosnąć.

Jerzy uśmiechał się obojętnie, jak człowiek, który nic nowego nie usłyszał.

— Czyby nie można, szanowny mecenasie, założyć protestu przeciw temu, co tu powiedziano? — zapytałam z uśmiechem.

— Znane są powszechnie takie protesty panieńskie i umiemy je należycie ocenić—odparł mecenas.

— Wracajmy do wieczorku — zawołał ojciec.

— Byłoby do rana co opowiadać—odrzekła pani Zenobia. — Anetka sama wypełniła cały wieczór koncertowo. Jeżeli nie tańczyła, to wszystkich „causerów" gromadziła wkoło siebie.

— Czy księżna wiedziała, że ja nie przyjdę? — zapytał ojciec.

— Przeciwnie, co chwilę patrzała na drzwi, czy cię nie obaczy.

Ojciec okrył się znów chmurą dymu.

— Zacna pani Adela — rzekł — muszę jutro pójść do niéj.

— A pan jutro przyjdziesz do nas? — rzekłam zwrócona do Jerzego.

— Rannym pociągiem muszę odjechać — odpowiedział Jerzy.

— Jeżeli tak, to żegnam pana. Dobranoc!

Ukłoniłam się i z panią Zenobią wyszłam z pokoju.

XXIII.

Była druga godzina po północy. Siedziałam nierozebrana, w sukni balowéj, z brylantami na ramionach, z kwiatami we włosach. Przyćmiona umbrelką lampa oświecała fantastycznie różne cacka i sprzęty, które mię otaczały.

Na umbrelce były malowane różne postacie komiczne, przypominające karnawał wenecki. Ludzie w maskach i bez masek wiązali się w grupy, tańczyli i wykonywali skoki zabawne. Lubiłam czasem patrzéć na te obrazki humorystyczne, dzisiaj raziły mnie i gniewały.

Żal mi było czegoś, czego nie straciłam jeszcze a pragnęłam tego, com niedawno odtrąciła. Jakiś chaos zapanował koło mnie i długo nie mogłam rozeznać tego, co mnie teraz otaczało.

Wreszcie zaczęły się przedemną porządkować obrazy. Wspomnienia ostatnich miesięcy stanęły mi przed oczyma, a obok nich stanął Jerzy, a za nim wspomnienia niedawnéj przeszłości.

Zaczęłam się przypatrywać jednym i drugim. Pierwsze miały koloryt jaskrawy, świeże nie zaschłe jeszcze barwy, a tamte wyglądały zblakłe i przyćmione. Pokrywał je pył i pajęczyna, a tu i owdzie widać było pleśń, jako barwę tego co obumiera.

Zkądże ta zmiana? Czy zaszła ona we mnie?

Czy serce moje zapomniało o tém, o czém dawniéj śniło?

Bynajmniéj, nie moja to źrenica zaćmiła się na widok tych wspomnień ubiegłych, nie moje serce wyparło się marzeń niedawnych! Mogło ono, jak dawniéj kochać, i dawniéj pragnąć miłości, gdyby...

Gdyby Jerzy rzeczywiście mnie kochał.

Ale Jerzy nie kochał mnie!

Był zawsze z pewną rezerwą, jakby się zbyt śmiałego kroku obawiał. Wygodniéj mu było czekać spokojnie, niż iść śpiesznie ku mnie. Obawiał się przeszkód w drodze, a nie miał temperamentu, aby je przeskoczyć. W jednostajném ustroniu naszém byłby się może zgodził, aby zostać dozgonnym towarzyszem moim, ale na szerszy świat nie chciał iść za mną, bo tam mógł się zejść z przeciwnikiem, którego potrzeba było pokonać. Nie byłam godną takiéj ofiary z jego strony, wolał ze mnie zrezygnować.

Czy to nie była rezygnacya, gdy mnie żegnał na owém wzgórzu, bez nadziei prawie, że mię kiedy obaczy?

Kiedy zrządzenie losu rzuciło mnie nagle na wyższe stanowisko, on zimno obliczył przestrzeń, która nas teraz dzieliła i wolał pozostać bezemnie tam, gdzie był, niż piąć się za mną do góry.

Czyż to nie był egoizm, który tylko siebie oszczędza?

Gdyby się choć na kilka chwil rzucił za mną w ten świat szerszy, gdyby okazał choć trochę szału, gdyby nie był ukrywał rozpaczy, że mnie na tym szerszym świecie utracić może.

Nic z tego wszystkiego!

Powiedział mi, jak mentor, że wchodzę na drogę, która mnie zmienić może. Było mu to trochę nieprzyjemnie, ale mniemał, że tą drogą iść muszę, bo zrządzenie losu tak każe.

Cóż znaczyło takie błogosławieństwo na drogę? Oto: Prawdopodobnie utracę cię, a jeżeli tak się stanie, przyjmuję wyrok ten bez apelacyi.

Czyż to nie jest rezygnacya naprzód powzięta?

Przyjechał, a na moje zaproszenie odpowiedział, że rannym pociągiem odjeżdża.

On już się zrzekł mnie!

Takie myśli snuły mi się teraz po głowie, plątały się i urywały i znowu nawiązywały. Przecinała je czasem jakaś ręka niewidzialna, jak ręka Parki, ale znów zrastały się i snuły daléj.

Czy wychodziły one z głębi duszy mojéj, czy dostarczały im wątku dzisiejsze nawyknienia do nowéj atmosfery? Tego w téj chwili nie wiedziałam. Miałam żal do niego, a ten żal kazał mi tak myśléć, a nie inaczéj. Co we mnie ten żal wzbudziło i jakie podszepty podniecały go, o tém nie myślałam.

Brzask jutrzenki zastał mnie w sukni balowéj.

Brylanty na ramionach świeciły jasno, tylko kwiatki więcéj zwiędły.

Nie budziłam służącéj, która zasnęła; sama rozebrałam się.

Po kilku godzinach wstałam spokojna. Przy śniadaniu mówiła pani Zenobia wiele o wczorajszym wieczorku, łączyła różne pary, a niektóre małżeństwa rozwiązywała. Ujrzała to i owo i z tego snuła różne domysły. Zabawnie było, gdy panią Sylwię, jedną z wesołych przyjaciółek moich, posądzała o pewne zamiary względem młodego kniazia. Roześmiałam się na to, wiedząc, że pani Sylwia robiła to w moim interesie, aby innym nie zabierał miejsca przy mnie. Sama raz o to ją prosiłam.

Nie wiedziała o tém pani Zenobia, ale niewiele także martwiła się tą apostazyą księcia Jarosława, utrzymując, że takie antrakta w sztuce starania się o pannę wcale mężczyznom nie szkodzą. Opowiadała mi, jak pan Salezy, już po zaręczynach, szalał za jedną Angielką, która miała rude włosy; za nią do Irlandyi, a z nią do Hiszpanii pojechał, a przecież w oznaczonym terminie swoją Taidę poślubił i dotąd wzorowym jest mężem.

Różne rzeczy opowiadała mi jeszcze pani Zenobia, a były i takie z których uśmiałyśmy sie serdecznie.

Przed obiadem miałyśmy zrobić kilka wizyt, wyszłam więc do mego pokoju, aby się ubrać.

Byłam spokojna i dosyć wesoła. Niepotrzebną już dzisiaj książkę wspomnień zamknęłam. Nikomu nie wyrządziłam krzywdy, a tym, którzy względem mnie zawinili, przebaczyłam.

Życie nasze składa się, jak mówią moje przyjaciółki, z rojeń codziennych, z których jedne się rodzą, a drugie przepadają. Dawniejsze moje rojenia nie miały gruntu, to też upadły, jak padają uschłe liście. W ustroniu byliśmy tylko oboje, nie mieliśmy żadnego wyboru, cóż więc dziwnego, że nastąpiło między nami zbliżenie? I jakież było to zbliżenie? Jam szła szybko, bez namysłu do niego, a on z oporem, jakby z grzeczności, postępował ku mnie. Wreszcie odskoczyłam od niego nieco daléj, a on pozostał na miejscu.

I na cóż chować takie wspomnienia, które tylko, jak owe *mouches volantes* w choréj źrenicy, rzucają plamy na jasne życia przezrocza. A zresztą on sam nie ceni już tych wspomnień, które dla niego żadnego celu nie mają.

Na drodze, którą dziś idę, można wiele znaléźć, czego potrzeba, można wybierać, jak pomarańcze z olbrzymich koszów.

Uspokoiły mię prawie zupełnie podobne refleksye i całą uwagę mogłam zwrócić na wybór toalety wizytowéj.

Otwierały się szafy i komody, panny służące biegały tam i napowrót, trefiły mi włosy, wkładały na mnie i upinały suknie, a ja siedziałam lub stałam,

jak żywy manekin, przy którym tyle oczu i rąk pracuje.

W najkrytyczniejszéj właśnie chwili, w któréj okazało się, że stanik potrzeba przynajmniéj o dwa centymetry zacieśnić, weszła pani Zenobia do pokoju z kartą wizytową w ręku.

— Pan Jerzy Barski — czytała z karty.

— Wszak miał rannym pociągiem odjechać?

— Powiada, że się spóźnił.

— Przecież teraz nie można go przyjąć.

— Przeprosić i powiedzieć, że się wybieramy na wizyty.

— Nie inaczéj.

Podczas gdy panna służąca zacieśniała mi stanik, słyszałam zamykające się drzwi na korytarzu i powolne kroki, idące po schodach. Echo tych kroków słabło coraz więcéj i powoli spuszczało się coraz głębiéj w otchłań bezdenną.

Wreszcie wszystko ucichło...

Czemuż mi się tak dziwnie ścisnęło serce?... Czemu ten odgłos kroków przypomniał mi nagle zamykanie się wieka trumny?...

XXIV.

Tego samego dnia, o szóstéj godzinie, wpadła do mego buduaru pani Sylwia, jedna z owych młodych

mężatek, które, z powodu ich wesołego usposobienia, bardzo polubiłam. Była to wysmukła blondynka o złotawych włosach, przypominających zachód lipcowego słońca. Biała, jak śnieg, cera miała podkład różowy, który przy ożywieniu przybierał barwę silnego rumieńca. Kształtny nosek miał nozdrza ruchome, które ustawicznie chwytały powietrze, jakby na ugaszenie wewnętrznych żarów. Cała postać jéj była ruchliwa, jak młodéj koteczki, gdy się myszką nieszkodliwie bawi.

— Byłam w *angoazach*, że ciebie nie zastanę — rzekła zaraz od progu, rzucając kapelusz na sofę, mufkę na fotel, a zarzutkę aksamitną na biurko.—Nie mam wprawdzie żadnego ważnego interesu, ale tak mi pilno było do ciebie, *ma chère*, tak biegłam po schodach, że mi serce mało z piersi nie wyskoczy. Jeśli nie wierzysz, to patrz!

Przyłożyła moją rękę do stanika, pod którym rzeczywiście serce mocno biło. Podbiegła do okna, wyglądając na ulicę.

— Macie przepyszne mieszkanie! — mówiła, nie odstępując od okna — można przecież wiele ludzi widzieć. U nas i psa nie zobaczy. Nie wiem, co Władzio sobie upatrzył do tego mieszkania — cisza grobowa, melancholia! Powiada, że to uspakaja jego nerwy! A ja wolałabym widzieć codzień chociażby dziesięć maszerujących pułków z bębnami i fanfarami!

Mówiąc to, skinęła pani Sylwia kilka razy głową, jakby witała kogo na ulicy, a otworzywszy w końcu okienko, machnęła batystową chusteczką.

— Kogoż tam masz? — zapytałam?

— Ba, gdybym ja go miała!

— Któż tam jest?

— Któż może być pod twojém oknem, jeżeli nie kniaź Białomorski?

— Co mówisz?

Zbliżyłam się do okna. Rzeczywiście, na przeciwległym chodniku stał książę Jarosław i patrzał w moje okna.

Zdaje się, że panią Sylwię, któréj się kłaniał, miał za mnie, a gdy drugą twarz przy niéj zobaczył, zmieszał się i chciał odejść. Po chwili namyślił się, zdjął kapelusz, a ukłoniwszy się obu twarzom, poszedł daléj.

— Zawsze pod twojém oknem go widzę! — zawołała Sylwia z rozkosznym uśmiechem — można ci zazdrościć, moja piękna Alcymaduro!

— Czy ci się tak podoba?

— Przypomina mi młodego żmujdzkiego niedźwiadka. Stary niedźwiedź jest mrukliwy i nieznośny, młody bardzo zabawny. Można się z nim pieścić, jak z kotkiem.

— Ale nieszczęście, że wyrośnie kiedyś na starego niedźwiedzia—odparłam, śmiejąc się serdecznie.

— To téż tylko z młodych niedźwiadków noszą

się futerka, a stare idą pod nogi do wycierania butów.

— Biedny niedźwiedź!

— Czy mówisz o kniaziu Jarosławie?

— Nie, tak sobie, o niedźwiedziach!

Usiadłyśmy na sofie; kazałam zapalić lampę.

— Jakie to zabawne figurki karnawałowe na umbrelce — ozwała się Sylwia, patrząc na lampę. — Szczęśliwa! Karnawał się kończy, a ty będziesz miała zawsze karnawał na lampie! Ciekawam, czy w mózgu naszym takie same odbijają się figurki, skaczące i śmiejące się? Jak to zabawnie przypominać sobie potém te głupstwa?

— Czy wszystkie wspomnienia są głupstwem?

— A czémże inném? Już samo wspomnienie jest głupstwem! Tylko ludzie, którzy nie mają lepszéj obecności, karmią się wspomnieniami, jak głodny, który, aby swój głód uśmierzyć, myśli o tém, że wczoraj jadł pieczeń z kapustą i pił bawarskie piwo. Na co mu to zda się? Czy to go nasyci?

— Niezawsze jeść można.

— Potrzeba się starać, aby zawsze było co do jedzenia lub przegryzania, jeżeli nie cukry, to przynajmniéj migdały i daktyle.

Sylwia wstała i zapaliła papierosik. Przez rozwarte nozdrza wił się misternie błękitny dymek i sunął się powoli po koronkach, które biust osłaniały.

— Mówisz tak, — rzekłam do niéj po chwili —

jakby życie nasze składało się z nieustannéj biesiady, jakbyśmy nieustannie połykać miały bakalie po bakaliach.

— *Que voulez vous?* Takie prawo natury. Patrz na zwierzęta. Jak one żyją? Jedzą i śpią, bawią się z sobą lub kąsają, śpią i jedzą.

— Mówisz tylko o zwierzętach.

— Uczą nas dzisiaj, że jesteśmy, jeżeli nie zupełnie, to przynajmniéj w połowie zwierzętami.

— Któż znów tak utrzymuje?

— Rozumié się, że nie pan Celestyn! Ale on ma inne oczy! Czyś ty zajrzała dobrze w jego oczy? Zdaje się, żeś wczoraj trochę próbowała... Jego oczy widzą aniołów w niebie, cherubinów, serafinów, archaniołów i tym podobnych dostojników niebieskich. Ale ja, na twojém miejscu, nauczyłabym go i na ziemi adorować chociażby pół-anioła w sukni „vert de Nil", spiętéj na ramionach brylantami!

Roześmiałam się.

— Śmiejesz się? A ja ci powiadam *c'est une chose très delicieuse*, widzieć takiego anachoretę, klęczącego u stóp kobiety! Powiedz mi, kiedy to nastąpi, a przyjdę, aby patrzéć, choćby przez dziurkę od klucza, na tak wspaniałe *tableau!*

Zaczęłam śmiać się szczerze i serdecznie.

— Prawię tu różne głupstwa, — zawołała zrywając się i po chwili biorąc naraz kapelusz, mufkę i zarzutkę, a tu ściemniło się na piękne!

— Zaczekaj, zawołam Franciszka, niech cię odprowadzi.

— Wezmę dorożkę. Adieu!

Wyjrzałam za nią przez okno, ale na ulicy było już zupełnie ciemno. Sylwii nie widziałam, tylko jakaś ciemna postać przeszła przez ulicę i tam złączyła się z drugą, jakby na nią czekającą osobą.

XXV.

Jeszcze nie odeszłam od okna, gdy się drzwi mego buduaru otworzyły. Weszła pani Zenobia, a za nią postępował ojciec, z uśmiechem jakiegoś ukrytego zadowolenia.

— Dwie naraz dobre nowiny przynosi ci ojciec, — ozwała się pani Zenobia — a od ciebie zależy korzystać. Zwracam jednak twoją uwagę na to, że dzwon szczęścia tylko raz bije dla człowieka. Kto go nie słyszy lub słyszéć nie chce, wyrzeka się lepszéj przyszłości.

Uroczysta ta przemowa nastroiła mnie wesoło.

Pani Zenobia przed południem dopiéro wprost przeciwne wypowiedziała zdanie, które do tak zwanych „dzwonów szczęścia" nie przywiązywało wielkiéj wagi. Ja w téj chwili wolałam to drugie, bo przy niém nie potrzebowałam myśléć ani o scenie

pod mojém oknem, ani o wzgórzu, z którego patrzałam na ziemię obiecaną.

— Już to ciocia niebardzo biegła w dyplomacyi, — rzekłam z uśmiechem — bo dyplomata powinien dobrze pamiętać, co mówi. Przyjęto nawet zwyczaj, że nie mówi, ale czyta ministrowi notę, którą czasem zostawia na stole, albo chowa do kieszeni, aby wiedział, co czytał.

— Lubisz się sprzeczać, a na to skarżą się mężczyzni. Nie pytasz o to, jakie przynosimy nowiny, ale rozpoczynasz proces, jak palestrant.

— Krótko i węzłowato powiem ci, — ozwał się ojciec, któremu było jakoś pilno — że po dziewiątéj godzinie przyjdzie na herbatę księżna Adela.

— A druga nowina?

— Może być ta, że z nią przyjdzie kuzynek Jarosław.

— To przecież do jednéj nowiny należy.

— Masz słuszność — odpowiedział ojciec. — I ja moje nowiny tak podzieliłem, inaczéj ta, którą mam w zapasie, byłaby trzecią.

— A ta jest?

— Przejeżdżając przed chwilą koło naszego mieszkania, spotkałem księcia Jarosława, który, jak szyldwach, chodził po chodniku tam i nazad i w okna twego buduaru się wpatrywał.

— O téj ostatniéj nowinie wiedziałam.

— *Voyez vous!* — zaśmiała się pani Zenobia —

ty kuzynie chcesz ją uczyć, a ona więcéj umié od ciebie. Niezawodnie telegrafowała do niego z po za firanek, bo stał, odchodził i wracał się aż do ciemnéj nocy.

Roześmiałam się.

— A gdyby tak było w istocie? — zapytałam z uśmiechem.

— To byłoby bardzo dobrze — odpowiedziała pani Zenobia.

— Otóż wcale tak nie było. Właśnie była u mnie Sylwia, obie wyjrzałyśmy przez okno, on się nam ukłonił i odszedł.

— A potém wrócił się, sam widziałem.

— Myśmy o tém nie wiedziały, rozmawiając do późna na sofie, a zresztą nie wiem, do czego to zmierza.

Ojciec zapalił cygaro i usiadł na szezlongu. Pani Zenobia siadła przy stole, przypatrując się żurnalom.

— *Ma chère Annette,* — rzekł ojciec po chwili — miałaś dotąd wszelką wolność rozpatrzenia się po świecie. Nie krępowałem twojéj woli nawet wtedy, kiedy *pour passer le temps* chciałaś się trochę zabawić. Młoda panna musi nabyć trochę doświadczenia, aby potém wiedziała, jak się kierować.

— Nic głupszego, jak młodéj dziewczynie kazać zamykać oczy na to, czego jeszcze wiedzieć nie powinna — dodała ciocia.

— Dzisiaj rozpatrzyłaś się już po świecie i wiész

mniéj więcéj, czego na przyszłość potrzeba. Opatrzność Boga dała nam znaczną fortunę, zależy więc na tém, aby jéj dobrze użyć. Nie jest to przecież dobrém użyciem, jeżeli mamy dobrego kucharza, który smaczne obiady dla nas gotuje. Ludzie nie żerują sami, jak zwierzęta, ale żyją w towarzystwie. Otóż zależy na tém, w jakiém towarzystwie nasze smaczne obiady zjadać będziemy i jak się przytém zabawimy. Potrzeba się więc tak postawić, abyśmy z najwyższéj warstwy naszych przyjaciół wybierać mogli, a innym wyświadczali łaskę, przypuszczając ich do siebie. Tém rządzi się społeczeństwo ludzkie od wieków, mimo wszelkich nawoływań do równości i braterstwa. Kto tego nie widzi, popełnia błąd, za który długo pokutować musi.

— Mam jakieś przeczucie — odpowiedziałam z uśmiechem — że to z dzisiejszą wizytą w związku stoi.

— Nie inaczéj. Wizyta dzisiejsza ma dla nas wielkie znaczenie, większe niż się spodziewasz.

Ojciec zakrył się chmurą dymu. Czekałam dalszych słów.

— Już dzisiaj — mówił po chwili ojciec — mogłaś obejrzéć tych wszystkich, którzy się do ciebie zbliżyli. Któryż z nich najwięcéj przemawia do twego gustu?

— Nie zadałam sobie jeszcze tego pytania.

— Jeżeli dotąd nie wiész, to widać, że mniéj

więcéj wszyscy tobie są obojętni. Możesz więc spokojnie jednego z nich wybrać, nie czyniąc krzywdy drugiemu.

— A gdybym żadnego z nich nie wybrała?

— Nikt cię do tego nie zmusza. Świat nasz nie jest zamknięty. Czego nie znajdziesz w kraju, możesz znaleźć na szerszéj arenie świata. Wyjedziemy za granicę do miast, do wód, gdzie się najwykwintniejsze zbiera towarzystwo. Nie wątpię, że w wielkiéj rodzinie europejskiéj możesz łatwo znaleźć kogo, który nietylko nam, ale i krajowi naszemu mógłby zaszczyt przynieść. Zwracam jednak uwagę twoją, że trafiają się tam łatwe pomyłki, które potém ze wstydu utajamy.

— Bywały takie wypadki — wtrąciła pani Zenobia. — Sama byłam świadkiem. Pani Lucyna o mało co nie wyszła za markiza, który, jak się okazało, służył w towarzystwie cyrkowém. Conte della Rocca, który w Neapolu pani Sabinie, młodéj wdówce, tak głowę zawrócił, był prostym fotografem z Wenecyi, a kilku innych, z ładnie brzmiącemi tytułami, byli poprostu oszustami. W najlepszym razie byli to ludzie tak biedni, że tylko kasztanami się żywili. W takim razie *kupowano* sobie tytuł w literalném znaczeniu tego słowa.

— Jeżeli tak było, jak kuzynka mówi — ozwał się ojciec — to dowodzi, jak potrzebnym jest na szerszym świecie dla kobiety tytuł, jeżeli go sobie

nawet w taki sposób kupowano. Trudno bowiem na szerszym świecie znać przeszłość każego, który się do nas zbliża. Sam tytuł już wszystko wypowiada. Otwiera on nam salony Paryża, Londynu, Wiednia, daje nam prawo zbliżyć się do dworów państw, a nawet obywatel amerykański niżéj się wtedy kłania! Nieobliczone zaś korzyści spadają na potomstwo. Dyplomacya rekrutuje się z pomiędzy ludzi z tytułami. Ministerya rade przyjmują urzędników z tytułami do swoich biur, z których potém tworzą się ministrowie. A jeśli ród taki podupadnie finansowo, to bogaty przemysłowiec lub córka bankiera będą się uważali za szczęśliwych, jeżeli złotem swojém, za pomocą ślubu, napełnią próżny skarbiec podupadłego rodu.

— Ztąd wypływa — rzekłam z uśmiechem — żem powina na męża wziąść sobie księcia Jarosława?

— Jestto nasze marzenie — odparła pani Zenobia — ale nie wywieramy żadnego nacisku na twój wybór. Mówimy, jak ludzie starsi i doświadczeni, ale młode serce ma także swoje prawa.

— Tych praw krępować nie chcemy — dodał ojciec — zresztą jest jeszcze dosyć czasu, aby do księcia Jarosława powrócić, jeżeli coś innego okaże się złudném.

— Lub cię znudzi — zakończyła pani Zenobia.

Ojciec spojrzał na zegarek.

— Jest jeszcze dosyć czasu — rzekł z uśmie-

chem — *il faut se faire beau!* Czy zmienisz także toaletę?

— Zostanę, jak jestem.

— *A merveille* — zauważyła pani Zenobia. — W téj sukni jest ci do twarzy, tylko rozgarnij grzywkę, będzie to trochę melancholijnie. Zresztą panna nie powinna wychodzić do kawalera świeżo wysztafirowana, bo to jest „*mauvais genre*".

Po tych słowach ucałowali mnie oboje w czoło i wyszli.

Zostałam sama z tém wszystkiém, com słyszała.

Pojedyńcze słowa i zdania biegały przedemną i skakały, jak figurki karnawałowe na lampie.

Widziałam w nich moich znajomych, jak się łączyli w różne figury mazurowe, skakali razem i rozrywali się, by z drugiéj strony wyjść znów w zbitym szeregu. Jeden z nich upadł, a inni przechodzili po nim, jak po podłodze, nie zważając na jego komiczne ruchy. Ta figurka na umbrelce zabawiała mnie zawsze, dzisiaj jednak miałam litość nad nią, sama nie wiem dlaczego?

Obróciłam umbrelkę, aby téj figurki nie widzieć.

Wróciłam do tego, co mi przed chwilą ojciec i pani Zenobia powiedzieli. Dotychczasowe, chociaż krótkie doświadczenia przekonały mnie, że w ich słowach było wiele prawdy. Nabierają one większéj wagi, jeżeli się serce wyrzeknie wszelkich szałów i uniesień.

Czémże są szały i uniesienia? Zkąd one przychodzą i kiedy ustają? Czy można je sobie naprzód zamówić, czy przychodzą one z nienacka, a podrażniwszy nas, znikają, zanim się obejrzymy? Cóż wybierać? Czy niespodzianki, które jak potok spadający po skałach oko i ucho bawią, czy ów stawek spokojnéj wody, na dnie którego leżą w błocie potworki, których jednak nikt nie widzi. A na kryształowém źwierciedle wody można bujać w rozkosznéj gondoli, śpiewać czułe piosenki lub urządzać wyścigi w wesołém towarzystwie.

Takie obrazy snuły mi się przed oczyma. Widziałam je w stanie półsennym. Zmęczenie owładnęło mnie, serce biło zwolna i spokojnie.

Zdawało mi się, że zmniejszył się w niém zasób życia i że powoli zaczyna ustawać.

Z tych sennych rozmyślań zbudził mię turkot przed bramą. Kareta księżnéj zajechała.

XXVI.

Gdym weszła do salonu, zastałam już księżnę. Jak zawsze, ubrana w kolory jasne, roztaczała koło siebie atmosferę piżma. Trzymała w ręku biały wachlarz, z rączką złoconą.

Pani Zenobia miała nieco staranniejszą tualetę, ale domową.

Ojciec za to wszystkich prześcignął. Był ubrany *en grand seigneur* w wygodnym tużurku czarnym, ale z tak imponującą elegancyą, jak go jeszcze nigdy nie widziałam. Z pod tużurka wyglądała biała kamizelka, podtrzymująca spuszczony krawat czarny, spięty w środku szpilką, z małą, prawie niewidzialną główką. Tryskające jednak z téj główki promienie wskazywały, że to był brylant. Krótko ucięte włosy robiły go podobnym do Amerykanina. Twarz miał ożywioną, a wciśnięty na nos *pince-nez* zdradzał człowieka, dla którego wdzięki życia jeszcze nie były stracone. Rozmawiał z księżną z wielkiém zajęciem, a ona mrużyła oczy, jakby ta rozmowa sprawiała jéj rozkosz niewypowiedzianą.

Imaginez-vous — rzekła do mnie księżna — *mon chèr cousin* gdzieś mi się stracił. Miał przed wieczorem przyjść do domu, ale nie przyszedł. Czekałam do dziewiątéj — *mais ce n'est rien*, on przyjdzie, bo już wiedział o tém.

— Ma tylu przyjaciół—wtrąciła pani Zenobia — a my wiemy, co to są młodzi przyjaciele.

— On jest stateczny, stateczniejszy nad wiek swój. W tak młodym wieku nie lubi zabaw hałaśliwych, szampana nie pije, kart do rąk nie weźmie.

— Na dzisiejsze czasy—dodała pani Zenobia— są to cnoty niesłychane.

— Jednę tylko ma słabość—mówiła księżna mrużąc oczy — że jest pewną osóbką zanadto zajęty.

Cela ne convient pas, we wszystkiém potrzeba zachować miarę.

Wszyscy spojrzeli na mnie. Uczułam rumieniec na twarzy.

— Książę Jarosław — rzekłam — widuje tyle osób...

— Mówimy tylko o jednéj — przerwała księżna — a nie chcemy uderzać o stół, aby się nożyce nie odezwały.

Nastąpiła pauza, nikt się nie chciał odezwać.

Ojciec rozpoczął rozmowę o teatrze amatorskim na korzyść biednych, pani Zenobia uzupełniała podane przez ojca wiadomości i wyszła rozmowa z drażliwych dla mnie granic na pole obszerne.

Około godziny dziesiątéj ozwał się dzwonek w przedpokoju. Do salonu wpadł książę Jarosław.

Twarz miał zaczerwienioną, oczy błyszczące i gorączkowe. W głosie jego było czuć pewne wzruszenie, które nadawało mu dźwięk sympatyczny.

Była to pierwsza chwila, w któréj wydał mi się przyjemnym a nawet sympatycznym. To ożywienie się wskazywało na drgające struny w głębi duszy, o któréj dotąd nie miałam korzystnego wyobrażenia.

Widziałam teraz, że ten człowiek jest zdolny do wzruszeń, bez których życie jest tak nudne i jednostajne.

Gorączkowo przywitał się z nami, moją rękę

z akcentem uścisnął i usiadł na fotelu, aby po tych wzruszeniach wypocząć.

Księżna patrzała na niego czas niejaki przez lornetkę.

— *Chèr cousin* — ozwała się księżna — wyglądasz, jakbyś z łaźni uciekł. W jakiém-że to wesołém towarzystwie byłeś?

Książę Jarosław otarł pot z czoła.

— To z niecierpliwości, *chère cousine* — odpowiedział młody książę.—Nie mogłem prędzéj odejść, a każda minuta wydawała mi się wiekiem.

Księżna spojrzała na mnie zmrużonemi oczyma. Mogła na mojéj twarzy widzieć pewne zadowolenie, bo młody książę wcale mi się dzisiaj podobał. Nigdy nie słyszałam go tak mówiącego.

— Mógłżeś przecie naprzód obliczyć — mówiła księżna — ile czasu zabierze ci towarzystwo i nie dać się wciągnąć do niego.

Młody książę posunął kilka razy chustką po czole i rozparł się w fotelu jak człowiek, nad którym zaciężyło fatum.

— Nie trudno tak mówić — ozwał się po chwili — jeżeli się wie, jakie i kiedy na drodze życia ludzkiego wyrosną przeszkody! Doświadczony żeglarz nie wie, kiedy dopłynie do portu, osiwiały wódz nie może obliczyć, czy wojska jego zdążą na czas do walki z nieprzyjacielem — cóż dopiéro ja, który nie jestem ani doświadczonym, ani osiwiałym?

Młody książę zaczął mi się coraz więcéj podobać. Humorystyczny zwrot jego odpowiedzi wywołał uśmiech na mojéj twarzy. Była w tém pewna lojalność, a nawet dowcip.

— Właśnie, że pan nie jesteś doświadczonym i osiwiałym — rzekłam, śmiejąc się — powinieneś się był więcéj pośpieszyć.

— Niech pani nie bada daléj—odpowiedział z filuterném spojrzeniem—bo mogłoby się okazać, że właśnie młodość moja była powodem mego spóźnienia się.

— Już odgaduję—wtrąciła księżna—co to był za powód. Zapewne hrabia August wciągnął cię do teatru, gdzie w operetce występuje francuzka *diva*, za którą teraz wszyscy przepadacie! Tacy to wy wszyscy!

Księżna trąciła wachlarzem ojca i spojrzała na niego zmrużonemi oczyma. Ojciec przyjął cios jako wielkie dobrodziejstwo.

— Takimi jesteśmy — odpowiedział — jakimi nas miéć chcecie. Czy składając hołd wdziękom, gdziekolwiekbądź je ujrzymy, nie składamy zarazem hołdu kobiecie? Czyż ten ideał życia naszego nie powinien się z tego cieszyć, że nie jesteśmy obojętni na jego ponęty?

— *Pardon monsieur* — odrzekła księżna — przedewszystkiém chciałybyśmy, aby ta czułość wasza na wdzięki ideałów ograniczała się na mniejsze kółko. A jeszcze lepiéj na kółko rodzinne, jeżeli to jest możliwe!

Spojrzała na ojca, a oczy jéj tak się zmrużyły, że tylko z nich podłużna linia została.

— Pozwól księżno — odpowiedział ojciec z niezwykłém ożywieniem na twarzy — pozwól, że tę sentencyę zachowam w pamięci i w najbliższym czasie użytek z niéj zrobię.

— Proszę tylko nie nudzić — zakończyła księżna — bo młodzi z naszego towarzystwa już się naprawdę nudzić zaczynają. *Chère Annette*, weź się dobrze do Jarosława, niech ci coś o téj modnéj *divie* opowie. A my przejdziemy się trochę.

Wstała z kanapy i podała rękę ojcu. Pani Zenobia wstała także i odeszła do pokoju stołowego.

Zostaliśmy sami.

— Więc pan składałeś hołdy francuzkiéj *divie*?— ozwałam się do księcia. — Czy można zapytać, w jaki sposób odbywały się te hołdy? Czy odbywały się legalnie, z loży pierwszopiętrowéj, rzuceniem bukietu, czy doręczeniem go za kulisami, z dodatkiem uścisku ręki?

Książę spojrzał na mnie wystraszony. Po chwili jednak przyszedł do siebie, mówiąc:

— Tak, tak, rzucaliśmy z loży bukiety na scenę, chociaż według mnie, śpiewała jak dzięcioł.

— A na co rzucałeś pan bukiety?

— Bo my jesteśmy solidarni. Jak hrabia August powie; „tak", to my wszyscy także: „tak!"

— Jak można nie miéć własnego zdania?

— W klubie mamy tylko zdanie jedno, na zewnątrz. Nazywa się to: solidarność.

— A w rzeczach osobistych nie ulegasz pan wrażeniom swego otoczenia?

Książę spojrzał znów na mnie z przestrachem.

— Zkąd pani wiesz o moich wrażeniach z otoczenia?

Roześmiałam się.

— Nic wiem o żadnych wrażeniach — odpowiedziałam — chciałam tylko wiedzieć, czy pan we wszystkiém, kierujesz się swojém zdaniem, swojém własném uczuciem?

Kuzynka Adela powiada, żem ja powinien zawsze jéj słuchać i ona ma słuszność, bo jak pójdę za własnym popędem, to z gościńca życia wjadę zawsze do rowu.

— Byłeś pan często w tym rowie?

— Kiedy-niekiedy, ale wydobyłem się zdrów i cały.

— Widać, że własne popędy pana źle prowadzą.

— To prawda, ale wyobraź sobie pani szatana, który nas kusi. Rozgrzewa nam najprzód krew w żyłach, która się pali, jak smoła, otacza nas atmosferą, jak piekło gorącą, zarzuca na oczy gęstą siatkę, przez którą dalszego świata nie widzimy i sami nie wiemy, jak i kiedy stajemy się wulkanem, wyrzucającym lawę ognistą!

Spojrzałam ciekawie na mówiącego. Twarz je-

go była zarumieniona, oczy błyszczały ogniem zapału, a na grubych ustach jego drżał wyraz wzruszenia. Wydał mi się teraz sympatycznym, a nawet pięknym. Z głębi tego człowieka wyjrzało teraz coś, czego dawniéj nie widziałam. Był tam materyał na coś lepszego.

— Dlaczego pan powiadasz, że taka pokusa pochodzi od szatana?

— Źle się wyraziłem, zamiast *szatan*, powinienem był powiedzieć: *kobieta*.

— Czy to tak bliskie podobieństwo, że się poszczycić można?

— Często nie można ich odróżnić, jak jedno lub drugie zionie ogniem na człowieka.

Zaśmiałam się serdecznie.

— Czy widziałeś pan kiedy, aby z nozdrzy kobiety wybuchał taki ogień, jaki wybucha z paszczy szatana na obrazach wiejskich kościołów?

— O znam takie nozdrza — odpowiedział smutno, patrząc na mój wcale niewielki nosek.

Spostrzegłam teraz, że wszystkie te wysilenia stylistyczne księcia Jarosława właściwie do mnie się odnosiły. Nie były one wprawdzie bardzo zrozumiałe, ale nad tém nie zastanawiałam się w téj chwili. Książę zaczął zdobywać moją sympatyę, choćby tylko dlatego, że dzisiaj w odmiennem świetle wystąpił.

— Jeżeli pan znasz takie nozdrza — odpowiedziałam z uśmiechem — to nie radzę im zaufać.

— Ja to sobie sam dziesięć razy na dzień mówię, ale jak obaczę, bęc — przepadło!

— To mi serdecznie żal pana!

Zerwał się z fotelu, chwycił mnie za rękę i gorąco ją ucałował.

Niespodziewana ta ewolucya książęca zmieszała mnie. Być może, iż nieświadomie ścisnęłam go za rękę, bo wpadł w taki zapał, jakby z mego noska płomień zobaczył. Był ostateczny czas, aby ten zapał trochę ostudzić.

Posunęłam mój fotel w tył, co sprawiło, że moją rękę musiał opuścić.

— Pani żałujesz mnie—zawołał z wyrazem smutku—to jest ze strony pani bardzo szlachetnie. W sercu, w którém taki żal powstał, może powstać i łaskawa przychylność.

— Spodziewam się, że o przychylności nie miałeś pan nigdy potrzeby wątpić, tylko zwracam uwagę pana, że od przychylności mojéj daleko jeszcze do...

— Do mojéj poprawy! Wiém bardzo dobrze, wiem o tém!

— Już się pan potrosze zaczynasz poprawiać!

— Sam to czuję... Byłbym zupełnie na dobréj drodze, a gdybym tak często na panią patrzał i z nią rozmawiał.

— Może to tylko złudzenie?

— Nie, pani, to nie złudzenie... Ale to przeminie!

— Co przeminie?

— Co mnie dzisiaj udręcza! Kuzynka Adela powiada, że wszystko przeminie, co od szatana wychodzi, a to tylko zostanie, co się z ducha świętego poczyna!

— A któż jest tutaj duchem świętym?

— Nikt inny jak pani!

— A szatanem prawdopodobnie będzie owa francuzka *diva* lub coś podobnego!

Książę Jarosław wykonał tutaj ręką jakiś gest zagadkowy, przez który, prawdopodobnie nad program, zrzucił ze stołu stos dzienników na posadzkę. Jeden z nich ulokował się na mojém łonie.

Podczas gdy książę zajął się zbieraniem politycznych i literackich utworów z posadzki, wzięłam z mych kolan spoczywający tam dziennik do ręki i mimowolnie rzuciłam okiem na ostatnią stronnicę. Był tam właśnie powtórzony afisz dzisiejszego przedstawienia w teatrze. Zdziwiło mię niemało, że tam nie było operetki z francuzką divą, ale poczciwa komedya swojskiego autora.

Nie mogłam teraz zrozumieć początku dzisiejszéj rozmowy o francuzkiéj divie i rzucaniu z loży bukietów.

Chciałam właśnie o to książęcego Syzyfa, któremu dzienniki ustawicznie z ręki wypadały, zapytać, gdy z drugiego salonu weszła z ojcem księżna Adela.

Ojciec miał twarz ożywioną, a pani Adela miała

oczy tak zmrużone, że ich nawet widać nie było. Przysłoniła je jeszcze lornetką, zbliżywszy się do nas.

— Cóż to za nieporządek—zawołała z uśmiechem filuternym — toż to *un vrai champs de bataille!* Leżą porozrzucane lawety, wozy, popękane działa, szable połamane i strzaskane karabiny... *et dites moi enfin...* gdzie są zwycięzcy i zwyciężeni?

Przymowa tak niespodziana zmieszała mię. Zapomniałam o afiszu i francuzkiéj divie... Uprzedził mnie w odpowiedzi nieszczęśliwy Syzyf, który ciągle jeszcze podnosił spadające gazety.

— To ja przegrałém—zawołał z pod stołu głosem brzuchomówcy.

— Jakto — zapytała księżna — *mon chèr cousin* przegrałeś?

— A przegrał i właśnie płaci kontrybucyę robotą *in natura*, która trwa już od dziesięciu minut!

Księżna Adela z pewném zdziwieniem spojrzała na mnie.

— Możeś nie przegrał, *mon chèr* — mówiła daléj z zabarwieniem urazy — może jesteś tylko zwyciężonym?

Książę wysunął głowę z pod stołu, a złożywszy ostatni dziennik na stosie, spojrzał zdziwiony na kuzynkę.

— Wszak kto przegrał, ten jest zwyciężonym — rzekł po chwili.

— Widać, że ucho twoje nie umie jeszcze rozró-

żnić, kiedy mężczyzna wobec kobiety przegrywa, a kiedy staje się zwyciężonym. Przypuszczam, że tu zaszedł drugi wypadek, bo piérwszy mógłby być tylko skutkiem źle obliczonego rekonesansu, który przeszkód nie przewidział, a w impecie ze stołu je postrącał.

Zaprotestowałam przeciw takiemu biuletynowi, ale księżna trąciła mnie wachlarzem w ramię.

— My spokojniéj nasze rozmowy prowadziliśmy — rzekła z wejrzeniem na ojca — nic nie stłukliśmy, nic nie zrzuciliśmy, a przecież były pomiędzy nami także kwestye sporne.

W téj chwili weszła pani Zenobia, a za nią otworzył lokaj podwoje od stołowego pokoju.

Herbata była gotowa.

XXVII.

Nazajutrz przed południem wpadła do mego buduaru wysoka, o ruchach wężowych dziewica i z krzykiem rzuciła się na mnie. Wyprzedziła ona starego Franciszka, który z kartą wizytową na srebrnéj tacy za nią postępował.

Dwa wykrzykniki: „Idalka! Anetka!" — połączyły nas w serdecznym uścisku.

Księżniczka Idalia, moja przyjaciółka z lat pobytu na pensyi, znacznie wyrosła, włosy jéj pociemnia-

ły, tak, że wyglądała na brunetkę. Twarz jéj była bledsza i jakby smutkiem owiana.

Ściskałyśmy się i całowały bez końca i rzuciłyśmy sobie setki zapytań, na które żadna z nas odpowiedzi nie czekała.

A odpowiedzi byłyby zawsze ciekawe. Na pensyi przysięgłyśmy sobie miłość dozgonną, a po rozstaniu się pisywałyśmy cały jeden rok do siebie. Listy zrazu długie, kurczyły się coraz więcéj i w końcu ustały. Ojcu sprawiały te listy wielką radość, a nawet kładł je na stole, gdy sąsiedzi nas odwiedzali. Gdy ustały, martwił się, a nawet zachęcał mię do powtórzenia nieodwzajemnionéj korespondencyi.

Wyobrażałam sobie, jaką radość sprawi mu obecnie moja przyjaciółka, którą posądzałam o zapomnienie koleżanki, żyjącéj w jakiémś zapadłém pustkowiu.

— Czy wiesz — mówiła do mnie — że mi cuda opowiadano o tobie, o twojém szczęściu. Twój buduar opisywano mi, jako cudo fantazyi!

Zbliżyła się do ścian i zaczęła dotykać się draperyi, skał podwodnych, umieszczonych po rogach, od których pięły się po ścianie koralowe konary. Firanki, draperye, pokrycia stołowe brała do ręki, próbując jakości materyi.

— Śliczne, gustowne, no, no—i drogie! Te dwa przymioty w urządzeniu domu muszą się łączyć w naszéj sferze. Bankier i przemysłowiec może się tylko wysilić na bogactwo, ale ta finezya smaku, *ce parfum*

de bon gout, jest im obcą. Cieszę się bardzo, że cię tak zastałam... Ale ty nie mówiłaś mi nic o tym waszym amerykańskim Krezusie? Powiadają coś o dwóch miljonach. Czy to prawda, aby w dzisiejszych czasach?...

Nie mogłam zaspokoić jéj ciekawości, bo sama dotąd o cyfrze całego spadku nie wiedziałam.

Kazałam jéj znacznie objąć owe dwa miliony, pozostawić jednak tyle, aby to niepospolity oznaczało majątek.

Westchnęła mimo to, a twarz jéj oblokła się smutkiem.

— My mieszkamy w tak zapadłéj kniei — rzekła po chwili. — Tam nie ma sąsiedztw stosownych, do tego mama ciągle chora...

— Z kimżeś przyjechała?

— Z babką Amelią. Miałyśmy przyjechać na cały karnawał, ale były różne przeszkody.

— Czy tylko tak, dla zabawy?

— Zawsze jesteś ta sama! W dzisiejszych czasach potrzeba się liczyć, z życiem rzeczywistém, z rozsądkiem na świat patrzéć, albo bawić się *à la manière de demi-monde!*

— Widać, że opiekuje się tobą babka!

— Wszak i pani Zenobia jest twoją babką?

— Babką—ale jest kobietą piérwszego Cesarstwa.

— I prawdopodobnie nosi kostyumy z téj epoki...

— Które teraz bardzo są w modzie.

— *Très bien*, będę się jéj radziła.

I uściskałyśmy się obie, jakby po czułych wynurzeniach przyjaciółek, które się dawno nie widziały.

Idalka spojrzała z uwagą na moje włosy.

— Nic się nie zmieniły—rzekła—czy już nie nosisz tych loczków, choćby tylko do śniadania *à la fourchette?*

— Moja fryzyerka powiada, że już wyszły z mody.

— Szkoda! Tak ci było do twarzy.

— Moda jest naszym tyranem, a często nawet dla niéj wyrzekamy się naszéj próżności.

— To prawda, ale czegoś słuchać potrzeba, bo inaczéj mogłybyśmy zdziczéć. Ja, naprzykład, przyjeżdżam z dalekiéj północy, a jestem tak samo prawie ubrana, jak ty. Ale wiesz co? Przychodzi mi wyborna myśl do głowy. Będziemy się ubierały jednako, jak siostrzyczki i nazwiémy się *inséparables*... Czy znasz te dziwaczne małe papużki? Nie większe są od wróbla, a zawsze muszą być oboje razem, tak, aby się skrzydełkami siebie dotykały. Siedzą tak w klatce, we wspólném więzieniu, zawsze, przy sobie przez całe dni, tygodnie, lata. Gdy jedno zachoruje, odyma się i drugie, a gdy jedno zginie, ginie i drugie. Dziwny kaprys natury!

Niemiły dreszcz przebiegł po moich nerwach.

— Dlaczego nazywasz to kaprysem?—zapytałam.

— Przecież nie zechcesz przenosić tego na ludzi! Jakby to wyglądało, gdybyśmy, jak dzikie Indyanki,

musiały się dać żywcem na stosie palić, wraz ze zwłokami naszych mężów... Ale przejdźmy do porządku. Czy kołnierze „à la Marie Stuart" noszą tutaj?

— Właśnie kazałam sobie taką suknię zrobić na sobotę.

— Doskonale, taką przywiozłam ze sobą.

Nastąpiła pauza. Zdawało mi się, że nasze wynurzenia już się skończyły, co mnie po części dziwiło, gdyż Idalka już w piérwszych listach swoich zaczęła mi się spowiadać z pewnych marzeń.

— Nie mówisz mi nic o sobie — rzekłam z wyrzutem.

Idalka machnęła ręką, jakby chciała jakiś dymek rozwiać.

Nie ma o czém mówić. Jak przyszło tak poszło!

— A przecież zdawało ci się, że to tylko od ciebie zależy?

— Często wam wszystkim tak się zdaje!... A cóż, tobie tam na wsi nic się nie zdawało?

Nie spodziewałam się takiego zapytania.

— Mnie? — odpowiedziałam po chwili — jeżeli powiadasz, że nam wszystkim często się zdaje, to być może, że i mnie się coś zdawało.

— I poszło, jak przyszło... Biedne my jesteśmy! Zaczynamy bardzo pięknie i układamy życie, jak poemat, aż tu nagle nieubłagana rzeczywistość wypędza nas ze świątyni marzeń na targowisko, gdzie widać tylko dwa napisy: *Kupno i sprzedaż.*

— Zasmucasz mnie! Czyżby tak źle było z tobą?

Idalce stanęły łzy w oczach.

— Tak źle bardzo jeszcze nie jest, ale na to się zanosi.

— Czy rozpoczęto już jakie petraktacye o ciebie?

— Nic nie wiem, babka coś tam robi.

— Zapewne będzie to człowiek niemłody.

— Coś w tym guście, ale babka powiada, że zabezpieczy moją przyszłość pewnemi warunkami.

— Jakież to mogą być warunki?

— Na wypadek naszéj separacyi lub rozwodu, ma mój mąż dla mnie pod Genuą kupić willę i dać rentę!

Teraz puściły się łzy z jéj oczu.

— Biednaś ty! — zawołałam, przyciskając ją do piersi. — Któżby się spodziewał, że ta wesoła i rozkoszna Idalka, która roiła sobie na pensyi, że jéj życie będzie, jak z puchu wydmuchane... po niewielu latach tak do mnie przemawiać będzie?...

— A któżby się był spodziewał, że ty, Anetko, któraś nas wtedy z melancholijnym uśmiechem słuchała, gdyśmy o naszych przyszłych roiły, że ty za lat niewiele będziesz w takich rozkoszach i tak szczęśliwa?

Na te słowa nie mogłam na razie znaléźć odpowiedzi, bo wszystko mi się jakoś w głowie pomięszało.

Idalka spojrzała na zegarek.

— Szczęściem dla nas — rzekła — że życie nasze nie składa się z wielkich, ale z bardzo drobnych rzeczy. Przypomniałam sobie, że mam przed obiadem wstąpić do modniarki i wybrać kwiaty do przystrojenia sukni na czwartek. Sądzę, że margerytki najlepiéj się nadadzą.

— Ja także wyjadę z panią Zenobią wybierać koronki, które będą wpuszczone w rozcięty stanik sukni „à la Ninon!"

I tak drobne rzeczy przecięły wielką kwestyę życia, przykrywając ją kwiatami i koronkami.

Pożegnałyśmy się, rozczulone i zadowolone po tak długiém niewidzeniu się.

XXVIII.

Całe popołudnie poświęciłam rozmaitym drobnym sprawunkom. Jeździłyśmy i chodziły z panią Zenobią od magazynu do magazynu, od modniarki do jubilera, dla zwyczaju wstąpiłyśmy do księgarni, a zrobiwszy parę krótkich wizytek, wróciłyśmy przed wieczorem do domu.

Przejażdżka, zajęcie i rozmowy orzeźwiły mój umysł. Uczułam się silniejszą i zdrowszą po przebytych smutnych myślach i denerwujących wspomnieniach. Zjawienie się smutnéj i rozczarowanéj Idalki, która we wspomnieniach moich majaczyła,

jako ideał szczęścia kobiecego, było dla mnie bolesne, ale dawało mi także naukę, aby się liczyć z rzeczywistością.

Byłam dzisiaj w lepszych od niéj warunkach, których nie powinnam lekceważyć.

Wprawdzie zakreślił mi ojciec szeroki widnokrąg mego działania, a były także i wystarczające środki do tego — mimo to bezpieczniéj było poprzestać na tém, co się na dzisiejszym widnokręgu ukazało.

W porównaniu z Idalką byłam dzisiaj prawie szczęśliwą. Nie znałam jeszcze dzisiejszego jéj położenia i tylko z tego, co mi powiedziała, mogłam wnosić, że jest bardzo nieszczęśliwą.

W moich oczach podobną była do meteoru, który przez krótki czas świecił ogniem bengalskim, a potém zwykłym kamieniem spadł na ziemię. Żal mi było tego jasnego światełka, które nam w murach pensyonatu tak jasno świeciło! Wszystkie zazdrościły wtedy jego blaskom, które wydawały nam się niedoścignione.

Dzisiaj zbliża się ona do mnie, aby się ogrzać w mojéj atmosferze.

Wyobraźnia moja w czarnych kolorach malowała mi ową willę pod Genuą. Architektoniczne kontury téj willi były wprawdzie wykwintne, ale na tle włoskiego nieba rysowały się, jak ponure więzienie nieszczęśliwéj rozwódki. Było to prawdopodobném, jeżeli babka przypuszczała, że tak stać się może.

Na taki obraz zadrżało moje serce i zapytało, czy nie ma jakiéj dobréj rady dla przyjaciółki?

Nad tém pytaniem myślałam czas niejakiś, ale potém zaśmiałam się z ironią sama z siebie.

Myslałam o innych, chciałam przyjaciółce dawać radę i pomoc, a sama przecież potrzebowałam w téj chwili jak najżyczliwszéj rady na drodze rozstajnéj mego życia. Czyż dobre serce moje, które chciało łzy wylewać nad niedolą przyjaciółki, nie uczuło w téj chwili niepokoju, że sama dotąd po ciemnéj idę drodze?

Do téj ciemnéj drogi byłam już nieco przyzwyczajoną; błędne światełko, które mi zrazu przyświecało, zgasło samo z siebie, a zdala migotały do mnie różne gwiazdy, a chociaż promienie ich nie grzały, mogły jednak ciemną drogę życia oświecić.

Czyżby nie było dostateczném szczęściem dla mnie w świetle tych gwiazd zaniechać dalszych pragnień moich i rozbić namiot życia, namiot jedwabny, złotém i srebrem przeszywany?

Czyż w takim razie nie byłam zawsze godną zazdrości? Tysiące z moich rówieśniczek patrzałoby z zapartym oddechem na ten namiot złoty i marzyło o życiu jedwabném, jakie tam prowadzę...

Żadna z nich nie domyśliłaby się, że w tym jedwabiu mogą się ukrywać ciernie, raniące mnie od czasu do czasu...

Rozmowa z ojcem wskazała mi już ostateczny cel mojéj drogi, a to, co wtedy usłyszałam, mieściło w sobie wiele prawdy względnéj, jak ją dzisiaj pojmują. Przyszły małżonek tytułem swoim otwierał mi drzwi do wszystkich salonów, a wobec całéj rzeszy dawał mi urok wyższéj istoty.

Czyżby to nie było szczęściem, chociażby w powszedniém znaczeniu tego słowa? Czyż każda inna kobieta na mojém miejscu nie szalałaby z radości, że ją taki zaszczyt spotyka? Dlaczegoż ja odrazu nie uczułam téj radości?

W głowie mojéj i w sercu majaczyły jeszcze jakieś mary przebytych snów młodocianych, a młody książę nie dorównywał tym marom; w postaci jego i znalezieniu się było coś, co pobudzało mnie do śmiechu, a składane codziennie hołdy licznych wielbicieli przyćmiewały go i w głąb' usuwały.

Dzisiaj zbliżył się do mnie ten mój pretendent w odmiennéj nieco postaci. Wzruszenie wewnętrzne uszlachetniło jego twarz, niewyraźne oczy zaszkliły się pewnym lepszym zapałem, a w duszy jego ozwało się coś, co kobietę pociągnąć może.

Czyż to nie wystarcza, aby na widok takiéj gwiazdy zatrzymać się i, jak mówi pani Zenobia, rozbić namiot jedwabny?

Gdym tak rozmyślała, zdawało mi się, że juz zdążam do mety, że już przed sobą widzę port, w którym mam spocząć, posiadłszy złote runo, gdy

nagle świeży powiew wiatru odwiał mi z przed oczu widziane tak blizkie miraże.

Zamiast nich, zamiast zielonych wybrzeży stałego lądu i portu ze złotém runem, zamajaczyły przedemną jakieś mgły kłębiące się chaotycznie, jak gdyby wichrem popychane.

Zmieniały co chwila barwy, przybierały inne kształty i rwały mię za sobą w jakąś otchłań bez dna i brzegów, w którą patrzałam z dreszczem nieznanéj rozkoszy.

Cóż to było? Zkąd wieją te tumany rozkoszne i dokąd one prowadzą? Czy to nie sprawy serca, które nie chce tak prędko zawierać kompromisu z warunkami życia rzeczywistego, które pragnie żyć daléj tém, co w niém jest jeszcze i do czego ma prawo? Czyż owe aspiracye żywszych wzruszeń, gorętszych uczuć i tych upragnionych walk z przeszkodami, mają być już dla niego stracone?

I uczułam w sercu wzmagający się niepokój; niewyraźne pragnienia ogarnęły moją duszę, byłam podobną do okrętu, który rwie się na łańcuchu kotwicznym, chcąc wypłynąć na pełne morze, na burze i uragany... bo tam go coś nęci, coś gwałtownie popycha.

Wstałam z fotelu i przeszłam się kilka razy po pokoju.

Przechodząc koło zwierciadła, spojrzałam na siebie. Miałam toaletę wizytową, ubraną koronkami i aksamitem. Było mi w niéj do twarzy.

Chciałam właśnie świeży kwiatek wetknąć do włosów, gdy w przedpokoju odezwał się dzwonek.

XXIX.

Weszła pani Zenobia.

— Nie wiem, co robić? — rzekła, czytając kartę wizytową. — Pan Celestyn.

Doznałam przyjemnego wzruszenia.

— Mamy jeszcze dobrą godzinę do obiadu, — odpowiedziałam — mamy toalety gotowe, może go przyjąć?

— I owszem, ojca to ucieszy, bo kilka razy dopytywał się, czy był z wizytą. Rodzice jego są powszechnie bardzo poważani i zajmują w towarzystwie przednie stanowisko.

Pani Zenobia zadzwoniła na Franciszka i kazała gościa prosić. Obie wyszłyśmy do salonu.

Wszedł pan Celestyn. Już zdala robił na mnie wrażenie kleryka. Miał czarny surdut, zapięty szczelnie pod szyję, czarne rękawiczki z białém wyszyciem i czarny jedwabny kapelusz.

Szedł krokiem nieśmiałym, jakby się czegoś obawiał. Twarz jego była blada i stawała się coraz bledszą, im więcéj do nas się zbliżał.

Duże, czarne oczy przesłaniały długie rzęsy, z pod których migotały jasne, mieniące się promy-

ki. Usta chciały się uśmiechnąć, ale skończyło się na wyrazie smutku i żalu.

Ukłonił się najprzód pani Zenobii, a potém mnie, ale tych ukłonów nie ożywił żadném słowem.

Przyszłam mu w pomoc.

— Pan przecież nie przychodzisz do nas z pożegnaniem, — rzekłam, podając mu rękę — bo zepsułoby to obecną naszą przyjemność.

Podniósł długie rzęsy do góry i spojrzał na mnie pełném okiem. Chciał powiedzieć coś weselszego, ale zatrzymał się.

— Uważamy to za piérwszą wizytę, — ozwała się Zenobia — którą się wita, a nie żegna.

A podając mu rękę, prosiła, aby usiadł.

— Życie ludzkie — odparł młody doktór filozofii — składa się więcéj ze scen pożegnania, niżeli powitania. Witamy tylko wszystko w chwilach piérwszéj młodości i zdaje nam się, że to wszystko, cośmy ujrzeli, już posiadamy, a tymczasem rzeczywistość nieubłagana każe nam oddawać jedno złudzenie po drugiém i zostawia nas potém samych, jak rozbitków na skale, wśród wód morskich.

— Dajesz pan smutny obraz życia ludzkiego — zauważyła pani Zenobia.

— A dla mnie — dodałam — stawia ten obraz niemało kłopotów w perspektywie. Gdybym z każdém wspomnieniem, złudzeniem i marzeniem że-

gnać się miała, zabrałoby mi to tyle czasu, żebym wszystkiemu podołać nie mogła.

— Nie wszyscy są tak bogaci!

— Którym, niestety, tak trudno będzie dostać się do królestwa niebieskiego, jak trudno wielbłądowi przecisnąć się przez ucho igielne.

Pan Celestyn spojrzał na mnie pełném okiem.

— Nie mówiłem tego w takiém znaczeniu. Są bogaci, na których patrzymy ze współczuciem, a są tacy, którym zazdrościmy.

Spojrzał na mnie, jak gdybym do tych ostatnich należała.

— Do jakich więc pan mnie zaliczasz? — zapytałam z uśmiechem.

Spojrzał bojaźliwie na panią Zenobię. Była ona domyślną w takich razach i wstała natychmiast, aby coś poprawić koło firanek. Od firanek zaszła do żardynierek i zaczęła z kwiatów uschłe liście oskubywać. Słowem, starała się nic nie słyszéć.

— Pani zadała mi trudne pytanie, — rzekł do mnie, gdy już pani Zenobia przy oknie stała — bo właściwie pani należysz do istot wyjątkowych. Pani nie potrzebujesz nigdy się witać i z nikim się żegnać. Pani wszystko z sobą przynosisz, a co posiadasz, nikt pani tego odebrać nie może. Jesteś pani sama bogactwem, którego można tylko pożądać, ale któremu zazdrościć nie można.

— Pan tak subtelnie umiesz rozróżniać rzeczy

tego świata, a jednak, jak mi raz powiedziałeś, chcesz je porzucić dla wyższych swoich celów?

Pan Celestyn spuścił oczy na dywan, na którym właśnie spoczywał mój pantofelek ze złoconéj skórki.

— Wypada przecież z czegoś ofiarę zrobić — odrzekł posuwając oczyma za moim pantofelkiem.

— Przecież nikt od pana takiéj ofiary nie żąda?

— Najszczytniejsza ofiara jest dobrowolna.

Wymawiając te słowa, podniósł oczy, chociaż nie bez trudu, od dywana i wzniósł je do sufitu.

Pięknie wyglądał w téj chwili. Malowało się pewne zachwycenie na jego twarzy, jakby patrzał w niebo, żądając ztamtąd nagrody za szczęśliwie odbytą walkę z pokusą szatana.

Miał dla mnie w téj chwili tyle uroku, że, jako ziemska kobieta, chciałam odlatującego z ziemi Cherubina ująć za jego szatę powiewną i przy ziemi zatrzymać. Chciałam mu tę ziemię różami zasłać, na tych różach łagodnie go ułożyć, jak śpiące dziecię, aby, owiany tą wonią ziemską, zakosztował snów ludzi, na ziemi mieszkających.

I zaraz zapytałam siebie: Na co i po co? Miałoby to wiele uroku i ponęty... A któż śmié prawom serca stawiać granice: *dotąd, a nie daléj?*

Wszak serce, słyszę dzisiaj zewsząd, ma prawo do tych drgnięć subtelnych, które stanowią często wielką rozkosz, a nawet niemałe szczęście dla kobiety, po cóż się więc tego szczęścia pozbywać? Wszak

i tak jest ono często niewidzialne dla świata, zamyka się w tajnikach duszy i nikomu tam nie szkodzi.

Czy nikomu nie szkodzi?...

Na to pytanie nie odpowiedziałam sobie, ale nagle przyszła mi Idalka na myśl.

Czyżby biedna Idalka nie mogła tego Cherubina uwięzić dla siebie na różach ziemskich?

Ta nowa myśl dodała mi odwagi do dalszéj rozmowy. Chciałam coś zrobić dla Idalii. Dla niéj mogłam sobie nawet więcéj pozwolić, niż dla siebie. Rola pośredniczki bardzo mi się uśmiechała.

Pan Celestyn patrzał ciągle w sufit, jakby na nim widział skrzydlatych aniołków, podpierających podnóżek Bogarodzicy.

Źrenice oczu jego schowały się pod ciemne rzęsy, aby przez nie, jak przez mgły ziemskie, patrzéć w to niebo mistyczne, które tyle rozkosznych kryje tajemnic.

Na widok tych oczu uczułam dreszcz w całém ciele. Chciałam także patrzéć tam, gdzie one patrzyły, zachwycać się tém, co je w taki zachwyt wprawiło. Chciałam razem z niemi tak patrzéć i razem z niemi zachwycać się.

— Pan wyrządzasz mi krzywdę — rzekłam — na którą przecież nie zasłużyłam.

Ocknął się jakby z błogiego snu.

— Czyż mógłbym ja pani jaką krzywdę wyrzą-

dzić? — zapytał prawie z przestrachem — czyż mógłbym ja panią skrzywdzić?

— Byłeś pan przed chwilą gdzieś w niebie, a mnie zostawiłeś na ziemi.

— Gdzie pani jesteś, tam wszędzie jest niebo! Rozumié się, w ziemskiém znaczeniu tego słowa — dodał prędko, aby nie popełnić grzechu bezbożności.

— Widać, że takie niebo nie wystarcza panu.

— Przeciwnie, czuję, że w atmosferze tego nieba mógłbym się, jak aerolit, zapalić, stopić i spaść na ziemię zwykłym kamieniem. Taki los owych tworów wyższych sfer, gdy się do atmosfery ziemi zbliżą.

— A pan chciałbyś w tych mglistych wyżynach pozostać samotny?

— Jak siewacz ziarna, rzucił Bóg światy wszechmocną ręką swoją w przestrzeń bez granic; On rozrzuca także ludzi na ich stanowiska.

— Któż panu powiedział, że takie jest stanowisko pana?

— Powołanie!

Pan Celestyn złożył ręce na znak poddania się swemu powołaniu.

Dziwny miał w téj chwili urok. Wyglądał, jak człowiek, idący niby z determinacyą naprzód, oglądający się jednak z nadzieją, czy go kto nie zatrzyma.

Wzięła mnie nieprzeparta ochota zatrzymać go, rozumié się, dla Idalki.

— Gdybyś pan jednak wśród tego powołania uczuł nagle, że ktoś pana z tych wyżyn ku ziemi chce ściągnąć?

— Zależy to od tego, co byłoby silniejszém.

— Czy pociąg do ziemi może być kiedy silniejszy od powołania do sfer wyższych?

— Czasem powołanie nie jest prawidłowe, jest złudzeniem; wtedy grzechem nie jest z wyższych sfer wrócić do ziemi i żyć jéj życiem.

— Chciałabym pana o tém przekonać.

— Dlatego mam wielką obawę przed panią. Czuję, że pani mogłabyś dokazać tego, czego żadna kobieta dokazaćby nie mogła.

Podrażniło to moją próżność kobiecą. Przysunęłam mój fotel do niego.

— Jeżeli tak, — rzekłam, śmiejąc się — nie zrzekam się żadnego z praw moich, które mi w takiéj chwili służą.

Przestrach malował się teraz na twarzy pana Celestyna. Lekko odsunął się.

— Moje słowa widocznie przestraszają pana, — mówiłam daléj—a przecież uznałeś sam prawa moje.

— Tak jest, — odparł — jezeli pani chcesz je w dobréj wierze wykonać.

— Posądzasz mnie pan o złą wiarę?

— Dzisiaj jest to w modzie, a co jest modném, uchyla się od sądu.

Zrozumiałam ukrytą myśl tych słów. Podałam mu rękę.

— Przyrzekam panu, że praw mych nie nadużyję.

Myślałam w téj chwili o Idalii. Pan Celestyn trzymał moją rękę, jakby z jéj tętnic chciał się przekonać o tém, com powiedziała. Czułam, że jego ręka drżała z niepewności, że tętna jéj biły niespokojnie, jakby w gorączce.

— Dziękuję pani, — rzekł po chwili — jestem tak szczęśliwy, jak nigdy!

— Opisz mi pan to szczęście swoje.

— Nie umiem go jasno określić. Czuję wkoło siebie cieplejszą atmosferę, jakbym był pod włoskiém niebem. Oddycham tą atmosferą... i zdaje mi się, że serce moje otwiera się na zewnątrz!

— To musi być bardzo przyjemne?

— Przyjemność niewysłowiona i niepochwytna, jak muzyka!

— Lubisz pan muzykę?

— Któżby jéj nie lubił? Mozart powiedział, że nie chciałby spać pod jednym dachem z człowiekiem, który muzyki nie lubi.

W salonie zaczął już zmierzch zapadać. Pani Zenobia wyszła, aby kazać kandelabry zaświecić.

— Zanim lampę przyniosą, — rzekłam z uśmiechem — zaśpiewam panu piosnkę. Szara godzina nadaje się bardzo do piosenki.

Pan Celestyn zerwał się z fotelu i podbiegł do fortepianu. Otworzył klawiaturę i przysunął krzesło.

— Przysuń pan jeszcze jedno krzesło dla siebie. Pan jesteś także muzykalny, może zaśpiewamy co razem?

Pan Celestyn skłonił się.

— Dzisiaj chciałbym tylko słuchać, słuchać jak najdłużéj.

Siadłam do fortepianu. Piérwsze akordy poruszyły gdzieś śpiące muchy, które zaczęły, jak zbudzone marzenia, latać po salonie.

Zaczęłam:

„*Si vous n'avez rien à me dire.*"

Pan Celestyn stał oparty o fortepian. Na jasnych firankach, które okno przysłaniały, rysowała się jego sylwetka bardzo wdzięcznie. Idealnego kształtu głowa pochyliła się ku mnie, jakby ją coś przyciągało. Oczy miał otwarte szeroko, jakby nietylko uchem, ale i oczyma słuchał. Pierś jego podnosiła się, jak fala, a gorące tchnienia dolatywały aż do mego czoła.

Czułam, że w głowie tego człowieka łamały się w téj chwili różne systemy wiedzy i nauki, doktryny filozofii i poglądy historyi, które tam mozolnie sobie uporządkował. Czułam, że w jego piersi powstawał prąd nowy, który walczył z tém, co w głowie było. Walczył, tę walkę widziałam w jego oczach.

W jednéj tylko rzeczy nie było harmonii. Humor

mojéj piosenki nie odpowiadał téj walce wewnętrznéj, ale za to ułatwiał jéj łagodniejszy przebieg. Przyczyniał się do tego mój uśmiech, z jakim śpiewałam.

Słuchał z uwagą, a czasem zapierał oddech, aby jednéj nuty nie stracić. Czasem uśmiechał się, gdy się piosenka uśmiechała lub gdym ja z uśmiechem na niego spojrzała.

Przestałam śpiewać.

Pan Celestyn stał jeszcze czas niejaki, jakby słuchał echa, błąkającego się po salonie i przyległych pokojach.

Tymczasem weszła do salonu pani Zenobia, a za nią wniósł służący dwa kandelabry.

Szara godzina pierzchła, zostawiła jednak tyle po kątach zacienia, ile potrzeba wyobraźni, aby snuć fantastyczne widzenia. Pani Zenobia wzięła kilka albumów i usiadła przy odległym stole.

Pan Celestyn oparł się wygodnie o fortepian, przez co twarz jego jeszcze więcéj ku mnie się nachyliła.

— Pieśń — ozwał się cicho, jakby mówił do swoich myśli — pieśń jest to dziwny utwór ludzki.

— Mówią, że pieśń jest mową bogów!

Uśmiechnął się jak człowiek dojrzały na szczebiot dziecka.

— Czy bogowie pogan śpiewali, chcąc z sobą rozmawiać, nie wiem, ale to pewna, że pieśń ludzie

sobie utworzyli. A nad znaczeniem tego ludzkiego utworu często myślałem.

— I cóż pan w nim widzisz?

— Widzę w nim zręczny sposób rozmawiania czy raczéj porozumienia się z drugą osobą wtedy, gdy nikt o tém nie wie, i na to uwagi nie zwraca. Są sytuacye, w których nie można czegoś jasno wypowiedzieć—stosowna piosenka wypowiada to i jest zrozumiałą.

— Chciałeś pan powiedzieć, że piosnka przekrada romans do salonu, aby go tam jako kontrabandę ulokować.

Rumieniec okrasił mu twarz.

— Nie wiem, co pani przez te słowo „romans" chce rozumieć?

— Biorę je w literackim znaczeniu. Wzajemne wrażenia dwojga dusz, dwóch serc... ich porozumienie się, dzieje ich wspólne.

— Wrażenie dwojga dusz—powtórzył, jakby do siebie—jak to pięknie i wzniośle. Słysząc takie słowa, rozjaśnia się widnokrąg przed nami i pozwala nam pątrzéć tam, gdzie oko zwyczajnych ludzi patrzéć nie może.

— A pan przecież tam patrzéć nie chcesz.

— Lękam się, abym nie dostał zawrotu na widok tego, cobym tam ujrzał.

— Mówią, że wielkie szczęście, wielka radość

sprawia zawrót rozkoszny. Mamyż ich dlatego unikać?

— Gdyby w nim można do śmierci pozostać. Ale zakosztować go raz, upoić się, a potém utracić na zawsze te same mamidła, które nam serce taką rozkoszą rozpierały — utracić, wznieść im pomnik i przy tym pomniku klęczéć przez resztę życia, patrząc na cmentarz, który tu nas zewsząd otacza!...

Wymawiając te słowa, jakby w rozpaczy, patrzał przenikliwie w moje oczy, jakby chciał dotrzéć aż do głębi mego serca i tam wyczytać, co w téj chwili czuję. Byłby może coś tam znalazł, coby go ucieszyło. O Idalii zapomniałam w téj chwili. Myślałam o sobie, o młodym doktorze filozofii, o zawrotach wśród szczęścia i o pomniku na cmentarzu.

Widziałam go klęczącego przy tym pomniku w świetle księżyca, słyszałam szept jego modlitwy, a nad nim szelest duchów niebieskich, o których marzył.

— Więc pan obawiasz się rozczarowania, nie chcesz oczu otwierać, aby nie ujrzéć czegoś niespodziewanego i z zamkniętemi oczyma chcesz przejść przez całe życie.

— Jest w człowieku zmysł, którym widzi, choć oczy zamknięte.

— Niech mi pan o tém piosenkę zaśpiewa.

Ustąpiłam mu krzesła. Siadł bez wahania się i wziął kilka akordów. Z tonów minorowych, które

splotły się w jakiś kwiet fantastyczny, przeszedł do akordów poważny drżącym od wzruszenia głosém zaczął pieśń aniałą: „Ave Maria!"

Pieśń wspaniała, mistyczna, wznosiła się zwolna, jak wieża gotycka ku niebu. Głos jego rósł, jak rośnie potok w biegu, jak rośnie lawina, spadając na dolinę. Ciemny rumieniec okrył mu twarz, jakby odblask z nieba, w które teraz patrzał, czarne źrenice oczu jego tak się podniosły do góry, że pod górną rzęsą zupełnie się skryły. Trzy świece z bocznego kandelabra, który stał pod zwierciadłem, rzucały fantastyczne światło na tę twarz natchnioną, a w natchnieniu tak piękną!

Wreszcie skończył i powstał. Był cały wzruszony, ręce mu drżały, głęboki oddech wydobywał się z piersi.

— Dziękuję panu—rzekłam, podając mu rękę— z taką pieśnią nie mogę iść w zawody. Gdzie panuje Królowa niebios, tam ziemska kobieta umilknąć musi.

Patrzał na mnie chwilę, jakby z wyrzutem i boleścią.

— Królowa niebios — rzekł ze smutnym uśmiechem—nie bierze za złe, gdy ziemska kobieta zapragnie komu drugie niebo na ziemi zgotować!

Wymawiając te słowa, pochylił się nad moją ręką, aby ją ucałować. Czułam gorący prąd, który

bił mu od czoła, a na ręc uczułam palające jego usta...

W téj chwili wszedł lokaj i oświadczył, że obiad gotowy.

Przypomniałam sobie Idalię i powtórzyłam jéj słowa.

— Jakie to szczęście — rzekłam — że nasze życie nie składa się z samych wielkich rzeczy, ale często z bardzo drobnych.

— To prawda — odpowiedział smutno, — służący woła do obiadu.

Poszedł do pani Zenobii z pożegnaniem, uścisnął mi rękę i powoli wyszedł z salonu, jak ongi wychodził Adam z utraconego raju.

Przecież on raju jeszcze nie utracił.

XXX.

Po téj wizycie, na któréj mimochodem poruszone były większe kwestye życia, powróciłam do owych drobnych rzeczy, zapełniających zwykle nasze życie. Było w projekcie kilka większych wieczorów z tańcami i bez tańców, a na każdy z nich potrzeba było obmyśléć inną toaletę. Miał się także złożyć wieczorek kostyumowy w maskach i bez masek, a do tego potrzebne były osobne studya rozmaitych żyjących i nieżyjących narodów.

Ileż czasu, ile sił potrzebowało to wszystko! Gdyby która z kobiet, zawiedzionych w miłości, chciała się zabić z rewolweru lub otruć fosforem, nie miałaby czasu nabić broni morderczéj, ani zeskrobać fosforu z łebków zapałek. Niezawodnie odłożyłaby to na późniéj.

Ciekawe rozmowy o mających nastąpić cudach nie dozwoliłyby jéj przed tém wszystkiém targnąć się na życie. Utrzymują, że dlatego jest mniéj samobójstw między ludźmi, że codziennie muszą wstawać z łóżka, myć się i ubierać.

Tym sposobem i moje większe kwestye życia ustąpiły w głąb, a na piérwszym planie stanęły przygotowania na zapowiedziane wieczorki.

Prócz tego i ojciec chciał w końcu wystąpić z wielkim wieczorem. Miał on być wspaniałym i wykwintnym i w ten sposób urządzonym, aby o nim długo i szeroko mówiono.

Ojciec znał się doskonale na tak zwanéj *mise en scène*, a gdzie taka zawołana doradczyni, jak pani Zenobia, współczynną była, tam nie można było wątpić o wspaniałych skutkach.

Do wspólnych narad należała także i księżna Adela, która teraz w naszym domu tak się zachowywała, jak gdyby należała do rodziny.

Z różnych napomknień mogłam nawet wnosić, że ów wspaniały wieczór miał miéć dla mnie nie małe znaczenie.

Na owym wieczorze miano mnie oficyalnie powitać jako narzeczoną kniazia Jarosława.

Domysł ten nie sprawiał mi wielkiego wzruszenia. Najprzód, że był to tylko domysł, który mógł się jeszcze nie sprawdzić, powtóre, że to przecież odemnie zawisło, aby się sprawdził.

Co do mnie, nie umiałam sobie jeszcze z tego zdać sprawy. Od dłuższego czasu szumiało mi to ustawicznie w uszach. Przyjaciółki moje, znajome panny i mężatki mówiły dziennie kilkakrotnie o tém.

Mężczyzni w każdéj rozmowie czynili aluzye do mego przyszłego związku i stosownie do usposobienia, zabarwiali je humorem, ironią, dowcipem lub życzliwością. Pani Zenobia, jak „koronkę", odmawiała codziennie różne pochwały na cześć księcia Jarosława, a ojciec przemawiał w imię rozsądku i wymagań towarzystwa, w którém żyjemy. Wszystko to przygłuszało me nerwy i nie pozwalało mi uczuć wrażeń subtelniejszych.

I dzisiejsze życie w mieście przyczyniło się niemało do mojéj, że tak powiem, bezwładności zmysłów, które nastroiły się teraz do niższego poziomu.

W towarzystwie rozmawialiśmy żartobliwie. Żartem dotykaliśmy strun serca, a struny te odpowiadały także żartem. Były to poprostu żartobliwe romanse z pozorami pewnéj prawdy.

Mówiono o uroczych spojrzeniach, o nocach bezsennych, o snach fantastycznych, a wszystko wiąza-

zano humorem i dowcipem, w jakieś codzienne, opowiadane nowelki. Była to wprawdzie tylko zabawa ale zabawa ta podrażniała lekko nerwy, zostawiając na czas dłuższy jakiś szmer przyjemny. Mężczyzni udawali pozorny atak na serca, a kobiety, wchodząc w role zdobywanych, próbowały swoich wdzięków, jako broni odpornéj lub zaczepnéj.

Zabawa ta towarzyska nie prowadziła wprawdzie do wielkich ekstaz i porywów, nie zmieniała losów ludzkich, ale była przyjemną, jako chleb codzienny, jako osłodzona nieco grzanka do codziennéj herbaty.

Do takich potrzeb nastroiły się także nerwy. Wystarczały dla nich lekkie owe podrażnienia, owe walki codzienne na żart, po których szło się spać spokojnie. A jeśli czasem coś głębiéj dotknęło, trwało to tylko dopóty, póki coś nowego na jego miejsce nie przyszło.

Nie było to głębsze, ale było nowe.

Żyjącym w tym małym światku nie potrzeba większych pragnień, bo codzienne im wystarczają. Sprawia to pewne przytępienie zmysłów, które mierzą już wszystko miarą codzienną.

Nic dziwnego, że w takiéj atmosferze nawet większe zdarzenie, jak np. zamążpójście, nie wyróżnia się wiele od zdarzeń codziennych. Wychodząc za mąż, nie doznaje się większych wzruszeń od tych, jakich się doznaje, idąc na raut lub na wieczorek z tańcami.

Nie ma żadnych przygód romantycznych, oświadczenia odbywają się w salonie na pół żartem, a jeśli skutku nie odniosą, to nikt tego nawet nie pozna. Gdy zaś już panna sobą rozporządziła, serce i rękę oddając wybranemu, to więcéj, niż dzień ślubu, zajmuje ją wyprawa i podróż poślubna.

W takiém otoczeniu nie mogłam być inną. Słysząc codziennie o książęcym pretendencie do mojéj ręki, przyzwyczaiłam się do téj myśli.

Zazdroszczono mi go, jak się zazdrości nowéj sukni z Paryża, kolczyków brylantowych lub kapelusza z magazynów Lawru. Wszystko to stało w jednym rzędzie i jednakie sprawiało wrażenie. Dlaczegóż nie miałam się zgodzić na to, na co zgodziło się już całe moje otoczenie? Przeciwnie, uznanoby mnie, za waryatkę, gdybym ofertę takiego konkurenta odrzuciła.

Zgodziłam się z tą opinią. Przyszło mi to tém łatwiéj, że od pewnego czasu książę Jarosław zmienił się w oczach moich na lepsze. Widywaliśmy się często, a przy każdém widzeniu spostrzegałam u niego jakiś niepokój, pewne wzruszenie, jakiego dawniéj nie było.

Jakiś duch inny wchodził w tego człowieka, patrzał inaczéj przez jego oczy, inaczéj teraz przez jego usta przemawiał. Rozmawiając ze mną, zdradzał pewną niecierpliwość, która go wewnątrz pożerała.

Wstawał, przechadzał się zamyślony po pokoju, zbliżał się do okna i bezmyślnie patrzał na ulicę.

Żartowałam sobie z jego dystrakcyi, a on przepraszał mnie, całując po rękach i obiecując, że się poprawi. Mówiąc o poprawie swojéj, wpadał w zapał niezwykły i przysięgał, że będzie się starał być innym.

Zmianę tę przypisywałam sobie. Przyjemnie mi było patrzéć na tego młodego człowieka, który z natury miał coś dzikiego w sobie, jak pod mojém spojrzeniem topniał i zmieniał się nie do poznania. Dawało mi to rękojmię, że i na przyszłość będę nad nim panować i poprowadzę go tam, gdzie zechcę.

Zgodziłam się więc ostatecznie na niego, jeśli tak być musiało. Widziałam w nim przyszłego męża mego, nie miałam jednak ochoty przyspieszyć jego oświadczenia, ani zbliżać czas ślubu.

Było mi to prawie obojętném, bo czekając na to miałam zawsze czas wypełniony zabawami. Samo zaś oczekiwanie było w tych warunkach ponętniejsze dla mnie od rzeczywistości, która prędzéj, czy późniéj, nadejść miała.

Inni pozostali pretendenci do mojéj ręki, uważali także sprawę księcia za sprawę skończoną. Uznali jego wyższość towarzyską, z którą trudno się było mierzyć. Padały jeszcze tu i owdzie pojedyńcze strzały, ale walna bitwa była już skończona.

Docent uniwersytetu zmienił niejeden pogląd dzie-

jowy na gorszy, od czasu, jak o mnie zwątpił. Dawniéj ludom romańskim, złączonym federacyą, przypisywał pierwszą rolę w najbliższéj przyszłości—dzisiaj oddał tę rolę zjednoczonym Niemcom.

Bezpłatny aplikat w biurze władzy krajowéj zapomniał zupełnie, że mnie znał kiedyś. Na ulicy nie kłaniał mi się, a w salonie, zmuszony do rozmowy, rozmawiał ze złością i furyą, godną lepszéj sprawy.

Bracia bliźniaki, Kastor i Pollux, pozostali ci sami, jako ludzie dobrze wychowani. Ani słowem, ani intonacyą nie zdradzili uczuć dla mnie nieprzyjaznych. Rozmawiali ze mną, jak zawsze, wykwintnie i dowcipnie, jakby nic się nie zmieniło.

Prawie taką samą postawę utrzymał porucznik od ułanów, chociaż inny miał powód do tego. Przegrał jako żołnierz, a przegrawszy, nie cofnął ręki od szczęśliwszego zwycięzcy. Honor jego był nietknięty, a to wystarczało.

Jeden tylko pretendent pozostał nieugięty i jak drugi Don Karlos, postanowił wytrwać do końca.

Był to pan Achil, protegowany kuzynek pani Izy. Nietylko nie cofnął się, ale przeciwnie zbliżył się jeszcze więcéj do mnie. W salonie starał się zawsze być przy mnie, grał rolę powiernika i zaufanego przyjaciela, dysponował mną przy tańcach i przy kolacyi.

Gdym wyszła na ulicę, wychodził z pod ziemi i towarzyszył mi do wszystkich magazynów. Zabierał mi z ręki sprawunki i niósł je z pewną osten-

tacyą. Miał często jakiś sekret dla mnie i szeptał mi do ucha, jakbym była jego rodzoną siostrą.

Opierałam się téj narzuconéj opiece, ale nic nie pomogło.

Gniewałam się, byłam niegrzeczną — on tego nie widział, ani słyszał. Księciu Jarosławowi przycinał często, jakby chciał z nim przyjść do awantury.

Mówiłam o tém pani Izie, ale Iza roześmiała się, utrzymując, że to ja temu winnam, a jeśli nie ja sama, to moje oczy, któremi go oczarowałam. Roześmiałam się na te słowa, bo mieściły one dla mnie sporą dozę słodyczy.

Innym od wszystkich był pan Celestyn. Nie zbliżał się do mnie, nie narzucał się, krążył zawsze w mojéj atmosferze. Patrzał na mnie z pewnym żalem i rezygnacyą, która jednak znikała, gdym się zbliżyła do niego.

Wtedy twarz jego pałała nieugaszoném pragnieniem szczęścia, które tylko we mnie mógł znaléźć, gdybym na to zezwoliła.

Gdym mu o Idalii wspomniała, spojrzał na mnie z wyrzutem, jak patrzy żebrak, którego odsyłamy do sąsiada, nie dawszy mu jałmużny.

Moje jedno słowo, jedno spojrzenie, sprawiało na nim wpływ magiczny. Pod tym wpływem byłby wszystko zrobił, byłby wszystkiego się wyrzekł, co dotąd był postanowił.

Przyznam się, że często o nim myślałam. Myśląc

zaś zdawało mi się, że się przenoszę na jakąś oazę wśród pustyni, gdzie oko moje miało przed sobą urocze miraże i niepochwytne „fata morgana".

Nie przywiązywałam do nich wielkiéj wagi, nie chciałam z nich utkać sobie weselnego wianka, ale były one dla mnie niewysłowioną rozkoszą, którą, jak mówi pani Iza, chowa kobieta w tajnikach swego serca, bez szwanku dla poważnych swoich obowiązków.

Rozkosze takie, jak mnie uczyły moje przyjaciółki, zaliczają się do rodzaju owych efemeryd, które w życiu kobiety niepostrzeżenie rodzą się i giną — dlaczegóż miałabym się ich wyrzec i przedwcześnie je zabijać?...

Taki był bilans spraw mego serca, gdy po kilku wieczornych zabawach miał nastąpić nasz wielki wieczór. Przygotowania do niego były w wielkim stylu.

Ojciec pisał po całych dniach listy z zamówieniami z zagranicy. Szampan miał nadejść wprost z Epernay, inne francuzkie wina z miejsc rodzinnych. Stary węgrzyn z Tokaju, a hiszpańskie z Hiszpanii. Delikatesów miały dostarczyć Nizza, Algierya, Paryż i Hamburg. Zamówiono kucharzy, pasztetników i cukierników, a wykwintniejsze potrawy kazano sporządzić za granicą.

Wcześnie rozesłano zaproszenia, aby nikt nie mógł wytłómaczyć się inném zobowiązaniem.

W całém mieście mówiono o tych przygotowa-

niach. Liczono gości i wymieniano dostojne osoby które były zaproszone.

W końcu zgodzono się powszechnie na to, że to będzie wieczór zaręczynowy. Książę Jarosław i ja mieliśmy tam figurować jako para narzeczonych. Opisywano nawet pierścionki i brylanty, któreśmy mieli z sobą zamienić. Wymieniano nawet osoby, które miały wznosić toasty na cześć naszą.

Gdy w magazynie o nowéj sukni na ten wieczór mówiłam, zadecydowała modniarka, że to ma być biała suknia białemi kwiatami ubrana i tylko gdzieniegdzie podwleczona blado-niebieskim atłasem. Taka suknia, według zdania modniarki stosowna jest— dla narzeczonéj. Uśmiech modniarki nie pozwalał nawet wątpić o prawdziwości jéj słów.

To samo prawie powtarzało się u jubilera i w innych sklepach. Wszędzie okazywano mi towary stosowne dla narzeczonych.

Znajomi nasi nie zadawali sobie nawet pracy, aby z pewną dyskrecyą mówić o naszym wieczorku. Sama księżna Adela nie robiła już żadnéj tajemnicy z tego i pozwalała mniemać, że rzecz cała już ukartowana. Zwierzyła się nawet pannie Zenobii i ojcu, że w wigilię tego wieczorku przyjdzie do nas z księciem Jarosławem na herbatkę w kółku familijném, w którém młody książę o mnie się oświadczy, a co na drugi dzień oficyalnie na wieczorze powtórzy.

Kilka dni miałam jeszcze przed sobą.

XXXI.

Niby wstępem do naszego balu miał być wieczorek kostiumowy u pani Izy. Sama go tak nazwała. Miały być także i maski, z czego mocno się cieszyłam. Było to dla mnie no wością, bo nigdy nie widziałam maskarady.

Gdy była mowa o kostyumie, w jakim miałam wystąpić, zadecydowała pani Zenobia, że najlepiéj mi będzie w przebraniu za kwiat jaki, za ptaka lub motyla. Bez żadnéj pretensyi wybrałam — srokę.

Wybornie wywiązała się modniarka z zadania. Czarne nakrycie głowy z otworzonym dziobkiem, przedłużone lśniącemi piórami na szyi, łudząco przedstawiało głowę sroki, a czarne, atłasowe, spuszczono na ramiona rękawy udawały skrzydła. Przód ułożony z białych koronek, wyglądał jak biała pierś ptaka. Było mi w tém przebraniu bardzo do twarzy. Gdym się po raz pierwszy w źwierciedle ujrzała, zaśmiałam się sama z siebie, tak pocieszna i filuterna była ze mnie sroczka. W takiém przebraniu mogłam szczebiotać bezkarnie godzinami, mogłam szczypać i kąsać, ile mi się podobało. Na każdy wypadek zawiesiłam sobie na pasku czarną maseczkę, gdybym jéj potrzebować miała.

Około godziny dziesiątéj byłam już na placu boju.

Przecudny był to widok. W salonie, ubranym w kwiaty i egzotyczne rośliny, roiło się od różnych narodów, od wodnych i leśnych nimf i rusałek, od różnych kwiatów i motyli! Hiszpanie, Czerkiesi, Włosi i Mazury rozmawiali zgodnie ze sobą. Był stary hofrat z peruką, Litwin w niedźwiedziéj skórze, była urocza Rusinka w haftowanéj na rękawach białéj koszuli. Między innymi wyróżniał się młody Egipcyanin w białéj kapłańskiéj szacie. Wyglądał jak Cherubin, który z nieba zstąpił na ziemię.

Gdym weszła, otoczono mię szerokim wieńcem. Okrzykiem powitano sroczkę i każdy chciał, aby do niego zaszczebiotała. Miałam maskę na twarzy i zdawało mi się, że mię nie poznano.

Zaczęłam coś do Hiszpana szczebiotać, ale przerwała mi Rusinka z wyszywanemi rękawami i pociągnęła za sobą.

— Anetko — rzekła do mnie we framudze okna — chcę, abyś się dzisiaj dobrze bawiła. Jeżeli się ma narzeczonego, albo tak jakby narzeczonego, to zabawa w towarzystwie nie idzie w ład. Potrzeba przy nim siedzieć i słuchać, jak wzdycha. Na takie delicye dość będzie czasu po ślubie i na wsi, gdy deszcz pada. Dzisiaj postaram się o to, abyś się dobrze i swobodnie bawiła. Księcia Jarosława odciągnę na jakiś czas od ciebie, czy to sama, czy inuym każę go zabawiać. Przy tobie zostawię wolne miejsce dla tych, których sama wybie-

rzesz, a przedewszystkiém dla egipskiego kapłana, który tam z pod pieca patrzy na ciebie, a który w tobie szalenie jest rozkochany!

— Był u mnie i śpiewał mi — *Ave Maria!*

— Wiem, wiem — odpowiedziała Sylwia — ale za to przyszedłszy do domu, próbował przy fortepianie do północy: „*Si vous n'avez rien à me dire!*"

Uderzyła mię po ramieniu i przepadła w tłumie.

Zbliżył się do mnie Czerkies z kindżałem za pasem.

— Cóż ptaku szczebiotliwy — ozwał się półgłosem — jaką nowinę nam przynosisz? Czyś była na Ukrainie, czy na Litwie, czy przyleciałaś z Tatr wysokich na nasze doliny?

— Wszędzie byłam, wszędzie źle mówią o tobie. Nazywają cię Rzymianinem kunktatorem, chociaż z urodzenia jesteś Grekiem, a z fantazyi Czerkiesem. Przez lat dwadzieścia zdobywasz Troję i jeszcze jéj nie zdobyłeś!

— Chcę, aby na ciebie spadł ten zaszczyt, abyś mi sama jako zwyciężona włożyła na skroń wawrzyn zwycięski!

— Wiele jeszcze wody w Wiśle upłynie...

— Zanim zostaniesz narzeczoną!

— Czy twoją?

— Tego, o którym dzisiaj marzysz!... Patrz!

I wskazał ręką na Litwina w niedźwiedziéj skó-

rze, który w téj chwili Rusince z wyszywanemi rękawami do ucha coś szeptał.

Rozśmiałam się serdecznie.

Powolnym odmierzonym krokiem zbliżał się do mnie kapłan egipski. Śnieżna jego szata spływała w poważnych fałdach uwydatniając drobną, wysmukłą postać.

— Pozdrowienie ci ptaku dobréj nowiny! — ozwał się do mnie — kraina Faraonów i Kleopatry pozdrawia cię!

— Jestem niegodną takiego zaszczytu, aby kraina mądrości starożytnéj przez usta swego kapłana przemawiała do mnie. Jestem pospolitą sroczką, umiem tylko szczebiotać!

— Szczebiot twój może rozwalić piramidy, skruszyć posągi Sfinxów i iglicę Kleopatry... a cóż dopiéro może stać się z człowiekiem, choćby był nawet kapłanem egipskim!

— Chciałabym, aby był tylko — człowiekiem!

— U nóg twoich mógłbym z rozkoszą złożyć całą moją mądrość egipską!

— Nim to nastąpi może usiądziemy...

Cofnęłam do framugi okna dwa krzesła, na jednem usiadłam. Egipcyanin wahał się przez chwilę, wreszcie usiadł. Byliśmy jakby w loży przesłoniętéj firankami.

— Chciałeś, mędrcze nadnilowy, u nóg moich

złożyć mądrość egipską, a wahałeś się usiąść przy mnie.

— Są rzeczy — odparł cichym głosem — które tylko w całości łatwe są do wykonania, a sprawiają boleść, gdy je dzielimy na części... Szczęściem jest tylko *całe* szczęście, a cząstka jego staje się dla nas często nieszczęściem.

— Jak to rozumiesz?

— Do nóg twoich rzuciłbym wszystko, abym był twoim, a tyś moją!... Ale siedzieć tylko chwilę przy tobie, chwilę tylko zapomnieć o sobie i o świecie, a potém odejść, jak odchodzi tułacz z rodzinych stron na wieczne wygnanie... to jest nieszczęście!

— Więc jesteś teraz nieszczęśliwy?

Egipcyanin odetchnął ciężko.

— Jesteś okrutną, choć nosisz znamiona ptaka dobréj wieści!

— Egipcyanie znali się na chiromancyi. Czy umiesz czytać?

Zdjęłam czarną rękawiczę i podałam mu dłoń.

Ujął moją rękę i począł się w nią wpatrywać. Gorąco biło od jego czoła, oddech parzył mi palce. Czułam, że moja ręka drżała w jego dłoni i czułam dreszcz w całém ciele.

— W téj dłoni — rzekł stłumionym głosem — czytam przeszłość, obecność i przyszłość.

— Znam przeszłość, przyszłości znać nie chcę; powiedz mi chiromanto, coś z obecności?

— Obecność ma dla ciebie dwie twarze. Jedna szczera, patrząca na ciebie z pragnieniem szczęścia, druga osłoniona maską przyjaźni, jest zdradliwa i czyha na twoje szczęście.

— Straszny horoskop!

— Tém goręcéj przemawia przyjaźń do ciebie!

W téj chwili zbliżyła się do nas żółta róża. Po kształtnéj główce, pochylonéj na prawe ramię, poznałam Idalię. Strój jéj wyobrażał różę. Od jasnych włosów spadały, jak listki żółtéj róży, wykrojone strzępki żółtego jedwabiu, podtrzymane w pasie zielonemi liśćmi.

— Witaj Theo! — rzekłam do niéj — oto Egipcyanin, spragniony woni twojéj herbacianéj, chce, abyś w cieniu tych palm usiadła.

Thea pochyliła się wdzięcznie, a ja wyszłam na środek salonu.

Przypadł do mnie Litwin w niedźwiedziéj skórze.

— Jakby Scylla i Charybda — rzekł do mnie — ale przecież wypłynąłem! Ptaku, ptaku czarniutki, każ mi skoczyć przez okno, a skoczę, każ mi się utopić, a rzucę się w głąb wody...

Tu spojrzał na posadzkę — wody nie było. Roześmiałam się.

— Mówisz w gorączce — rzekłam do niego — czy cię ten niedźwiedź tak grzeje?

— Ten niedźwiedź grzeje mię, ale oczy twoje rozpalają mnie na czerwono.

— Oczy moje?

— To jakby oczy sędziego — płonę przed niemi ze wstydu!

— Czegóż się wstydzisz?

— Że tak długo znaleźć cię nie mogłem!

— Czy ci to przykrość sprawiało?

— Oh, jaką!

— Przecież zabawiałeś się tymczasem.

— Z Charybdą.

— Czy tak się nazywa?

— Tak.

Zbliżył się Czerkies z kindżałem.

— Nie wierz, ptaku, niedźwiedziowéj skórze — zagadnął.

— Nie ufaj góralu, twemu nożowi — odparł Litwin — bo moja maczuga zręczniejsza.

I wstrząsnął potężną maczugą.

Weszła pomiędzy nas Królowa Nocy. Po błyszczącym na czole dyademie poznałam panią Izę.

— W imię królewskiéj władzy mojéj — rzekła do obu zapaśników — rozkazuję wam, abyście rozeszli się w pokoju!

— Posłuch dla królowéj i gospodyni — odpowiedział Czerkies z niskim ukłonem, przykładając rękę do piersi.

— I ja słucham rozkazu, czarna królowo! — rzekł Litwin w niedźwiedziéj skórze i szybko odszedł ku drzwiom przyległego pokoju, gdzie na niego cze-

kała Rusinka w wyszywanéj koszuli, bawiąc się białym rańtuchem.

— Cóż, ptaku dobréj wieści? — zagadnął Czerkies, patrząc za odchodzącym — czy ci nie żal niedźwiedzia, puszczonego w dzierżawę na czas nieograniczony? Czy nieśmiały kapłan egipski potrafi z tego czasu skorzystać? Gra jest dobrze założona, ale czy skutek odpowie założeniu? Któż cię ptaku szczebiotliwy, nauczył takiéj gry, czy zacne przyjaciółki twoje, czy książki francuzkie?

— Jesteś rubaszny, bohaterze bez Troi! Wnijdź lepiéj do wnętrzności owego konia z pod Troi, bo tam będzie właściwe dla ciebie miejsce.

— Nie lubisz prawdy, naiwna sroczko? Czy myślisz, że twojéj gry nikt nie widzi, że odstąpiłaś niedźwiedzia innéj, aby tymczasem od Egipcyanina wyuczyć się mądrości egipskiéj?

— Bądź spokojny i nie troszcz się o mnie; troszcz się lepiéj o to, komu jutro służyć będziesz, czyim zostaniesz najmitą.

— Wiesz dobrze, że tylko tobie służyć chcę, a tylko troska o ciebie tak mówić mi każe. Przyjdzie czas, że tylko ja jeden przy tobie zostanę.

— Czy wszystkich pozabijasz?

— Ludzie zabijają się sami.

— Nie przeszkadzaj więc im, jeżeli tak sobie ułożyli.

Wszedł między nas gruby Hiszpan w aksami-

tnym płaszczyku. Miał szeroki koronkowy kołnierz i koronkowe mankiety. Na złotéj rękojeści szpady opierał rękę, na palcach któréj błyszczały drogie sygnety.

— Ptaku rozkoszny! — zawołał astmatycznym głosem — wszystkim ludziom przynosisz dobre wieści, a dla mnie byłeś tak okrutny! Żółtą moją różyczkę oddałeś Egipcyaninowi, który z wielkiéj mądrości swojéj nie wie, co z nią zrobić. Patrz, jak tam pod oknem w milczeniu siedzą, a on za tobą oczyma wodzi; czy nie uwolnisz go z téj postawy sfinksowéj? Pójdź, oddaj mi Theę, a weź sobie mądrość egipską.

I pociągnął mnie ku framudze okna. Szedł drobnym krokiem, bo przyśpieszony oddech astmatyczny nie pozwalał mu na pośpiech.

Pod oknem siedziała Thea zamyślona. Egipcyanin milczał, jak przystało na kapłana tego kraju.

— Theo, oto Hiszpan twój pragnie mówić z tobą.

— Mój Hiszpan?

— Czy to... willa pod Genuą?

— Tak.

I wolnym ruchem wstała, podając rękę grubemu Hiszpanowi.

— Czy wiesz, kto był przy tobie? — zapytałam Egicyanina.

— Wiem — odpowiedział słabym głosem, jakby go siły opuszczały.

— Kto?

— Ty!

— Ale teraz, przed chwilą?

— Teraz i zawsze tylko ty!

— Egipcyanie lubili naukę, ale nie marzyli.

— Przecież wolno im było kochać!

— Czy ty kochasz?

Egipcyanin powstał szybko i wziął mnie pod rękę.

Wyszliśmy na salon, przeszliśmy przez kilka pokoi i zatrzymaliśmy się w ostatnim, w którym niewiele było masek. Była tylko biała Psyche, rozmawiająca z Mefistofelem, a w pośrodku przechadzał się okazały Motyl, jakby czekał na Psychę.

Stanęliśmy przy dużém żwierciedle.

— Pozwól mi, rozkoszny ptaku, twoich rączek— rzekł zcicha Egipcyanin — bo chcę jeszcze widzieć twoją przyszłość.

Podałam mu rękę.

— Jak widzę — rzekłam z uśmiechem — masz słabość do chiromancyi.

Egipcyanin nic nie odpowiedział, tylko pochylił się nad ręką.

Czoło jego zaczęło się rumienić, gorący prąd buchał od niego na moją rękę, udzielał się pulsom moim, które zaczęły bić szybko. Teraz uczułam na dłoni palące usta, które wpijały się w moje ciało, jak dwa węgle żarzące.

W pokoju było straszne gorąco. Uczułam zawrót głowy, spojrzałam dokoła, nie było już Psychy, ani Mefistofelesa z Motylem.

Czułam usuwającą się z pod moich nóg posadzkę, zdawało mi się, że wpadam w jakąś przepaść bezdenną.

W téj chwili zbudził mię znany dobrze głos Czerkiesa.

— Wody, wody! — wołał głosem donośnym.

Przy nim roiły się różne maski, biegające tam i napowrót, jakby szukały wody.

Stałam przy Egipcyaninie, z opartą o jego ramię głową, a on podtrzymywał mnie, abym nie upadła.

Powoli odprowadził mnie do małéj kanapki. Usiadłam, patrząc przed siebie, jakby odurzona.

Przypadła do mnie Rusinka w koszuli haftowanéj, a za nią Litwin w niedźwiedziéj skórze, trzymając szklankę z wodą.

— To nic — odpowiedział Czerkies z kindżałem—mądrość egipska odurzyła szczebiotliwą sroczkę, ale niedźwiedź od Białego morza przywiedzie ją do zmysłów, jeżeli Charybda pozwoli.

Rusinka w haftowanéj koszuli uderzyła Czerkiesa po ramieniu.

— Strzeż się zemsty kobiety! — zawołała grożąc palcem.

— *Cinna, nous sommes amis!* — odrzekł Czerkies, podkręcając wąsa.

Tymczasem weszła do pokoju pani Zenobia, zaniepokojona o mnie. Czułam się niedobrze.

Gorąco w salonie rozgrzało mi głowę, do czego w znacznéj części przyczyniła się maska na twarzy. Czułam ból w głowie i w piersiach.

Po krótkim spoczynku odjechałyśmy z panią Zenobią do domu.

Ojciec, który grał w wista, pozostał.

XXXII.

Wszedłszy do buduaru, odprawiłam służącą, bo chciałam pozostać sama. Zrzuciłam z głowy czarny zawój, który głowę sroki naśladował i usiadłam na szezlongu. Przed oczyma roiły się jeszcze maski, widziane na zabawie.

Słyszałam ich głosy, widziałam ruchy, jakiemi uzupełniano rozmowy. Widziałam astmatycznego Hiszpana, jak się wpatrywał w biedną Idalię, a po za nimi widziałam pyszną zatokę Genui, w któréj modrych falach odbijała się urocza willa na stoku góry, wśród gaju pomarańczowego położona. Ale ta willa, to było więzienie dożywotne biednéj rozwódki, czy seperatki.

Czy koniecznie ta willa ma być więzieniem? Czyż nie może być przybytkiem prawdziwéj rozkoszy, któraby z wyboru serca wynagradzała jéj okrutne

zrządzenie losu, wkładającego na nią okowy niedobranego małżeństwa? Smutne wynagrodzenie. Biedna Idalia!

Daléj widziałam Rusinkę w haftowanéj koszuli, z białym rańtuchem na ramionach. Z twarzą zarumienioną, z ustami wyrzuconemi po murzyńsku, była podobną do bachantki. Prawiła coś ustawicznie do ucha księcia Jarosława, który, słuchając jéj szeptów, oglądał się po za siebie, czy mnie ujrzy.

Tak jest, on mnie szukał, za mną się oglądał. Czy szukał mię dlatego, aby być ze mną? Czy chciał wiedzieć, z kim ja rozmawiam? Byłażby to zazdrość? I owszem, mężczyźni potrzebują czasem podrażnienia, aby się o skarb swój zaniepokoić. Zostawieni w spokoju, stają się wygodni, a nawet często obojętni.

Woda nieporuszana psuje się.

Przy téj myśli stanął mi przed oczyma biały Egipcyanin. Widziałam jego płonące oczy, czoło jak bronz rozpalone, uczułam na mojéj dłoni, z któréj miał mi wróżyć, usta jego, jak dwa węgle żarzące... Słyszałam słowa jego urywane, niezrozumiałe...

Na to wspomnienie duszno zrobiło mi się w piersiach, gorąca krew przebiegła po twarzy.

Było to wzruszenie nader przyjemne, a w wyobraźni mojéj zaświeciły się jakieś jasne, rozkoszne obrazy. Egipcyanin stał przedemną, zatapiał spoj-

rzenia w moje oczy, a ja, oparta o poręcz szezlongu byłam wobec niego bezbronną, zupełnie bezbronną.

Upojona tém widzeniem, siedziałam dosyć długo nieporuszona. Zdawało mi się, że mogę patrzéć na niego do rana, mogę patrzéć na niego tak długo, póki on na mnie patrzy.

A kapłan egipski patrzał ciągle, patrzał coraz namiętniéj, wreszcie coś mną wstrząsnęło, coś mię podrzuciło do góry.

Wstałam na równe nogi i przebiegłam po pokoju, jakbym od czegoś uciekała. Uciekałam w saméj rzeczy od niego, bo zjawił się nie w porę.

Zastąpił mi drogę Jerzy, z bladą, zmęczoną twarzą, ale i od niego uciekłam... Książę Jarosław pojutrze ma już być moim narzeczonym... Dlaczegoż zjawił się Jerzy? Po cóż przyszedł Egipcyanin? Po cóż otwiera dziewicze serce swoje, które ma tyle ponęty? Czyż to nie rozkosz dla kobiety, gdy widzi, że każde jéj słowo, każde spojrzenie, niedosłyszany prawie akcent gra na nerwach mężczyzny, jak na klawiszach melodykonu.

Nie, to za późno! Z takiém wspomnieniem potrzeba się rozstać, potrzeba mu dać zginąć, jak giną efemerydy.

Ale po cóż było te efemerydy do życia powoływać, pozwolić im się rodzić na to, aby potém patrzéć na ich męki przedśmiertne, a nawet z niemi boléć? A gdyby one zginąć nie chciały?...

Któż je do życia powołał? Przecież nie ja! Jakaż wina ciąży na mnie? Drobne te niepokoje ustaną pojutrze, które nowy rozdział w mém życiu zaznaczy.

Po cóż znowu zjawił się Jerzy przedemną ze swoją bladą zmęczoną twarzą? Czegoż chce odemnie? Wszak mnie nie kochał? Dlaczego ten Egipcyanin? Przecież on powinien już zaginąć, jak giną efemerydy... Czy to godziwe są takie efemerydy, o których tyle ładnych rzeczy mówiła Iza, a za któremi przepada Sylwia?... Nie, nie... to wstrętne muchy! Precz, precz!

Uspokoiwszy się nieco, przeszłam się kilka razy po pokoju.

Na ulicy od czasu do czasu toczyła się spóźniona kareta, która gości z zabawy kostiumowéj wiozła do domu.

Wreszcie wszystko ucichło, głucha cisza zaległa ulicę. Widocznie zabawa już się skończyła. Spojrzałam na zegarek. Było po drugiéj.

Chciałam udać się na spoczynek, ale Jerzy zjawił się znowu przedemną, a biały Egipcyanin zastąpił mu drogę. Patrzał na mnie tak dziwnie, że mnie znów zaniepokoił. Rzekłam znów do siebie: precz, precz! Przywołałam księcia Jarosława, aby mnie od wszelkich innych pokus obronił.

Zaczęłam odpinać perły z szyi, gdy nagle dał się słyszéć turkot oddalonego powozu. Turkot ten sprawił na mnie szczególne wrażenie. Rósł i ustawał,

jak gdyby się wracał i znowu ozwał się głośniéj, jakby już był niedaleko.

Przestałam się rozbierać, tylko perły włożyłam do kasetki.

Powóz zatrzymał się przed bramą.

Usłyszałam dzwonek w przedpokoju. Szarpnęła go ręka niespokojna. Nie był to ojciec, który jeszcze do domu nie wrócił. Kazał późniéj karecie przyjechać po siebie, aby księżnę Adelę odwieźć do domu.

Któżby to mógł być o téj porze?

Zdjęła mnie trwoga niewysłowiona. Niedobre sumienie odezwało się we mnie.

Cóżby to mogło być?

Słyszałam otwierające się drzwi, słyszałam kroki szybkie, niespokojne, zmierzające do mego buduaru.

Wpadła pani Iza.

Prawie równocześnie z nią, innemi drzwiami, weszła pani Zenobia w nocnym płaszczyku, ze świecą w ręku.

XXXIII.

Pani Iza była zarumieniona, oczy jéj biegały niespokojnie. Miała jeszcze na sobie czarną suknię, naszywaną gwiazdami, jako królowa nocy, tylko na

głowie nie było gwiaździstéj korony i księżyca z brylantów. Zastąpiła je chustka koronkowa.

Usiadła na sofie, oddychając głęboko. Ja i pani Zenobia stanęłyśmy przed nią wystraszone.

— Cóż się stało? — zapytałyśmy naraz.

— Jeszcze nic się nie stało, — odpowiedziała — ale nie potrzeba czasu tracić! Każda minuta jest droga, bo rozstrzyga o życiu człowieka!

— Czy pojedynek? — krzyknęła pani Zenobia.

— Tak! O brzasku dnia rozstrzygnie się.

Nie miałam odwagi zapytać się, kto, z kim, bo w głębi sumienia czułam się w téj chwili winna.

— Wyręczyła mnie pani Zenobia.

— Kto z kim będzie się pojedynkował? — zapytała wystraszona.

— Achil z panem Jarosławem.

Pani Zenobia usiadła bezwładnie na fotelu.

— O cóż im chodzi? — zapytałam jak automat?

— O ciebie! — odpowiedziała, jakby z wyrzutem, pani Iza.

Nastąpiło długie milczenie. Pani Zenobia łamała ręce, aż palce trzeszczały, a pani Iza patrzała na mnie złowrogo, jakby na przyczynę wszystkiego złego.

— Cóż ja zawiniłam? — zapytałam prawie z pokorą.

— Bawiłaś się nieoględnie z Egipcyaninem, to dało powód do niektórych uwag, z czego przyszło do przymówek między Achilem a panem Jarosławem. Achil wyzwał pana Jarosława.

— Okropnie! morderstwo! — krzyknęła pani Zenobia.

— Właśnie w téj chwili naradzają się sekundanci Achila u niego. Warunki pojedynku mają być bardzo ostre.

— Okropne rzeczy! — wołała pani Zenobia, zakrywając oczy — widzę kałuże krwi! widzę trupów, leżących na ziemi!...

— Co gorsza, że to będzie skandal!

— Skandal! zabójstwo!

— Skandal, który się do ciebie przyczepi, Anetko.

— Do mnie? — zapytałam, jakbym się czuła zupełnie niewinną.

— Wierzaj mi, Anetko, że tu głównie o ciebie chodzi. Kobieta, która daje powód do pojedynku, jest źle w świecie zapisaną. Potępią ją, żywcem pogrzebią i mogiłą przysypią.

— Straszne rzeczy! Śmierć, cmentarze i mogiły! — wołała pani Zenobia.

Nastąpiła długa pauza.

Słychać było trzy serca głośno bijące. Z ulicy zalatywało grzebanie niespokojnych koni.

— Cóż ja na to poradzę? — zapytałam.

— Tylko ty jedna możesz temu poradzić — odpowiedziała Iza.

— Czy jest na to sposób?

— Jest, ale potrzeba go użyć natychmiast.

— Jaki sposób? — zapytałam z obawą, bo serce moje ścisnęło się.

— Pojechać ze mną natychmiast do Achila.

— Do Achila?

— I wymódz na nim odwołanie wyzwania.

Zakryłam twarz rękami, bo jakieść dziwne potwory stanęły przedemną. Na ulicy dał się znowu słyszéć turkot. Za chwilę wszedł do pokoju ojciec.

Zdziwił się, gdy nas razem ujrzał. Pani Zenobia, naprzemian z panią Izą, opowiedziały, co zaszło.

Wielkie wrażenie sprawiło to na ojcu. Zaczął się niespokojnie przechadzać po pokoju, jakby szukał wyjścia z tego położenia. Groziło ono pomieszaniem szyków co do oczekiwanych w najbliższych dniach wydarzeń.

— Jest tylko jedno wyjście, — ozwała się do mnie pani Iza — musisz pojechać do Achila.

— Ja? Nigdy, nigdy! Jakżeby to wyglądało?

— Ja pojadę z tobą.

— To być nie może!

— A jednak być musi, jeśli chcesz katastrofę zażegnać i siebie ocalić. Wybieraj z dwojga złego, które mniejsze.

Zasłoniłam twarz rękami i zaczęłam płakać. Czułam się w téj chwili winną, bardzo winną.

Ojciec chodził po pokoju w milczeniu. Na jego czole pęczniały żyły, jakby mu głowa pęknąć miała. Wreszcie zatrzymał się przed nami.

— Źle, bardzo źle się stało! — ozwał się — potrzeba zważyć szanse. Jeżeli pojedynek odbędzie się w warunkach ostrych, to jeden może zginąć, albo być ciężko rannym. Może paść pan Achil, a wtedy książę Jarosław musi uciekać, albo się poddać karze więzienia. Drugie przypuszczenie jeszcze gorsze. Potrzeba więc koniecznie pojedynkowi przeszkodzić.

— Ja nie mogę się w to wdawać! — zawołałam wśród łez.

— Innego sposobu nie ma — odparła pani Iza.

— Wybieraj, Anetko, co chcesz... tu rozgrywa się twoja przyszłość!

Pani Zenobia siedziała dotąd blada i zamyślona. Nagle ożywiła się, a podniósłszy chudą rękę do góry, zawołała, jak gdyby przebudzona:

— Coś wam powiem. Czytałam to w angielskim romansie, w którym taki sam miał się odbyć pojedynek. Bohaterka, która kochała się w jednym z adwersarzy, pobiegła do wyzywającego i pojedynek udaremniła. Ocalony tak się tém bohaterstwem rozczulił, że tego samego dnia bohaterce się oświadczył, a za trzy tygodnie z nią się ożenił. Było to małżeństwo bardzo szczęśliwe.

— Nie da się zaprzeczyć, — rzekł ojciec — że podobne zdarzenia wpływają korzystnie na serca ludzkie.

— Ty, Anetko, — wtrąciła pani Zenobia — jesteś dosyć romantyczną. Czyż cię to nie zachęca do

kroku, za który potém mężczyzna sowicie płaci? Nieraz odzywałaś się z tém, że pragniesz żywszych wzruszeń, że chcesz, aby mężczyzna z takiém samém wzruszeniem na ciebie patrzał. Masz teraz dobrą sposobność wywołania tego wzruszenia. Książę Jarosław kocha cię, ale może nie umié tego dobrze okazać. Obaczysz, jakim będzie, gdy się dowie, coś dla niego uczyniła. Będzie szalał za tobą.

— Tacy są mężczyźni, — ozwała się z uśmiechem pani Iza — potrzeba coś dla nich niezwykłego zrobić, coś zaryzykować, a wtedy plackiem padają przed kobietą, która umiała się wznieść do roli bohaterki.

— A nawet i na ciebie—dodała pani Zenobia — może to wpłynąć korzystnie. Jeżeli kobieta dla mężczyzny coś zrobi, dla niego się poświęci, to tém samém więcéj się doń przywiązuje.

Słowa te wyrwały mnie z zadumy. Było w nich wiele prawdy. Wzięła mię ochota do roli romantycznéj i spodziewałam się z tego skutków jak najlepszych. Dlaczegoż nie mogę być taką bohaterką, jak w romansie angielskim?

Poświęcenie się moje dla człowieka, który dotąd konwencyonalnie starał się o mnie, mogło z niego uczynić takiego samego bohatera, o jakim czytała pani Zenobia... Widziałam go już klęczącego u stóp moich, a na ręce czułam jego gorące usta, takie sa-

me, jakie miał Egipcyanin, wróżąc mi przyszłość moją.

Zerwałam się na równe nogi, zarzuciłam na głowę czarny kapiszon, a na ramiona futrem podbitą rotundę.

— Jedźmy! — zawołałam, stając przed panią Izą.

Iza szybko powstała.

Ojciec pocałował mię w głowę, a pani Zenobia nakreśliła wielki krzyż w powietrzu, oddając mię tym sposobem pod opiekę Boga. Za chwilę siedziałyśmy obie w karecie.

XXXIV.

Droga nie była daleka, ale dla mnie wydawała się bardzo długą. Było już po trzeciéj, na ulicach panował spokój głęboki. Nie zakłócała go żadna dorożka, żaden spóźniony przechodzień nie zamącał go. Latarnie były po części zgaszone, świeciły się tylko na zakrętach ulic. Złowrogo wydłużały się od tych latarni cienie dachów i kominów, tworząc na ulicy głębokie, nieprzebyte przepaści.

Zdawało mi się nieraz, że zapadam się w taką przepaść i że już wkrótce żyć przestanę. W piersiach moich zapierał się oddech, jak gdybym miała gardło podwiązane. Serce ściskało się, jakby za chwilę miało przestać bić.

Przepaści rzeczywistéj nie było na ulicach; zkądże ta obawa? Może była rzeczywiście przepaść przedemną, którą odczuwałam, nie widząc jéj? Może właśnie teraz spuszczam się do téj przepaści?

Pani Iza milczała. Od czasu do czasu wyglądała przez okno, aby wiedzieć, gdzie jesteśmy.

Wreszcie wyjrzałam i ja. Tam na końcu ulicy jaśniały trzy okna piérwszego piętra. To mieszkanie pana Achila. Tam właśnie rozstrzygają się losy życia i śmierci! Uczułam zawrót głowy.

Kareta zatrzymała się. Przed bramą paliła się latarnia. W świetle téj latarni ujrzałam kilku mężczyzn, którzy stali, jakby czekając na otwarcie bramy.

Wysiadłyśmy z karety. Iza zadzwoniła. Mężczyźni rozstąpili się z uszanowaniem, dając nam piérwszeństwo. Przypatrywali się nam i półgłosem coś mówili do siebie.

Stróż otworzył bramę i także ciekawie nam się przypatrywał. Osobliwie suknia pani Izy, naszyta gwiazdami, wydała mu się ciekawą. Miał nas za maski, wracające z maskarady. Mruczał coś pod nosem, ale dobry datek pani Izy uspokoił go. Świecił nam nawet na schody i z pewnym uśmiechem zatrzymał się przed mieszkaniem pana Achila. Byłam blizka omdlenia.

Służący otworzył nam drzwi. Nie zrzucałam rotundy, tylko w całém ubraniu weszłam za panią Izą do eleganckiego saloniku.

W saloniku siedział pan Achil jeszcze po czerkiesku ubrany. Palił fajkę na długim cybuchu, a w ręku trzymał kieliszek z szampanem.

Przy nim siedziało trzech mężczyzn, z których tylko jeden był mi znany z towarzystwa.

Na stole leżały resztki przekąsek, a na posadzce, koło stołu, stała spora liczba flaszek.

Pan Achil zerwał się z krzesła, jakby naszém przybyciem zdziwiony.

Takie samo wrażenie odbiło się na twarzy jego towarzyszy.

Pani Iza zaśmiała się wesoło, chcąc mi otuchy dodać.

— W samą porę — ozwała się — wśród knowań złych duchów zjawiają się dwa anioły, jako wysłanniki pokoju!

— Cześć im — zawołano chórem — cześć aniołom pokoju!

— Na ich cześć — ozwał się pan Achil — wychylimy wraz z nimi pełne kieliszki.

W głowie mi zaszumiało, a potém zdawało mi się, że słyszę oddalone dzwony. Tymczasem nalano kieliszki i przystawiono dla nas fotele do stołu.

— Wprzód nim usta moje dotkną się téj czary pokoju — zawołała pani Iza — niech mi będzie wolno zapytać, czy posłannictwo nasze będzie uwieńczone dobrym skutkiem i czy będziemy mogły ludziom dobréj woli zwiastować pokój na ziemi?

— Za pokój płaci się kontrybucya!—zawołał jeden z towarzyszy.

— Koszta wojenne i przymierze wieczystéj przyjaźni—dorzucił drugi.

— To będzie zadaniem kongresu—uzupełnił pan Achil.

Wśród śmiechu i wrzawy uderzono w kieliszki.

Byłam prawie nieprzytomną. Gorąco, dym z tytoniu i wyjątkowa moja sytuacya, pozbawiały mnie prawie zmysłów. Chciałam kilka razy powstać i uciec z téj atmosfery, ale myśl, że się dla kogoś poświęcam, powstrzymała mnie.

Myślałam o bohaterce angielskiego romansu, a sytuacya moja w téj chwili była rzeczywiście romantyczną. Jednakże wesołość pani Izy dodała mi odwagi i pokrzepiła siły, które mię już opuszczały.

— Na cześć aniołów pokoju!—zawołał pan Achil.

— Na cześć aniołów! — powtórzyła wesoła drużyna.

Trącano w kieliszki.

— Zgadzam się na ten toast — zawołała pani Iza—ale pod warunkiem, że pokój jest zawarty!

— Któżby się mógł oprzéć aniołom —odparł pan Achil—pokój zawarty! Przystąpmy do dzieł pokoju!

— Zawieszenie broni i zaprzestanie kroków nieprzyjacielskich na całéj linii—dodała pani Iza.

— Przymierze przyjaźni zaczepne i odporne! — wołała wesoła drużyna.

Wychylono kieliszki. Zamrożony szampan uderzył mi do głowy. Pani Iza była wesoła i dowcipna. To podtrzymywało moją przytomność.

Przyczyniała się do tego myśl, że poświęcam się dla kogoś, który za to wieczną wdzięczność przechowa dla mnie, że spełniam czyn taki, jaki spełniała bohaterka w angielskim romansie!

Widząc, że poświęcenie moje już się spełniło, chciałam odejść, ale pani Iza tak była szampanem i dobrym skutkiem swego planu rozochocona, że o tém słyszéć nie chciała.

Siedziałyśmy jeszcze czas jaki, wychyliłyśmy jeszcze po jednym kieliszku — wreszcie powstałyśmy do odwrotu. Na nieszczęście, lokaj gdzieś się zapodział, to znów stróż twardo zasnął.

Minęło dosyć czasu, zanim dostałyśmy się do bramy. Stróż otworzył nam z tym samym dziwnym uśmiechem, a na ulicy spotkałyśmy znów czekających na otworzenie bramy kilku mężczyzn. Ciekawém spojrzeniem odprowadzali nas do karety, a nawet patrzyli za nami, gdy już kareta była zamknięta.

Tym razem podróż wydała mi się krótką. Byłam prawie nieprzytomna.

W domu czekał na nas ojciec.

Pani Zenobia zdrzemnęła się trochę na fotelu.

— Czemuż tak długo?—zapytała zbudzona.

— Wszystko dobrze — odpowiedziała wesoło pani Iza.

— Chwała Bogu!—rzekł ojciec—ale nie potrzeba o tém wiele mówić.

Byłam tak zmęczoną, żem się nie mogła utrzymać na nogach. Nic nie widziałam przed sobą, tylko duże czarne ptaki latały mi przed oczyma. Posadzka chwiała się podemną.

Zdawszy opowiadanie tego, co zaszło, na panią Izę, odeszłam do mego pokoju.

Sama nie wiem jak i kiedy zasnęłam.

XXXV.

Nazajutrz zbudziłam się zmęczona i niespokojna. Czułam dziwny wstręt sama do siebie. Zapewne jakieś sny straszne dręczyły mnie w nocy, bo wszystkie nerwy drgały we mnie, jakby po przestrachu. Miałam pragnienie, którego ugasić nie mogłam ani wodą, ani herbatą.

Przy herbacie pani Zenobia nic nie mówiła o wczorajszéj wycieczce. Moje zmęczenie przypisywała dusznéj atmosferze salonu, w którym odbywała się zabawa kostiumowa. O saméj zabawie nie mówiłyśmy z sobą, jakby nas coś od tego wstrzymywało. Wkrótce odeszła pani Zenobia do swego pokoju, a ja zostałam sama.

Wyjrzałam przez okno, na ulicy nie było nic ciekawego. Ludzie szli tam i napowrót, dorożki jecha-

ły tam i nazad. Tylko niebo dzisiaj niezwykłe. Ciepły wiatr, zwiastun niedalekiéj wiosny, rozpychał chmury, naładowane śniegiem, posyłając je na północ. Chmury opierały się, rumieniły się z gniewu, pęczniały ze złości, ale wiatr rozdzierał je na szmaty i rzucał na krawędź widnokręgu. Po każdém przedarciu wyłaniał się kawał błękitnego nieba, z którego rozsypywały się po czarnych dachach snopy złotych promieni.

Przypatrywałam się temu igrzysku, a widok tego ustawicznego ruchu uspakajał nieco moje nerwy.

Z téj kontemplacyi po-balowéj wyrwały mnie szybkie kroki, zbliżające się do buduaru.

Nie mógł to być kto inny, jak tylko Sylwia. Znałam dobrze ten chód gorączkowy, te ustawiczne potykania się na posadzce i zaczepianie bucikami o przeszkody, które dla innych nie istniały.

Wpadła do buduaru bez tchu, jak zwykle, rozrzuciła na wszystkie strony odrazu swoje ubranie i stanęła nagle przedemną, jak Świtezianka, wyłoniwszy się z błękitnéj fali jeziora.

— Pilno mi było do ciebie—zawołała, ściskając mnie i całując — bo nie wiedziałam, jak z twojém zdrowiem. Przebrzydły ten Egipcyanin! Spodziewałam się innego *tableau!* Widziałam cię wyobraźnią w godności królewskiéj siedzącą, a jego klęczącego u nóg twoich! Tymczasem... Ale to nic. Nikt za siebie nie odpowiada — *tout comprendre, c'est tout*

pardonner! Głupi ludzie, co oni wiedzą! I ty nic nie wiesz! Gdybyś wiedziała!...

Sylwia przyłożyła tutaj rękę moją do swojéj piersi, potém szybko ją odrzuciła.

— Nic nie wiesz — mówiła daléj, jakby w gorączce, która była prawie jéj naturą — nic nie wiesz i wiedzieć nie możesz... później przyjdzie i to! A jakie to zaraz wielkie rzeczy ludzie z tego robią, bo kobiecie nic nie wolno! Spojrzyj na kogo—to grzech! A jeśli tam wewnątrz coś się zapali... jeśli czujesz, że ten ogień pierś ci rozsadza, że nogi pod tobą mdleją, oczy mgłą się zasłaniają, wtedy powiedzą: Przepadła!—i szybko odwracają się od ciebie.

Widocznie potrącały te słowa o moją rozmowę z Egipcyaninem w ostatnim pokoju, na wczorajszym wieczorze.

— Nie zawsze potrzeba szukać przyczyn ukrytych— rzekłam z uśmiechem — gdzie rzeczy prostym sposobem dadzą się wytłómaczyć. Gdy w salonie panuje upał afrykański, mogą nogi wymówić posłuszeństwo, oczy przykryć się mgłą i głowa może się zawrócić... bez żadnych głęboko ukrytych przyczyn... A gdyby jakie efemerydy...

— Nie wytłómaczysz się,—wydadzą wyrok, potępią!...

— Któżby miał prawo?

— Wszystkie jesteśmy po za prawem! Nam nic

nie wolno, nawet nie wolno zemdléć!... Ach! te efemerydy!... Pozabijaj je zaraz, bo potém...

— Mówisz jakbyś coś wiedziała, a nie chciała powiedzieć.

— Przelękłabyś się!... Ale nic — sama się dowiesz... tylko zaklinam cię, nie gniewaj się na mnie, nie rzuć na mnie kamieniem, bo na ciebie także rzucą!

Wybuchnęła płaczem i padła na kolana. Przyłożyła twarz do nóg moich.

— Nie gniewaj się—mówiła z łkaniem—nie przeklinaj nikogo, bo ludzie ciebie także przeklną!

Podniosłam ją z ziemi i przycisnęłam do piersi.

— Zlituj się, co ci jest? Ja ciebie nie rozumiem!

— O zrozumiesz—mówiła, płacząc—gdy będziesz płakała sama nad sobą...

— Cóż ci dolega?

— O, dolega, bardzo dolega!... Ach! te głupie efemerydy!...

— Cóż to jest?

— *C'est plus fort que moi!*

— Biednaś!

Sylwia odgarnęła włosy z czoła, a zasłoniwszy twarz rękoma, stała tak chwil kilka. Potém nagle odsłoniwszy twarz, zaśmiała się głośnym śmiechem. Resztki łez spływały jeszcze po twarzy zarumienionej, policzki były jeszcze ułożone do płaczu, ale usta rozwarły się wesoło, a z nich wybiegła cała kaskada wesołego śmiechu.

Sylwia uchodziła zawsze za pochopną do nagłych przejść z płaczu do śmiechu i odwrotnie; była bardzo nerwową, a nawet nazywaną ją narwaną. Z tego powodu wolno jéj było więcéj, aniżeli innym. Nieraz plotła rzeczy niezrozumiałe, jakby miała halucynacye, jakby w powietrzu coś widziała. Była niecierpliwą, nie mogła dłużéj na jedném miejscu usiedzieć, musiała być zawsze w ruchu. Nazwaliśmy ją: *Fin de siècle.*

Dzisiaj przekroczyła już wszelkie granice. Nie mogłam jéj zrozumieć, chociaż w jéj słowach kryło się dla mnie coś ciekawego. Czyżby moja rozmowa z Egipcyaninem dała ludziom co do mówienia? Czyżby zrozumieli zabawę naszą w chiromancyę — czy z rubasznych słów Czerkiesa zrobionoby jaką plotkę odnośną? Czy Sylwia coś o tém wiedziała? W jakim celu domieszały potém do tego rzeczy dla mnie niezrozumiałe? Cóż mogą znaczyć jéj słowa o efemerydach? Tak nazywała zawsze owe skryte wzruszenia serca, które dlatego są tak rozkoszne, że jak efemerydy szybko rodzą się i giną!...

Czułam, że jakaś ciężka, ołowiana chmura spuszcza się na moją głowę. Czułam zimno wiejące z téj chmury, napełnionéj śniegiem i gradem—a serce moje ścisnęło się jakąś niewysłowioną trwogą.

Śmiech Sylwii, tak niespodziewany, przeraził mię jeszcze więcéj. Spojrzałam na nią z uwagą.

Sylwia uspokoiła się, uporządkowała suknię starannie, a przystąpiwszy do zwierciadła, zaczęła włosy poprawiać, jakby była zupełnie inną osobą.

— Nie mogę dzisiaj ciebie zrozumieć!—rzekłam, patrząc na nią.

— Jeśli nie rozumiesz—odpowiedziała spokojnie —to powiedz sobie: waryatka!

Zaczęła się zbierać. Zawiązała starannie kapelusz, wzięła na siebie zarzutkę aksamitną i włożyła ręce w zarękawek.

Stanąwszy przedemną, rzekła spokojnie:

— Teraz żegnam cię. Uściśnij mię. Chcę, abyś mię pierwsza uścisnęła.

Przycisnęłam ją do mojéj piersi.

— Pocałuj mnie—mówiła daléj—chcę, abyś mię pierwsza pocałowała.

Wzięłam ją w objęcia i serdecznie ucałowałam.

— A teraz bądź zdrowa! — zawołała z dziwnym blaskiem w oczach.

Uściskała mnie spazmatycznie i wybiegła z pokoju.

Po jéj odejściu usiadłam, aby to wszystko sobie w głowie uporządkować. Trudno to była praca. Myśli nie chciały się z sobą wiązać, motały się i urywały co chwila. Przychodziły coraz nowe, coraz mniéj zrozumiałe. Nie mogłam nad niemi panować, przychodziły bez méj woli. Czułam tylko, że wychodziły

z chmury, która nademną zawisła i mroziły mi serce jakiemś zimnem grobowém.

Przesiedziałam nieruchoma, jak posąg, do samego obiadu.

Przy obiedzie nie bardzo było wesoło.

Wprawdzie ojciec był w niezłym humorze, chciał nawet i nas rozweselić, ale to mu się nie bardzo udawało. Pani Zenobia miała zwykłą swoją migrenę, była skwaszona i siedziała milcząca. Odpowiadała krótko, a często tylko poruszeniem głowy lub niewesołym uśmiechem.

O wczorajszéj zabawie nikt ani słowa nie powiedział, jakby jéj wcale nie było. O mającym pojutrze u nas nastąpić raucie nikt także słówkiem nie wspomniał. Było przecież jeszcze wiele do zarządzenia, można było o tém pomówić lub o coś się zapytać. Nikt się jednak nie odezwał, nikt ani słówkiem nie potrącił tego, co się pojutrze dziać miało.

Widocznie coś było w powietrzu, ale tego nikt nie widział.

— Jutro o tym czasie — rzekł ojciec, patrząc na zegarek — będziesz już Anetko, księżną, chociaż tylko w kółku familijném.

Słowa te wyrwały mnie z pewnéj apatyi, w którą popadłam, ale na to tylko, aby moje serce napełniło się jakąś niewysłowioną obawą. Nie umiałam sobie z tego zdać sprawy.

Czyż była to owa zwykła trwoga, jaką uczuwamy

z niepokojem w przyszłość, któréj jeszcze w całości dojrzéć nie możemy?

— A pojutrze — mówił daléj ojciec — powitają o tym samym czasie oficyalnie nową księżnę wszyscy nasi znajomi.

Ukłuło mnie coś w serce. Uśmiechnęłam się mimo bólu i pocałowałam ojca w rękę.

— Wierzę, że będę szczęśliwą — rzekłam, jak gdybym chciała sama te słowa usłyszéć.

Na tém skończył się obiad, a reszta dnia nie była także weselszą.

XXXVI.

Wróciwszy do mego pokoju, nie kazałam lampy zaświecać. Siedziałam sama w ciemności i czułam pewną ulgę, że koło siebie nic nie widzę. Rozdrażnienie moich nerwów dochodziło do tego stopnia, że każdy widok stawał mi się nieznośnym. Zamiast myśli, słyszałam tylko szum w głowie, który był podobny do szumu wód, zalewających pola i łąki. Coś zalewało widocznie moje łąki, na których w pierwszéj młodości posiałam tyle kwiatów!...

A może to szumią wrażenia z ostatnich tygodni mego życia, które mają zaginąć, a zaginąć nie chcą? Może gotują się do walki, aby tam w głębi duszy po-

zostać, chociażby cierniem tylko, raniącym do końca życia?

A może w głębi serca było jeszcze coś, co nie umarło, a teraz, zagrożone wieczną banicyą, daje znać o sobie, że jest i że nie chce swego uprawnionego miejsca opuszczać?

Do tego szumu, który jak owa „pieśń bez słów" miał coś mówić, a wydawał tylko tony niezrozumiałe, przyłączył się szum wiatru, który uderzał o szyby i wszelkiemi szparami wciskał się do pokoju. Wtórował mu turkot i hałas z ulicy, a wszystko razem sprawiło, że popadłam w jakiś stan hipnotyczny, z którego zdać sprawy nie umiem. Straciłam świadomość siebie i rzeczy bieżących a to, co we mnie zostało, było nieujęte i nieuchwytne.

Stanęły przedemną sny najpierwszéj mojéj młodości.

Najprzód otworzyły się mury pensyonatu, młode towarzyszki otoczyły mnie i powtórzyły się owe rozmowy o rozkoszach serca, o szałach i zachwyceniach, które w najbliższéj przyszłości nas czekają! Ułożyłyśmy sobie, że każda będzie drugiéj o tém szczęściu swojém donosić, gdy się z tych murów rozejdziemy!

O jakże rozkoszne było to wszystko, co nas kiedyś spotkać miało.

Późniéj napłynęły wspomnienia ze wsi. Były to już wspomnienia tego, czego sama doznałam. Były

o moje własne uczucia, rozkoszne drgnienia mego serca, radośne porywy mojéj własnéj duszy.

Gdzież one są, gdzie się podziały? Czy to wszystko, co teraz czuję, może z niemi iść w zawody? Czyż takie wieczorowe efemerydy, o których się z góry wié, że o nich trzeba zapomnieć, mogą się z niemi porównywać? A gdzież są te wielkie uderzenia serca, które wtedy podnosiły mię ku niebu? Czy te drgnienia gorączkowe zastąpią je?

Pozbyć się szału i zachwyceń — mówią rozsądni — i spokojnie iść do celu życia. Przecież szały i zachwyty nie potrzebują trwać lata całe, ale odczute na zwrocie życia, zostawiają w pamięci owe zielone oazy, śród których można wśród burzy wypocząć, a śród posuchy i skwaru znaléźć niewyczerpaną krynicę chłodzącéj wody.

Gdzież są dzisiaj owe rozkoszne uderzenia serca, któreby w pamięci mogły na długie lata pozostawić wspomnienia, dające, jak te oazy w wędrówce życia, wypoczynek i napój orzeźwiający?

Nie, nie... takich uderzeń serca dzisiaj nie czuję!

Do zwrotnicy życia zbliżam się zimno i z wyrachowaniem, jak maszyna parowa, dla któréj położono na ziemi tory żelazne, aby w przepaść nie zboczyła.

Czyż to ma być moje szczęście? Czyż to ma być owa droga, na którą się tylko raz w życiu wchodzi, a po któréj napowrót nigdy się nie wraca?

Rozmyślania te moje przerywał jakiś szum niezrozumiały, który głowę mi napełniał, chociaż cisza była w pokoju. Cóż znaczy ten szum? Czy to walka wewnątrz serca, które nie chce poddać się temu, co jutro ma się stać i moje serce związać na zawsze?

Czemuż ono dzisiaj nie bije tak rozkosznie, jak wtedy na wsi, gdy myślałam, że mnie ktoś kocha?

Nie... Jerzy nie kochał mię, ale samo złudzenie sprawiało mi tak wielkie szczęście, że dzisiaj nawet na jego wspomnienie czuję się prawie szczęśliwą.

Jakież rozkoszne widoki otwierały się wtedy przedemną, gdy zamarzyłam o mojéj przyszłości!

Cóż teraz widzę przed sobą? Pustynia, którą trzeba czémś urozmaicić, albo tłok i jarmark, gdzie się traci własną wolę i jest się tylko naprzód popychanym.

Nie, taka przyszłość jest straszna, wstrętna!...

Czyż wszystkie marzenia mojéj młodości za mną zostały? Czy mam iść daléj bez nich, iść zimno i spokojnie, jak idzie człowiek, dźwigający ciężar na barkach? Czyż życie jest tylko ciężarem, a niczém więcéj?

Na samą myśl ściska się serce, boli, jakby pęknąć chciało.

„Jutro zostaniesz księżną" — mówił ojciec; czemuż nie powiedział: jutro zostaniesz szczęśliwą?

Tego nie powiedział, bo nie mógł powiedzieć.

Od jego słów do szczęścia jeszcze daleko, bardzo daleko!

A gdzież jest ono? Czy się skryło przedemną? Czy ja sama rzuciłam na nie nieprzejrzystą zasłonę, że go dzisiaj dojrzéć nie mogę?

Pytania te sprawiły mi znowu szum w głowie. Coś tam wre i huczy, coś gore, jak w wulkanie.

Wszystko to sprawia dzień jutrzejszy.

Czyż to nie zależy odemnie, aby ten dzień nie straszył mnie?

Przecież nic mnie nie wiąże do księcia Jarosława? Przecież nie pozbyłam się woli mojéj, nie wyrzekłam się lepszéj przyszłości, która mnie niczém straszyć nie będzie. Przeciwnie, może ona dać mi to wszystko, o czém niegdyś tak rozkosznie marzyłam.

Cóż mi może dać świat za moje pieniądze? Cóż może mi dać tytuł męża, jeżeli serce moje zamyka się przed nim?

Czyż nie lepiéj zerwać te wszystkie, sztucznie powiązane nici i sercu wrócić swobodę rozrządzania sobą?

Czułam teraz wyraźnie, że jakaś walka odbywała się we mnie. Były tam niby dwie istoty, a ja nie mogłam poznać téj, która była moją. Jedna stawiała mi przed oczy jaskrawe obrazy ostatnich dni i świetne w przyszłości nadzieje, druga odwracała się ze wstrętem od tych wspomnień, jak się odwraca

pijany od potłuczonych flaszek i niedopitych kieliszków.

Widziałam już blizki port, do którego miałam zdążyć. Byłam podobną do żeglarza, który odbył daleką podróż, patrzał z biciem serca na złudne morskie miraże, przebył burze i uragany, a teraz zawija do zatoki stałego lądu.

I nagle zmienił się ten obraz. Byłam wprawdzie jeszcze owym żeglarzem, ale żeglarz ten nie dopłynął do portu. Rozwinął nowe żagle i wypłynął znów na pełne morze. Czy zapragnął on nowych burz i uraganów? czy chciał znów gonić owe urocze fata morgana, których żaden człowiek nie dogonił? A może on chce tylko wrócić tam, zkąd na morze wypłynął? Może ciągnie go cichy domek, z którego na pełne morze wypłynął... wołają dziecinne wspomnienia, o których chciał już zapomnieć?

A serce moje uderzyło radośnie na widok tego żeglarza, który zatęsknił za domem rodzinnym, gdzie niegdyś był szczęśliwym.

Dlaczego serce moje uderzyło teraz żywiéj? Czyż ten port blizki, który już dzisiaj widzę przed sobą, wcale mnie nie nęci? Czyż jak żeglarz z nałogu pragnę złudnych morskich obrazów, burz i uraganów?

Na te pytania nie mogłam sobie odpowiedzieć. Nie mogłam ich także pominąć milczeniem, bo ciągle

odzywały się w głębi duszy mojéj. Było tam coś, co mi umilknąć nie dało.

Cóżby to było? Może to owe wspomnienia z ustronia rodzinnego, które, jako rozkoszną sielankę, schowałam do albumu pamiątek? Czy Jerzy tak samo uczynił? Czy nie myśli on już wcale o téj Anetce, dla któréj miał być jedyném szczęściem? A gdyby on o niéj myślał jeszcze?

Dlaczego serce moje tak żywo uderzyło? Dlaczego tak nie uderzy, gdy pomyślę o księciu Jarosławie?

Ale Jerzy o mnie nie myśli. Może ja wspomnień jego niegodna?

Czyż nie znajdę nikogo na świecie, dla któregoby serce moje równie rozkosznie uderzyć mogło? Czyżbym nie mogła jeszcze gdzie spotkać go?

Takie myśli nurtowały w głębi méj duszy i nie dały mi zasnąć. Coraz większą trwogą przejmował mię dzień jutrzejszy, w którym miałam oddać rękę i serce, ale mogłam tylko dać rękę bez serca. Czyż Jarosław byłby wtedy szczęśliwym?

Nie, to byłoby kłamstwo z mojéj strony. Kłamstwo to przykułoby mnie na całe życie, jak galernika do żelaznéj obroży.

Nie, tego uczynić nie mogę. Lepiéj przeboleć utratę chwilowych mrzonek światowych, aniżeli na niepewną szalę rzucić całe życie.

Długo wahałam się z tém postanowieniem. Po-

woli i nie bez bólu zrywały się tysiące owych nici subtelnych, któremi, jak jedwabnik, omotałam dzisiaj sama siebie. Było jednak coś na dnie duszy mojéj, co mi tak postąpić kazało.

Czy to były wspomnienia z rodzinnego ustronia i nadzieja, że do nich powrócić mogę, czy jakie inne, nie mniéj szlachetne, a bezimienne pragnienia lepszych porywów serca nad te, które mi dzień jutrzejszy dać może? Nie umiałam sobie na to odpowiedzić.

Wiedziałam tylko, że jutrzejszego oświadczenia księcia Jarosława przyjąć nie mogę!

Postanowienie to sprawiło mi wielką ulgę. Zdawało mi się, że odeszła odemnie zmora, która mi pierś przygniatała. Odetchnęłam lekko, jakby po przebytém niebezpieczeństwie. A gdy się oczy moje do snu zamknęły, otoczyły mnie obrazy tak rozkoszne, o jakich tylko w rodzinném ustroniu śniłam.

Dzień jutrzejszy miał moje losy rozstrzygnąć.

XXXVII.

Wstałam rano zdrowsza i pokrzepiona. Zdawało mi się, że byłam pijaną, że w takim stanie miewałam sny niespokojne i gorączkowe, a teraz przebudziłam się.

Słońce świeciło pogodnie. Pogoda, dotąd nie-

znana, wstąpiła także do duszy mojéj. Chodziło tylko o to, jak i komu o téj zmianie, która zaszła we mnie, powiedzieć.

Zdawało mi się, że najlepiéj będzie rozmówić się z samym księciem Jarosławem. Ojcu i pani Zenobii nie mogłam piérwéj tego powiedzieć.

Ojciec przywiązał się zanadto do téj myśli, a pani Zenobia mogłaby mnie uznać za waryatkę. Nie chciałam im wyrządzać téj przykrości.

Co do księcia Jarosława, rola moja była łatwą. Mogłam poufnie wyznać, że, mimo mojéj dla niego przyjaźni, serca nie mogę mu oddać, że nie chcę okłamywać go, mimo wszelkiéj pokusy, że wiem, co tracę, choć nie wiem, co zyskać mogę.

Wiedziałam, że w ostatnich tygodniach był więcéj mną zajęty, wiedziałam, że słowa moje sprawią mu przykrość, ale nie mogłam także wątpić, że go nakłonię, chociażby nawet i łzami, do szlachetnéj rezygnacyi.

Powziąwszy takie postanowienie, kazałam sobie przynieść ubranie. Chciałam się ubrać po domowemu, jakbym nie oczekiwała żadnéj uroczystości. Najlepiéj podobał mi się kostium z białego sukienka.

Wolno puszczoną bluzkę spięłam szerokim pasem wełnianym niebieskiego koloru. Byłam podobną do zakonnicy jednego z naszych klasztorów.

Smutno było mi nieco, gdym pomyślała o poczciwym Jarosławie, ale jakaś radość rozkoszna napeł-

niała moje serce, gdym pomyślała o sobie. Było mi tak lekko i swobodnie, jak po spowiedzi. Jedna tylko chmurka niepokoiła mnie. Moja rekuza, dana księciu Jarosławowi, mogła narobić w mieście wiele hałasu. Posądzonoby mnie, że śród takich okoliczności urządziłam to dla efektu. Ale na to nie było już rady.

Wyszłam na herbatę do pani Zenobii.

Ojca nie było przy herbacie. Wyszedł rano na miasto, chcąc jeszcze kilku znajomych na jutro zaprosić.

Pani Zenobia pocałowała mnie, jak zwykle, w głowę na dzieńdobry, nic jednak do mnie nie przemówiła.

Nie zwróciła uwagi na moje klasztorne ubranie, chociaż zwykle miała coś do powiedzenia.

Piłyśmy herbatę w milczeniu. Pani Zenobia kończyła romans angielski, a ja przeglądałam ilustracye, leżące na srebrnéj tacy.

Skończywszy przeglądanie, chciałam wziąć gazetę poranną, gdy obok niéj zobaczyłam kilka listów rozpieczętowanych.

Wzięłam je do ręki. Były w nich nasze karty, zapraszające na jutrzejszy wieczór, z uwiadomieniem, że zaproszeni przyjść nie mogą. Jedni tłómaczyli się chorobą, inni różnemi interesami. Niektóre były wprost zwrócone bez dania racyi.

— Cóż to jest? — zapytałam zdziwiona.

— To nic, — odpowiedziała pani Zenobia — jeżeli się sto pięćdziesiąt kart rozeszle, to kilkanaście może nie odnieść skutku. Trafia się to przy wszystkich liczniejszych zaproszeniach.

Dziwiło mnie to, że w kartach zwróconych figurowały nazwiska naszych najserdeczniejszych, a głównie rodziców, mających kilka córek na wydaniu.

Miałażby to być zawiść, że jutro mam być oficyalnie ogłoszoną jako narzeczona księcia Jarosława? O, gdyby wiedziały!...

Po herbacie zaczęły nadchodzić dalsze karty i listy z odmowną odpowiedzią na jutrzejsze zaproszenie.

Zaczęło mnie to niepokoić. Gniew mnie ogarnął, gdy nadszedł list od babki Idalii z przeproszeniem, że obie nie przyjdą.

Wpadłam do pani Zenobii.

— Cóż to jest? — zapytałam z niepokojem.

Pani Zenobia uśmiechnęła się zgryźliwie.

— Zapewne plotki jakie — odpowiedziała, nie patrząc na mnie.

Uczułam gorąco na twarzy. Jakaś brzydka myśl przebiegła mi przez głowę.

Do pokoju spiesznie wszedł ojciec. Miał twarz zarumienioną, usta zaciśnięte. Gorączkowo zbliżył się do stołu, na którym leżały właśnie karty zwrócone i listy.

— Piękny nasz światek swojski! — ozwała się pani Zenobia.

— Smutne rzeczy, — odparł ojciec — któżby się był spodziewał?

— Cóż się stało? — zapytałam.

— Nic się nie stało, tylko rozniecono plotki o wczorajszéj wizycie waszéj u pana Achila.

Uczułam zawrót głowy.

— Cóż o tém mogą mówić?

— Źli ludzie mówią o tém złośliwie. Mówią, że pani Iza odegrała rolę nieszlachetną w widokach swego kuzyna. Byli tacy, którzy was widzieli wchodzących i wychodzących.

Upadłam na sofę. W oczach pociemniało mi. Pani Zenobia pospieszyła z ratunkiem, nacierając mi skronie wodą kolońską. Otworzyłam oczy i odetchnęłam wolniéj.

— Nie chciałam iść! — zawołałam, łamiąc ręce.

— Któżby się był spodziewał, że z tego głupia plotka urośnie!

Zachmurzone dotąd czoło pani Zenobii rozjaśniło się.

— To nic! — krzyknęła z radością — bohaterka w angielskim romansie była w tém samém położeniu. Zapomniałam wam o tém powiedzieć. Niestworzone rzeczy wygadywano na nią z powodu takiéj wizyty. Rzucono kalumnię, odsądzono od czci i wiary. Ale właśnie mężczyzna, dla którego to zrobiła, widział w tém większe dla siebie poświęcenie i, ratując z wdzięczności jéj honor, zapałał tém większą dla

niéj miłością. Otóż to samo stanie się teraz pomiędzy tobą a Jarosławem. Pokochacie się oboje wyjątkową miłością, o któréj mówią, że tylko w romansach istnieje!

Była to dla mnie smutna pociecha. Mimo to, słowa pani Zenobii podrażniły mnie. Położenie moje wydało mi się rzeczywiście dramatyczne.

Postawiłam wiele na kartę, wygrana musiała być znaczną. Widziałam już Jarosława, jak klęczał u nóg moich. Nie miał słów, aby mi podziękować za moje poświęcenie się. Poświęciłam mu wszystko, co kobieta poświęcić może, a tak wielka ofiara nie może przejść bez wpływu na jego serce. A wszystko to przyda mi się dzisiaj tylko na to, aby go tém łatwiéj skłonić do rezygnacyi...

Takie myśli przebiegły mi przez głowę, ale wnet ustąpiły miejsca smutniejszym. Jakież to niestworzone rzeczy opowiadają teraz o mnie? Z jaką złośliwością roznoszą je ci, którzy dotąd z zawiścią na mnie patrzyli.

Ojciec chodził zamyślony po pokoju, a pani Zenobia snuła daléj wątek angielskiéj powieści, któréj bohaterka miała być do mnie podobna.

Romantyczka staruszka wierzyła uparcie, że w życiu tak samo być powinno, jak wyczytała w romansie. Nie słyszałam wszystkich jéj wywodów, bo jakaś ołowiana chmura wisiała nademną, ugniatała mi głowę i nie pozwalała myśli pozbierać. Mro-

czyło mi się przed oczyma, jakbym w sen głęboki zapaść miała.

Jeszcze nie skończyła pani Zenobia, gdy się ozwał dzwonek w przedpokoju. Służący zapowiedział panią Martę.

Sprawiło to na wszystkich niemiłe wrażenie.

Pani Marta znaną była w całém mieście jako osoba pobożna, należąca do stowarzyszenia świętego Józefa z Arymatei, które miało cel wzniosły grzebania biednych bezpłatnie.

Żyjąc w téj pogrzebowéj atmosferze, uważała za swój obowiązek roznoszenia smutnych nowin między osoby interesowane i dostarczania im z piérwszéj ręki wieści Hiobowych.

Jeżeli ktoś należący do rodziny w oddaleniu umarł, pani Marta zjawiała się wśród rodziny jako chodząca karta pogrzebowa. Miała przytém bardzo szlachetne intencye, bo pocieszała zasmuconych. Była zawsze czarno ubrana, to téż w towarzystwie nazywano ją „czarną pociechą".

Gdy ta czarna pociecha do salonu weszła, nastało głębokie milczenie. Pani Zenobia przerwała w połowie historyę romantyczną o bohaterce romansu, ojciec przyrósł nagle do posadzki, zapomniawszy powitać gościa, a ja z zapartym oddechem patrzałam na jéj usta szerokie, na których malowała się litość dla dotkniętych nieszczęściem.

— Nie mogłam przyjść wcześniéj, — ozwała się

głosem anioła, zamkniętego w trumnie — ale miałam dzisiaj tyle roboty! Pięciu nieboszczyków zameldowano, a nasz stangret żałobny upił się i połamał karawan. Prócz tego, zastrzelił się w nocy pełen nadziei młodzieniec, a do pozostałéj matki trzeba było biegnąć z piérwszą nowiną i z piérwszą pociechą.

Zrobiło nam się zimno. Zdawało mi się, że cała zastygnę.

— Może już wiecie? — zapytała z pewnym smutkiem, czy jéj kto nie uprzedził — ludzie lubią roznosić nowiny, nie dodając żadnéj pociechy.

— Coś trochę wiemy, niestety! — odpowiedział ojciec smutno.

— Głupie plotki, a nic więcéj! — dodała pani Zenobia.

Na twarzy pani Marty malowało się oburzenie.

— To nie są plotki — zawołała — jeżeli ja przychodzę, to nie przychodzę z plotką. Mam rozliczne stosunki we wszystkich sferach, a jeżeli coś dojdzie do moich uszu, to nie ruszę z tém w świat, nie sprawdziwszy. Zostawiam to innym, niepowołanym kobietom.

— Nie można przecież z piérwszego lepszego zdarzenia wysnuwać złośliwie daleko sięgających posądzeń — odpowiedział ojciec.

— To nie są posądzenia, — przerwała szybko pani Marta — to są fakta.

— To, co jest faktem, nie mieści jeszcze w sobie nic złego?

— Jakto: nic złego? A cóż może być gorszego od tego, co się stało?

— Była to wyjątkowa sytuacya, któréj wolno jest wyjść po za prawo zwyczajowe?

— To sakrament, cnota, moralność — to tylko prawo zwyczajowe?

— Jeżeli ktoś, nie dopuszczając do morderstwa, uczyni krok, może niezwykły, ale w gruncie dobry i odpowiedni szlachetnemu zamiarowi, to przecież nie godzi się za to rzucać zaraz kamieniem.

Oburzenie pani Marty nie dozwoliło jéj wysłuchać tych słów należycie. Podniosła zżółkłą rękę do góry i wstrząsnęła nią ze wzgardą.

— Alboż to wierzyć każdema mężczyźnie, jeżeli powie, że się zabije?

— Ależ tu chodziło o zabicie drugiego, a jeśli pani Iza i Anetka razem się udały na miejsce niebezpieczeństwa, aby to niebezpieczeństwo zażegnać...

Rozjaśniła się twarz pani Marty.

— To głupstwo! — zawołała — widzę, że nie wiecie o niczém. Z taką plotką, jaką rozsiewają po mieście z powodu waszéj wizyty, jabym tu nie była przyszła. Zostawiam to innym, niepowołanym.

Nastąpiła długa pauza.

Pani Marta patrzała na nas, jak lekarz, czy wytrzymamy pocisk, który w nas ma ugodzić.

— Więc jeszcze o tém nie wiecie? — zapytała— to przygotujcie się na coś, co was mocno zaboli.

— Powiedz pani prędko! — zawołał ojciec — bo te przygotowania chirurgiczne są gorsze od saméj operacyi.

— Nie wierzę temu — mówiła powoli pani Marta — moje doświadczenia każą mi inaczéj postępować. Wczoraj miałam obowiązek donieść biednéj kobiecie z sześciorgiem dzieci, że jéj mąż się powiesił... potrafiłam to tak zręcznie powiedzieć...

— Pani nas bierzesz na tortury!

— Jeżeli wam tak pilno to powiem. Oto książę Jarosław, a właściwie mówiąc kniaź Białomorski, bo takiego nazwiska...

— Cóż się stało?—zawołaliśmy wszyscy z przestrachem.

— Pani Sylwia wczoraj przed wieczorem opuściła progi męża, aby do nich już nie wrócić, jak napisała w liście, zostawionym na swojém biurku... A teraz zgadnijcie, z kim się w tę podróż wybrała?

Nikt słowa nie wyrzekł. Byłam bliska omdlenia.

— Jeżeli się małżeństwo rozchodzi — mówiła daléj pani Marta — to musi być ktoś trzeci.

Pani Marta zrobiła tu długą pauzę, aby nas przygotować.

— Tym trzecim... — wymawiała powoli — nie jest nikt inny, jak tylko książę Jarosław!

Pani Zenobia krzyknęła i wyciągnęła rękę po flakonik, przedemną wszystko pociemniało. Słyszałam tylko donośny głos ojca, który zaczął szybko chodzić po pokoju.

— Ależ to być nie może! — wołał w gniewie — to plotka gorsza od pierwszéj! Jacyś źli ludzie sprzysięgli się na nas, aby nas udręczyć.

Pani Marta wstała z kanapy zagniewana.

— Tak do mnie jeszcze nikt nie przemawiał! — zawołała, wiążąc kapelusz pod brodą — trzydzieści lat, jak należę do towarzystwa bezpłatnych pogrzebów i pociechy dla bliźnich, a nikt mi nie powiedział, że się źle wywiązuję z obowiązków moich. Biegnę z pociechą, gdzie pociechy potrzebują, ale marnych plotek nie znoszę! Powiedziałam prawdę, bo już nawet policya, na prośbę męża, rozesłała telegramy, aby zbiegów przytrzymać. Może to wam wystarczy za pociechę, a ja w takim razie spełniłam obowiązek.

Ukłoniła się zacna matrona i wyszła.

Ojciec i pani Zenobia wyglądali, jak rażeni od pioruna, mnie zaś opuszczały zwolna siły, jakbym powoli zamierała.

XXXVIII.

Po niejakim czasie mogłam znowu myśli pozbierać. Leżałam na sofie, a przy mnie siedziała pani Zenobia. Z dalszych pokoików dochodziły mnie kroki ojca, który chodził po swoim gabinecie.

Pani Zenobia mówiła mi, żem zasnęła z osłabienia i że sen powinien był mnie pokrzepić. Rzeczywiście czułam się silniejszą, choćby tylko na to, aby się w dzisiejszém mojém położeniu się rozpatrzéć. Było ono smutne, bardzo smutne.

Utrata księcia Jarosława nie była już dla mnie żadną utratą — ale ta tajemnica spoczywała dotąd w mojém sercu. Świat widział utratę, i moją haùbę. Wprawdzie nie można było jeszcze tego, co pani Marta mówiła, wziąść za prawdę, ale nadzieja taka była bardzo wątła.

Na potwierdzenie téj smutnéj nowiny przypomniałam sobie niektóre ciemne słowa pani Sylwii z wczorajszéj jéj wizyty, przypomniałam sobie całe jéj zachowanie się na ostatnim wieczorze i przyszłam do przekonania, że to, co mówiła pani Marta, jest prawdą. Książę Jarosław zmienił się był znacznie w ostatnich tygodniach, a to, co sobie przypisywałam, było tylko skutkiem szału, jaki go dla Sylwii ogarnął. Teraz dopiéro zrozumiałam, co mówił o czyhających na ludzi pokusach i postanowieniu wyrwania się z objęcia tych pokus. Moja miłość własna ka-

zała mi widzieć mój tryumf w tém, co było dziełem innéj kobiety.

Pani Zenobia odeszła do swego pokoju. Przyszedł do mnie ojciec, pocałował mię w głowę i rzekł ze łzami:

— Jeszcze temu nie daję wiary, ale coś mi mówi że to prawda. Pani Zenobia spostrzegła to wcześniéj, jak twierdzi, ale wzięła to za zwykłą, niewinną zabawę. Rozbawionéj pani Sylwii można było wiele przebaczyć, nie posądzając jéj o daléj sięgające zamiary. Lękam się, ale wyjdę na miasto, aby coś pewnego usłyszéć. Trzeba będzie odwołać zabawę jutrzejszą.

Otarł oczy i wyszedł. Zostałam sama.

Smutne, bardzo smutne były moje myśli. Należąca do „towarzystwa bezpłatnych pogrzebów" pani Marta pogrzebała mię żywcem i bezpłatnie.

Nie zostawiła mi żadnéj pociechy. Przecież pociechą nie było dla mnie, że mąż rozesłał telegramy za zbiegami i że ich przytrzymać mogą.

Położenie moje było okropne! Chociaż książę Jarosław był mi dzisiaj obojętnym, ale w oczach wszystkich był prawie moim narzeczonym, a wieczór jutrzejszy miał być w tym celu wydany, aby nasze zaręczyny światu ogłosić.

Leży to w naturze naszéj, że przygnieceni nieszczęściem nie tracimy nadziei. Pani Marta przyniosła nam straszną nowinę i potrzeba było wierzyć, że była prawdziwą. Mimo to odzywała się w głębi

duszy nadzieja, że ta nowina mogła być mylną lub że inaczéj w rzeczywistości się przedstawia.

Ojciec mógł powrócić z miasta z lepszą nowiną, mógł ktoś z przyjaciół przyjść z bliższém wyjaśnieniem, a pani Izy oczekiwałam prawie na pewno.

Wskutek tego nastąpiła pauza w moich czarnych myślach.

Oczekiwałam czegoś, coby tę straszą wieść potwierdziło lub jéj zaprzeczyło stanowczo. Do tego czasu głowa moja musiała pozostać bezczynną.

Popadłam w dziwne znieczulenie. Siedziałam nieruchoma na sofie, patrząc bezmyślnie przed siebie. Tylko ucho łowiło każdy turkot, każdy hałas na ulicy. Kroki na schodach lub na korytarzu przyśpieszały mi bicie serca, a głosy ludzkie zapierały mi oddech w piersi. Byłam podobną do skazańca oczekującego w celi więziennéj łaski albo kata.

Po długich godzinach daremnego oczekiwania przyjaciółek lub znajomych, usłyszałam wreszcie na schodach kroki ojca. Nie wróżyły one dobrze. Były ciężkie i odmierzone, jak kroki więźnia okutego w żelazo. Nie pilno mu było przyjść do mnie, zwalniał je widocznie.

Nie omyliło mnie przeczucie. Blady, z zaciśniętemi ustami, wszedł ojciec do mego pokoju. Wiedziałam już, co powie, nie wyrzekłam ani słowa Ciężki kamień przygniótł mi serce.

— Prawdą jest — ozwał się ojciec — co pani

Marta mówiła. Dodają jeszcze, że ta wspólna ucieczka była przygotawana przed ową zabawą kostyumową, tylko coś przeszkodziło. Widać więc, że nawet twoja ofiara nie była już potrzebną. Możeby nawet lepiéj było, gdyby się był pojedynek odbył. Mogło to sprawie nadać inny kierunek.

Słowa ojca dobiły mnie. Nie miałam nawet téj marnéj pociechy, żem się poświęciła, bo już wtedy nie należał on do mnie, tylko do innéj.

Z drugiéj strony wolną się czułam od wyrzutów, że moje zachowanie się na zabawie kostyumowéj mogło go do tego kroku popchnąć.

Mogłoby to mnie pocieszyć, gdyby sama sytuacya nie była bez wyjścia. Ciemno, głucho i strasznо było dokoła.

Człowiek jednak nie ulega tak prędko. Jeszcze jakaś słaba nadzieja błyskała, jak zabłąkany promień zachodzącego słońca. Powinna przecież przyjść pani Iza lub inna znajoma, a przedwszystkiém ta, która niemniéj od nas jest tym ciosem trafiona, księżna Adela. Gdzież one są? Czyż jeszcze nie wiedzą o tém. Czyż nie uważają jeszcze téj nowiny za pewną? Czyż wierzą, że każda chwila może przynieść inne wyjaśnienie i że ta mniemana ucieczka skończy się niewinną maskaradą?

Jak nakręcony automat chodziłam po pokoju, wyglądałam przez okno, czy nie obaczę karety pani

Izy lub księżnéj Adeli — nasłuchiwałam przy drzwiach, czy nie usłyszę ich kroków na schodach...

Pani Zenobia dostała migreny, a obłożywszy głowę różnemi ziołami, siedziała w fotelu nieruchoma i żółta, jakby już była nieboszczką.

Ojciec w swoim gabinecie pisał karty, odwołujące jutrzejszą zabawę.

Mijały długie godziny. Cisza grobowa zaległa wysokie komnaty, w których niedawno wszystko tak się uśmiechało, tak wiele mówiło. Dzisiaj podobne były do zaklętego pałacu, w którym zaczarowana królewna spoczywa w niezamkniętéj trumnie.

Do obiadu zasiedliśmy wszyscy, ale nikt nie jadł i nikt nic nie mówił. Po obiedzie wyszedł ojciec.

Już się dobrze zmierzchło, gdy służący przyniósł nam kartę gościa. Wyczytawszy nazwisko, byłam nieco zdziwiona. Gościem tym był pan Achil. Wspomnienie przedwczorajszéj wizyty i plotek, które stąd urosły, napędziło mi rumieniec na twarz.

Mimo to, chciałam go widzieć. Z czém on przychodzi? Może ma ważną wiadomość, o któréj nikt nie wie? On zwykle jest najlepiéj poinformowany co do spraw podobnych. Pani Zenobia, mimo migreny, była także mego zdania, że należy go przyjąć.

Za chwilę wprowadzał lokaj gościa do salonu, niosąc przed nim zaświecony kandelaber.

Wychodząc z mego pokoju, spojrzałam przypadkiem do zwierciadła. Wzdrygnęłam się; zdawało mi

się, że ujrzałam białe widmo. Zapomniałam, że wyczekując dzisiaj oświadczenia księcia Jarosława, ubrałam się, jak Psyche, w biały kostyum. Teraz w tym kostyumie, w którym miałam zostać narzeczoną, a w dalszéj perspektywie księżną — wyszłam do pana Achila.

W salonie już siedziała pani Zenobia. Pocierała czoło ołówkiem migrenowym, patrząc ciekawie na gościa.

Gość był widocznie w nastroju uroczystym. Miał czarny tużurek pod brodę zapięty, wąsy starannie zakręcone, a w ręku lśniący kapelusz. Otaczała go mocna woń jaśminu. Powitał mię z uszanowaniem, ale nie tak poufale, jak to zwykł był czynić.

— Dziwne zrządzenie losu — ozwał się — sprowadza mię tu w chwili, w któréj jeszcze niedawno kogo innego oczekiwano.

Niemile dotknęła mię ta aluzya.

— Byłoby to w każdym razie jeszcze zawcześnie — odpowiedziałam, siląc się na uśmiech obojętny.

— Bardzo się cieszę — wtrącił pan Achil — że zastaję panią w dobrym humorze. Ułatwi to nam nieco niezwykłą rozmowę.

— Szkoda, ja lubię wszystko, co zwykłe.

— Na to potrzeba zwykłych warunków życia, a to, o czém chcę mówić, nie należy do rzeczy zwyczajnych.

— Jakież przynosisz nam pan nadzwyczajności?

— *La question du jour*, a raczéj — *le scandal du jour*.

— Czy to jest prawda?—zapytała pani Zenobia.

— Zupełna prawda. Ułatwiłaś to sama pani, uwolniwszy go w sprawie honorowéj. Dowiedziawszy się o tém, z nienaruszonym swoim honorem wybrał się w podróż *incognito*.

Nastąpiło dłuższe milczenie. Chciałam okazać obojętność.

— Cieszę się — odpowiedziałam — że mogłam przyczynić się do prędszego uszczęśliwienia dwojga ludzi, jak to pan utrzymujesz.

— Gdyby to uszczęśliwienie nie podbiło nóg trzecim.

— Komu? — zapytała dyplomatycznie pani Zenobia.

— Kto są ci trzeci? — zapytałam, pomagając pani Zenobii.

Pan Achil ukłonił mi się na znak, że ja jestem tą trzecią poszkodowaną osobą. Ukłóło mię coś, ale zacisnęłam usta.

— Zdaje mi się — mówił daléj pan Achil — że nie jestto pora okrążać zdaleka patrzącego czujnie zająca. Potrzeba go ubić odrazu, nim skoki wyprostuje i na pośmiewisko strzelca czmychnie.

— Nie rozumiem pana.

— Nie mówię o tych, co czmychnęli, bo tych trudno złapać.

— O tych się nie mówi przecież.

— Nie mówi się, to prawda; ale i myśléć o nich nie potrzeba!

— Zkąd pani wie że się o nich myśli?

— Przypuszczam tylko, a jeśli pani temu przeczy, to tém lepiéj. Ile razy stawkę przegram, to o niéj nie myślę, tylko nowy pieniądz naprzód posuwam.

— Chcesz pan, aby i kobiety tak robiły?

— Jedyna zdrowa rada.

Patrzałam smutno przed siebie, a pani Zenobia kreśliła po czole ołówkiem migrenowym.

— Powiem krótko i szczerze — ozwał się pan Achil. — Eskapada pani Sylwii z panem Jarosławem jest faktem dokonanym. Było głośną tajemnicą, że dziś wieczór miał się książę Jarosław ostatecznie pani oświadczyć, a jutro to samo miano powtórzyć na zabawie wieczornéj w toaście, umyślnie już na ten cel ułożonym. Tymczasem zmienia się scena, bohater nie wychodzi, bo umknął, a widzowie patrzą niecierpliwie, co daléj będzie?

Pan Achil zrobił tu pauzę. Pani Zenobia milczała, a ja nie chciałam, czy nie mogłam także na to nic odpowiedzieć.

— A najgorsi są ci widzowie — ciągnął daléj pan Achil — bo jeżeli na scenie przez długi czas nie ujrzą nikogo, to gotowi rzucić się z wściekłością na

zdumiałych aktorów i srodze ich poturbować... Otóż chodzi o to, aby tym wściekłym spektatorom zrobić niespodziankę, któraby ich z aktorami pojednać mogła.

— Pan mówisz tak ciemno, że nic zrozumiéć nie mogę — rzekłam ze wstrętem, aby tylko coś powiedzieć.

— Rzecz prosta; Pan Jarosław miał się dzisiaj oświadczyć, a jutro mieli spektatorowie obaczyć parę narzeczonych. Ponieważ pan Jarosław umknął z inną, więc spektatorowie nie będą mieli ani biesiady, ani zapowiedzianego widowiska. Wiadomo, co w takim razie się dzieje. Oszukani spektatorowie rzucają się na wszystkich, języki mielą niestworzone rzeczy, doraźne sądy wydają wyroki, wieszają, ścinają, gilotynują, a jeżeli na śmierć zabić nie mogą, to tak błotem obrzucą, że ani nitki suchéj nie zostawią.

Uczułam zawrót głowy.

Słowa pana Achila były straszne, ale była w nich prawda.

— Od pierwszéj chwili poznania — mówił daléj pan Achil — byłem zawsze przyjacielem państwa. Nie będę się tém chełpił, com dla państwa zrobił. Gdy towarzystwo jest zamknięte, to każdy nowicyusz, który do niego chce wejść, musi się drogo opłacić. Szturchają go, wypychają, potrącają, a w najlepszym razie zupełnie ignorują. Pod tym

względem wyświadczyłem państwu pewne usługi. Stanąłem, jak mur i krzyknąłem: „Wara, bo sprawa ze mną". Znają mnie i boją się. Pokiereszowałem już ze trzydziestu, a dwóch wyekspedyowałem na drugi świat. Tym sposobem mieliście państwo drogę otwartą i zamiecioną.

Długie tyrady pana Achila wróciły mi przytomność.

— Dla nieznanego dotąd rycerza uciśnionych cześć i pozdrowienie — ozwałam się z wymuszonym uśmiechem.

— Dobry humor pani — odpowiedział pan Achil —daje mi otuchę, że sprawa dobrze się zakończy. Uwolnisz mnie pani od ckliwych wynurzeń i przyrzeczeń sentymentalnych, a przyjmiesz pewną rękę człowieka, przed którym wszyscy mają respekt.

— Nie wiem jeszcze, do czego pan zmierzasz?

— Zmierzam do téj białéj, drobnéj rączki, którą teraz ucałować pragnę.

Cofnęłam się z fotelem. Była to dla mnie niespodzianka.

— Byłoby to zbyt wielkie poświęcenie ze strony pana — odpowiedziałam z gorzkim uśmiechem.

— Raczéj byłoby szczęściem dla mnie, do którego oddawna wzdycham. A jeżeli dzisiaj ośmieliłem się do tego kroku, to tylko w przekonaniu, że panią przeciw wszelkiéj kalumnii zasłonię.

Łzy zasłoniły mi oczy.

— Gdy mię ujrzą przy pani, przestaną mléć złośliwe języki, w ruch puszczone gilotyny zatrzymają się, a podniesione z kamieniem ręce chwycą prędko za czapki, aby się nam kłaniać.

— Jakże nizko upadłam!—zawołałam z boleścią.

— Upadek jest, i to wielki upadek, chociaż bez winy pani. Potrzeba się prędko podnieść, aby ludzie po nas nie przeszli i nie zmiażdżyli leżących na ziemi.

Zasłoniłam oczy i zaczęłam płakać. Uczułam ból w sercu, a nie wiedziałam, kto mi większą krzywdę wyrządził, czy źli ludzie, czy mniemany dzisiejszy obrońca?

— Niemałego figla wypłatamy ludziom, — mówił daléj przygodny rycerz — wszystko zostanie jak było ułożone. Jutrzejsza zabawa odbędzie się w porządku, tylko w toaście na cześć narzeczonych odmieni się słowo. Zamiast Jarosław, usłyszą: Achil!

Cyniczny uśmiech mego rycerza przywrócił mi przytomność.

— Czy pan żarty stroisz?

— Nie żarty, ale znam ludzi. Zdumieją się i uwierzą, że ułożone zaręczyny z kniaziem Jarosławem były wierutną plotką, że jego ucieczka nikogo nie obchodzi, a to, o czém jutro biesiadnicy się dowiedzą, było tylko zręcznie utrzymaną tajemnicą.

Nie mogłam dłużéj wytrzymać. Groził mi płacz konwulsyjny.

Powstałam szybko i wskazałam ręką na drzwi.

— Pozwolisz pan, — rzekłam z podniesioną głową — że się oddalę, a w takim razie niéma tu miejsca dla pana.

Pan Achil nie pogniewał się bardzo, wstał zwolna.

— W téj chwili żal mi tylko, — rzekł z uśmiechem — że pani nie jesteś mężczyzną.

Ukłonił się i wyszedł. Pani Zenobia tak była tém wszystkiém zdenerwowana, że musiałam ją wziąć pod rękę i z salonu wyprowadzić.

Zdawało mi się, że teraz powała nademną powinna się zawalić i mnie rozmiażdżyć.

Powała się nie zawaliła, ale posłaniec z listem zadzwonił do przedpokoju. Rozdarłam kopertę i czytałam:

„Łaskawa pani!

„Palec Boży ostrzega nas na nieprawych drogach naszych. Burza, która się nad nami zrywa, jest często tylko oznaką miłosierdzia Bożego. Zrozumiałem to, a sądzę, że i pani, przy gorącéj modlitwie, dostąpisz także téj łaski.

„Jutro jadę do Rzymu.

Celestyn."

List rzuciłam na ziemię — padłam na sofę.

XXXIX.

Już było koło dziewiątéj, gdy do pokoju weszła księżna Adela, wprowadzona przez ojca.

Księżna była blada, lecz starannie ubrana. Oczy jéj biegały szybko, usta drgały kurczowo.

— Straszne rzeczy, *c'est horrible!* — zawołała od progu — czy żyjesz jeszcze, Anetko? bo ja już byłam nieboszczką, ale zmartwychwstałam!

— Ja zabieram się dopiéro nią zostać.

— *Quelle idée,* nie potrzebujesz umierać, bo rzecz nie tak straszna, jak się wydaje. Tylko cierpliwości i nic więcéj.

— Czy masz księżna jakie nowe wiadomości?

— Przecież z próżnemi rękami nie przychodzę tak późno. Dobrze użyłam czasu i z niemałym sprytem doszłam do tego, czego chciałam.

— Czy to może mię pocieszyć?

— O to przecież chodziło. Przychodzę z dobrą zdobyczą. Ale uściskaj mnie, bo zapomniałam z tobą się przywitać.

Uścisnęłam księżnę gorąco, bo zdawało mi się, że witam posłańca dobréj wieści.

— Otóż, posłuchaj, *ma chère Annette,* — mówiła pani Adela — jakie dobre rzeczy ci przynoszę. Kosztowały mię wiele zachodu, a nawet poświęcenia się, aby je z ukrycia wydobyć i należycie sprawdzić.

Uściskałam ją po raz drugi. Ojciec patrzał na nią rozpromieniony.

— Dowiedziałam się z bardzo dobrego źródła, że Sylwia wzięła z sobą tylko mniejsze precyoza, które, co najwięcéj, parę tysięcy są warte. Bóg zapewne tak zrządził, że przez roztargnienie zostawiła perły i brylantową broszkę bardzo znacznéj wartości. Kto na złe drogi wchodzi, temu zły duch figle płata.

— Cóż to ma do rzeczy?

— Wzięte pecyoza wynoszą zaledwie kilka tysięcy, a Jarosław, wiem to z pewnością, nie miał przy sobie ani szeląga, gdy się w tę podróż romantyczną wybierał.

— Do czegoż ten skrupulatny rachunek prowadzi?

— Do tego, że za te pieniądze mogą, co najwięcéj, pół roku przebywać zgodnie za granicą.

— A potém?

— Potém — każdy kochanek porzuci swój skarb ukochany, który przestał dla niego być wydatną skarbnicą.

— Cóż mi z tego przyjdzie?

— Że za sześć miesięcy wróci Jarosław pokorny i cichy, jak trusia, i rzuci się do nóg twoich, abyś mu przebaczyła.

Zerwałam się na równe nogi.

— Ja po takim skandalu mam go przyjąć?

— O żadnym skandalu nie będzie mowy. Sam

mąż Sylwii będzie się starał przekonać swoich przyjaciół i znajomych, że żona jego bawiła kilka miesięcy u krewnych na Ukrainie i że kalumnia na nią rzucona była złośliwą plotką. Jarosław zaś pojechał do swego majątku nad Białém morzem i tam na białe niedźwiedzie polował. I wszystko się skończy *à l'amiable* — będzie wilk syty i owca cała.

Zalałam się łzami.

— Jakto! Mam czekać na pana Jarosława aż go druga kobieta z rąk swoich wypuści?

— Dziecko jesteś, *ma chère*. Patrzysz na świat, jak gdybyś dopiéro oczy otworzyła. Nie wiész jeszcze, że na wiele rzeczy w świecie potrzeba patrzéć przez palce. Wzrok naszéj kobiety nie powinien sięgać po za ściany buduaru, jeżeli chce spokojnie szczęścia używać.

— O, jakże nizko upadłam! — zawołałam w rozpaczy — jeżeli takich rzeczy słuchać muszę!

— To tylko z początku tak ci się zdaje. Potém oswoisz się z tém i będziesz się śmiała z siebie, żeś była tak nierozsądna.

— Mój Boże, czyż tak wiele zawiniłam?

— Nie potrzeba koniecznie winy, aby miéć drobne przykrości. Należy tylko kierować się rozsądkiem. Znałam małżeństwo, gdzie żona dwa lata musiała czekać na męża, zanim go z rąk swoich wypuściła paryzka kurtyzana, a w drugim wypadku znomu mąż czekał rok cały, zanim żona od „krewnych"

z Wenecyi powróciła. Ludziska trochę zrazu sarkali na bezbożnych „krewnych", ale potém utarło się jakoś i ustało. Dzisiaj szanują ich wszyscy i poważają, chodzą do nich na smaczne obiadki, całują ich i ściskają się z nimi.

— Lepiéj już nie żyć na świecie! — zawołałam, padając na fotel.

— Będziesz żyła i będziesz się śmiała z tego, żeś chciała umrzéć. Tylko cierpliwości, a mam nadzieję, że wszystko złoży się dobrze.

Ta cyniczna pociecha dobiła mię. Trudno było osądzić, kto wyrządził mi większą krzywdę, czy źli ludzie, czy miłościwa pocieszylka.

Zakryłam oczy i wsunęłam się w fotel, aby mnie nikt nie widział, aby na moją hańbę nie patrzał.

— Na teraz—mówiła daléj pani Adela — niéma co tu siedziéć, jak na pręgierzu. Potrzeba wyjechać za granicę, albo tymczasem na wieś. Szkoda, że pani Zenobia jest już za słaba i zmęczona, aby za granicą mogła ci matkować. Ale nie martw się, postaramy się o inną.

Pani Adela mówiła to z uśmiechem figlarnym, jakim zazwyczaj lubią popisywać się pensyonarki.

Z tym samym uśmiechem spojrzała na ojca i oboje odeszli do dalszych pokojów.

Gdym się uczuła sama, ścisnęło mi się serce i zaczęłam konwulsyjnie płakać.

Prosiłam Boga, aby to była ostatnia moja godzina, bo takiéj hańby trudno było mi przeżyć.

Po niejakim czasie weszła do mnie pani Adela, za nią postępował ojciec z pewném zadowoleniem na twarzy. Pani Adela odgarnęła mi włosy z czoła i pocałowała.

— Już się wszystko dobrze ułoży, *ma chère*, — rzekła z wesołym uśmiechem — ojciec ci resztę dopowié. Dobranoc!

I wyszła. Po jéj odejściu przeszedł się ojciec kilka razy po pokoju. Twarz jego ożywiała się coraz więcéj. Od czasu do czasu spojrzał na mnie, jakby chciał mi coś powiedzieć. Wreszcie zatrzymał się.

— *Chère Annette!* — rzekł dosyć wesoło — tylko nie potrzeba rąk opuszczać. Przedewszystkiém wypadnie nam ztąd wyjechać i ludziom na jakiś czas zejść z oczu. Tylko, jak księżna słusznie zauważyła, pani Zenobia z nami za granicę jechać nie może. Potrzeba ci będzie innéj towarzyszki, która, obok znajomości świata, miałaby także znaczenie towarzyskie. Otóż w tym względzie chcę ci coś powiedzieć, z czém wstrzymywałem się do twego pójścia za mąż.

Ciekawie spojrzałam na ojca.

— Chcąc stanowisko nasze w świecie więcéj ustalić, a nawet stosunki nasze w kraju i za granicą rozszerzyć, postanowiłem wejść w związek małżeński z osobą, którąby pozycyę naszą uświetniła. Znasz

dobrze tę osobę. Zresztą i tak postanowiłem oddać tobie oczyszczony majątek rodzinny, a sam chciałem tymczasem majątek spadkowy do porządku przyprowadzić.

Patrzałam ciągle na ojca. Mogłam się czegoś domyśléć, bo ludzie coś o tém już dawniéj napomykali, ale nie przypuszczałam, aby to rzeczywiście do skutku przyjść miało.

— Jeżeli ojciec to dla mnie tylko chce uczynić, — odpowiedziałam — to chętnie się tego zrzeknę. Jestem już prawie pełnoletnią i mogę sobie dać radę. Pod opieką ojca mogę przejść przez świat cały. Na mnie więc niech ojciec nic nie zważa.

— Nie znasz świata, *ma chère Annette.* Panna potrzebuje opieki kobiecéj i prawdziwie kobiecego sprytu, który w naszém towarzystwie wszystkiego dokazać może. Sądzę, że księżna Adela, oprócz wysokiego tytułu, wniesie do naszego domu wielką znajomość świata i ten spryt kobiecy, jakim nawet dyplomacya nie gardzi.

Nic na to nie odpowiedziałam.

— Otóż ułożyliśmy z księżną, że na razie ja z tobą na wypoczynek do majątku spadkowego pojadę. Zabawimy tam parę tygodni. Potrzeba będzie rozpatrzyć się i niektóre restauracye zarządzić. Po niemiłych tutaj przejściach będzie to dla ciebie wypoczynek zbawienny. Po kilku tygodniach wszyscy troje wybierzemy się za granicę, gdzie może cię spo-

tkać los tak świetny, że nasi nieprzyjaciele pożółkną z zazdrości.

— Sądzę, że nie będziemy szukać i gonić pana Jarosława! — zawołałam z gorzkim uśmiechem.

— Zostaw to na później. Jesteś dzisiaj rozdrażniona, a w takim stanie nie trzeba przesądzać o przyszłości. Wypocząć, przeboleć, pokrzepić siły na świeżém powietrzu, a potém myśléć o tém, co będzie. Może jeszcze zajść pewna niespodzianka.

— Jaka niespodzianka? — zapytałam ciekawie.

Ojciec obejrzał się naokoło, czy kogo niéma i czy drzwi są zamknięte. Po chwili zaczął głosem przyciszonym:

— Wielkich rzeczy można dokonać, ale potrzeba wiele pieniędzy. Spadek nasz jest znaczny, ale naraz bez szwanku nie można zbyt wiele z niego wydobyć. Na las szukam dopiéro kupca, a o większą gotówkę dzisiaj bardzo trudno.

Tu spoczął ojciec, jakby się wahał, czy ma daléj mówić.

— Dziwném się wydaje,—mówił zwolna daléj— że ś. p. Krzysztof, który był znanym skąpcem, nie zostawił, stosownie do dochodów, większéj gotówki. Zresztą, jeżeli to, o czém wszyscy wiedzieli, miał zapisać na cele dobroczynne, to przecież o krewnych nie mógł zupełnie zapomnieć. Prawdopodobnie odłożył na bok pewną gotówkę dla krewnych, którym miał ją ciepłą ręką dać, aby, jak często narzekał, nie

płacić podatku spadkowego. Otóż ta właśnie musi gdzieś być, rozumie się, dobrze schowana. Otrzymałem nawet poufną wiadomość, że nieboszczyk lubił pieniądze chować w różne skrytki, a nawet do starych książek wkładał. Służba już tam coś znalazła, ale się z tém kryje. To jest powodem, że chcę na parę tygodni tam wyjechać.

Słowa ojca o utajonych skarbach nie sprawiły na mnie wielkiego wrażenia. Byłam przyzwyczajona już dawniéj do fantastycznych jego domysłów i do chorobliwéj żądzy bogactwa.

Więcéj wagi powinnam była przywiązywać do jego zamiaru wejścia z księżną w związek małżeński. Ale byłam tak zmęczona i przybita, tyle pocisków uderzyło dzisiaj we mnie, że nie byłam w stanie o tém nawet pomyśléć. Owładnęła mnie pewna apatya i rezygnacya na wszystko, co jeszcze mogło być przedemną.

Smutne, ponure były dni, które mieliśmy jeszcze tutaj przebyć. Nikt do nas nie przyszedł, nikt się o nas nie troszczył. Znajomi i przyjaciele, jakby wymarli, jakby morowa zaraza zmiotła ich z ziemi. A jeżeli kto przypadkiem się zabłąkał, to tylko z ciekawości, czy żyję jeszcze i czy mocno się postarzałam.

Widziałam, jak się z uwagą we mnie wpatrywa-

no, jak szukano na skroni zmarszczków lub plam żółtych.

Przychodziły także takie przyjaciółki, które miały gotowych kandydatów, chcących zbankrutowaną firmę moją pokryć swojém nazwiskiem.

Kandydatami tymi byli nietylko ludzie już dojrzali i przejrzali, ale nawet i młodzieńce pełni nadziei, którzy dla marnego mego posagu chcieli się dla mnie poświęcić.

Nawet i pani Iza przybyła wreszcie. Tłómaczyła się, że była chorą i że nie mogła na piérwszy sygnał nieszczęścia do mnie przybiegnąć.

Ściskała mnie i płakała nademną, a otarłszy łzy, starała się mnie przekonać, że nikt inny, tylko pan Achil, może mnie ocalić. Wyliczała jego dobre przymioty, mówiła wiele o jego skrytéj dla mnie miłości, która była jedynym powodem do pojedynku.

Słuchałam tego wszystkiego z apatyą, nie siląc się nawet odpowiadać. Uśmiechałam się gorzko, a nawet czasem napadała mię ochota drzemki.

Tak wielką była depresya moich nerwów.

To téż dzień naszego wyjazdu powitałam z radością jak student, który się na ferye wybiera.

Słońce świeciło pogodnie, a wiosenne jego promienie budziły do życia różne owady, które spiesznie podążały gdzieś, jak gdyby je kto wołał. Ze szpar w oknach wyłaziły drobne muszki, gotujące małe skrzydełka do lotu.

Przygotowania do podróży rozrywały moje smutne myśli.

Miałam przeczucie, że jakiś nowy rozdział rozpoczyna się w życiu mojém i żal mi było tylko, że ten, który się zakończył, obiecywał tak wiele, a poszedł na marne.

Jazda koleją żelazną, świst lokomotywy, tłok podróżnych, nawoływania i sygnały po stacyach — wszystko to było jak gdyby finałem sonaty, po któréj nowa sztuka nastąpić miała.

I już ujrzałam nawet nowy tytuł téj sztuki. Z dworca kolei, na którym czekały na nas powozy, obaczyłam w dali grupę drzew, z pośród któréj strzelał w obłoki krzyż białego kościoła, a poniżéj na brzegu rozsiadła się szara cerkiewka, o trzech kopułach. Wokoło była równina, a pola czarnéj ziemi ginęły w oddali na saméj krawędzi nieba.

Konie rwały się niecierpliwie, bo służba chciała się przed nowym dziedzicem popisać. Za kilkanaście minut wjeżdżaliśmy już w otwartą bramę nowéj rezydencyi.

Za bramą było coś nawet nakształt tryumfalnego łuku z zieleni, przetykanéj kwiatami.

A daléj, przed gankiem, stały dzieci z nauczycielem, na ganku księża, a ekonom z białemi włosami trzymał na srebrnéj tacy dla nas chleb z solą.

Tak weszliśmy w posiadanie nowego naszego dziedzictwa. W innych okolicznościach byłaby ta

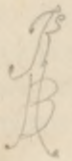
uroczystość inaczéj wypadła. Ojciec był hojny i lubił robić takie rzeczy z pewną ostentacyą.

Dzisiaj nie było humoru do tego. Przybyliśmy jako rozbitki lepszéj nadziei, chociaż wobec tych, którzy nas witali, uchodziliśmy za szczęśliwych spadkobierców.

Po skończonéj ceremonii udałam się na spoczynek, odkładając bliższe rozpatrzenie się w nowém mieszkaniu do jutra.

Koniec części drugiéj.

CZĘŚĆ TRZECIA.



XL.

Dom, który miał być naszą rezydencyą, wyglądał dosyć skromnie. O pałacach, balkonach, karyatydach, o których zrazu śniłam, nie było ani mowy. Był to budynek długi, piętrowy, bez żadnych ozdób. Ściany z kamienia miały mokre plamy, okna nie wszędzie były jednakie. Do sieni wchodziło się po schodkach na dół, gdzie z przegniłéj podłogi wychodziła woń niemiła. Stare, wydeptane schody prowadziły na pierwsze piętro do pokojów mieszkalnych.

Na dole były tylko mieszkania dla służby, kuchnia i różne składy.

Na piętrze było z dziesięć pokoi, ale wszystkie zaniedbane. Ś. p. pan Krzysztof był długo wdowcem i wcale tych komnat nie zamieszkiwał. Dziwnie one teraz wyglądały.

Przez ćwierć wieku nikt tu nie był, żadna szczotka nie zmiotła kurzu. Robak spokojnie toczył starożytne meble, chmury molów wylatywały z wybijanych kanap i foteli, a pająki prowadziły z sobą wojnę o zdobycz, walkę o byt.

Na to wszystko z długich złoconych ram patrzyli antenaci rodu spokojnie i obojętnie.

Tak wyglądał jeden, drugi, trzeci i czwarty pokój.

Światło dzienne wciskało się przez zapylone szyby, tworząc na ścianach i posadzkach fantastyczne arabeski.

Resztę pokoi przyrządzono naprędce dla nas.

Pani Zenobia zamieszkała komnatę, która dawniéj służyła żonie ś. p. Krzysztofa za sypialnię, a z którą graniczył mój pokój. Ojciec ulokował się w tak zwanéj zbrojowni, w któréj wisiała na jelenich rogach broń stara i nowożytna. Obok téj komnaty był mały pokoik, w którym niegdyś mieszkał ś. p. Krzysztof. Tam tyle mieściło się rupiecia i tak zatęchłe było powietrze, że nawet zaglądnąć nie było można.

W pokoju przypierającym do sali z antenatami, podano dla nas śniadanie. Siedzieliśmy właśnie przy herbacie, gdy w sali antenatów rozległ się jakiś turkot i hałas nieokreślony.

Coś zaczęło zgrzytać i jęczéć, potém zakukała

kukułka kilka razy, a po kukułce ozwała się muzyka.

Stary służący, widząc nasze zadziwienie, tłómaczył nam, że to ulubiony zegar ś. p. pana Krzysztofa, do którego muzykę aż z zagranicy sprowadził. Służący, chcąc nam przyjemność przy śniadaniu sprawić, nakręcił go rano i w ruch puścił.

Muzyka, która niewyraźnie do nas dochodziła, wydała mi się znaną. Chciałem ją zbliska słyszéć.

Weszliśmy wszyscy do sali antenatów. Szczególny przedstawił się nam widok. Przez jednę szybę wpadało słońce marcowe, zawieszone, jak pochyła belka w gęstém powietrzu. Antenaci z wysokich ram patrzyli marsem, kobiety stroiły słodkie minki, a zegar grał — żałobnego marsza Chopina!

Dziwną wydała się wszystkim ta muzyka. Stary zegar w kształcie obrazu, rzeźbiony, w złotych ramach wisiał na ścianie. Malowidło przedstawiało pejzaż szwajcarski. Z pomiędzy gór wyglądał biały kościół z wieżą. Na wieży był zegar, wskazujący godziny.

Służący nieboszczyka opowiedział nam, że pan jego szczególnie ten zegar lubił i że po śmierci żony swojéj tę muzykę do niego z zagranicy sprowadził. Miał go w swoim pokoju, a w nocach bezsennych przysłuchiwał się téj ulubionéj muzyce. Dopiéro, gdy był już mocno chory, kazał ten zegar wynieść do sali i nie pozwolił go nawet nakręcać.

Z uśmiechem słuchaliśmy tego opowiadania, a ś. p. Krzysztofowi nie mieliśmy wcale za złe, że po śmierci ukochanéj swojéj żony do zegara kazał wprawić marsz pogrzebowy i że z lubością w nocach bezsennych go słuchał.

Był to przecież jeden z najznakomitszych utworów naszego ziomka, a ś. p. Krzysztof był znanym powszechnie dziwakiem. Pani Zenobia wymówiła sobie jednak, aby zegara na noc nie nakręcać.

Po tym krótkim epizodzie rozeszliśmy się w różne strony.

Ojciec wyszedł oglądać budynki gospodarskie, pani Zenobia wróciła do lektury angielskiej, a ja, wszedłszy do mego pokoju, przystąpiłam do okna, aby się okolicy przypatrzéć.

XLI.

Okolica była smutna i jednostajna. Szeroka równina rozciągała się aż po brzegi nieba. Tylko gdzieniegdzie sterczały grupy drzew, majaczyły białe zagrody, a przy drogach rozsiadły się karczmy z otwartą gościnnie bramą.

Widok wiejski, cisza dokoła i świeże powietrze, w którém była już woń wiosny, poruszyły w méj pamięci dawne wiejskie wspomnienia.

Zgiełk i hałas miasta, który niedawno mię ota-

czał, nie przeszkadzał teraz tym wspomnieniom. Snuły się powoli i misternie, jak nici pajęcze, tworząc obrazy, miłe zbolałemu sercu.

Tamta grupa drzew, rzadko rzuconych przypomina mi owo wzgórze w mojém rodzinném ustroniu, gdzie siadywać i na świat tęskno patrzéć lubiłam. Przypomniały mi się pamiętne sceny z owego wzgórza, które dotąd zgiełk i hałas miasta zupełnie przygłuszał.

Słyszałam teraz wyraźnie te rozmowy nasze, któreśmy wspólnie z Jerzym prowadzili, a które wtedy dla mnie miały tyle uroku!

Zgiełk i hałas miasta, życie gorączkowe, zapełnione mnóstwem drobiazgów codziennych, nie pozwoliły tym rozmowom utrwalić się w pamięci, skazując je na zapomnienie, jako piękną, ale fantastyczną sielankę. Dziś ta sielanka wraca do życia, przybiera rumieńce i ubiera się w kwiaty wonne.

Myśli takie nachodziły mnie teraz codziennie. Sprzyjała im samotność, na jaką byłam skazana. Śniegi jeszcze wszędzie nie stopniały, ziemia była grząska, a ogród zupełnie zdziczały.

O wycieczkach nie można było ani marzyć, potrzeba było ograniczyć się na przechadzkach po tych zatęchłych ponurych komnatach i na codziennych poprzestawać rozmowach.

Sny młodéj wyobraźni i porywy serca były tak rozkoszne, tak piękne... Dlaczegóż je zatraciłam?

Gdzież się podziały i co było powodem, że pierzchły odemnie?

Zjawił się i stanął przedemną Jerzy, blady i zmęczony, jak go po raz ostatni w mieście widziałam. Dlaczego tak pobladł, i co go tak zmęczyło? Czy to ja byłam powodem? Wszak on mnie nie kochał, bo inaczéj nie byłby mnie tak obojętnie puścił na drogę, na któréj musiałam o nim zapomnieć.

On kochał mnie tylko wtedy, gdym mu była równą, a gdy los wyżéj mnie wyniósł, duma jego nie pozwoliła mu iść za mną.

To nie była duma, ale pycha, bo dogadzała tylko sobie, a innym cierpienie sprawiała.

Takiém rozumowaniem spychałam dawniéj winę z siebie na niego, takiém samém ułatwiłam sobie drogę i nowe sukcesa w salonach stolicy. Rozgrzeszyłam siebie, a Jerzego skazałam na zapomnienie. I było mi z tém dobrze.

Dzisiaj odnawiał się ten proces w mojém sercu. Przesłuchałam Jerzego na nowo, przypomniałam sobie każde jego słowo, każde spojrzenie.

Widzenie się z nim w mieście i przypomnienie wszystkiego, co wtedy zaszło, sprawiało mi bardzo gorzkie wyrzuty. Przypomniałam sobie całą naszą rozmowę, prowadzoną w jego obecności, która dawała mu o mnie jak najgorsze wyobrażenie. Była tam mowa o księciu, jako o moim konkurencie, o księ-

żnéj i o różnych innych świetnościach, które mogły wszelkie jego nadzieje zdruzgotać.

Jakże on małym mógł się czuć wobec takich wielkich świetności? Czyż mógł on wtedy zamarzyć o mnie? Nie pozostało mu nic innego, jak zerwać ostatnią nić swoich marzeń krótkiém: „Jutro rannym pociągiem wyjeżdżam!"

Czy wtedy dałam mu jaką pociechę na drogę? Wytłómaczyłam to sobie na jego niekorzyść i uwierzyłam, że to on zrywa ze mną.

Tymczasem był to fałsz wierutny. Wiara ta była mi wtedy potrzebną, aby sumienie uspokoić, aby iść daléj ponętną drogą sukcesów światowych i nie przerywać tego słodkiego odurzenia, które mi w perspektywie ukazywało mitrę książęcą.

Mimo to Jerzy nie odjechał rannym pociągiem.

Zbyt boleśnie było mu zerwać tę nić ostatnią, która go do mnie wiązała. Chciał jeszcze raz widzieć się zemną, ulegając memu życzeniu.

Przyszedł—i jakże go przyjęłam? Oto, zbierając się na wizyty, kazałam go odprawić...

Jeszcze dotąd słyszę jego krogi na korytarzu, gdy od drzwi moich odchodził. Szedł powoli, jakby go napowrót coś do mnie ciągnęło, zatrzymał się na pierwszym schodzie, a potém spuszczał się na dół coraz niżéj, jakby w przepaść się zapadał. I wszystko ucichło, jak gdyby już było po wszystkiém.

Czemu dzisiaj tak jasno i wyraźnie to sobie przy-

pominam? Cóż wtedy zamąciło mi słuch i głowę, że o tém wcale nie myślałam? Były to owe blaski, które mnie olśniewały na nowéj drodze, a o których mówił Jerzy przy pożegnaniu, że mnie zmienić mogą.

Któż więc zawinił? Przecież nie on, tylko ja.

Posądzałam go o dumę, a raczéj pychę, że do mnie się nie zbliżył, gdy mię los tak wysoko wyniósł.

Dzisiaj widzę, że on nie mógł inaczéj postąpić.

Moim to było obowiązkiem zejść do niego z mojéj wysokości i nie dać mu nawet uczuć, że do niego schodzę. Do swojéj dumy miał wszelkie prawo, a byłby wstrętnym, gdyby upadł przedemną, jak przed wyniosłą królową i błagał o uśmiech, jak o jałmużnę.

Jerzy nie mógł tego uczynić, ja powinnam była zbliżyć się do niego. Nie uczyniłam jednak tego.

Moje rozumowania i podejrzenia były fałszywe. Dyktował je zły duch, który we mnie wszedł, gdy zostałam nagle bogatą i na nowéj drodze pokazywał mi cudne miraże.

Dzisiaj, gdy te miraże zniknęły, gdy zamiast szczęścia, zostawiły mi ciernie w zbolałem sercu, widzę jasno, że to wszystko było tylko odurzeniem, a w głębi duszy tkwiło niestarte wspomnienie tych złotych marzeń, które w rodzinném ustroniu cały mój światek wypełniały.

Czy Jerzy zechce mi to wszystko wybaczyć?

Czy zechce w swoje objęcia przyjąć zbłąkaną kobietę? Czyż nie powie jéj, że dlatego wraca do niego, bo się jéj nie udało wygrać losu wielkiego na wielkim świecie? Co gorsza, mógłby jéj powiedzieć, że dlatego wraca do niego, bo złośliwe języki zagrodziły jéj drogę tam, gdzie było tak rozkosznie.

Przy tych refleksyach załałam się łzami. Świadczyły one, że w głębi duszy kochałam Jerzego, ale duma moja nie pozwalała mi powiedzieć mu o tém. Czułam się winną, ale nie chciałam jako taka zbliżyć się do niego, lecz chciałam, aby on sam mi przebaczył.

Być może, że żądałam tego, czego dawniéj sama nie uczyniłam. Nie chciałam zejść do niego, a dzisiaj żądam, aby do zbłąkanéj zeszedł i ją do siebie podniósł. Ale taka już natura kobieca. Nawet miłość nie może jéj zmienić.

Takie rozmyślania zapełniały teraz wszystkie dni i noce bezsenne. W miarę, jak niedawne rany z doznanych zawodów powoli się zabliźniały, ożywiały się wspomnienia z rodzinnego ustronia.

Dawne sny i pragnienia wracały znowu do życia i niepokoiły serce żądne szczęścia. A gdy przedemną pojawił się Jerzy, blady, zmęczony, jak go ostatni raz widziałam, otwierałam do niego ramiona, aby go uścisnąć i na całe życie przy sobie zatrzymać.

Już tylko o tém dzisiaj marzyłam.

XLII.

Tymczasem ojciec mój szukał ukrytych pieniędzy. To szukanie stało się teraz u niego prawdziwą namiętnością. Nie umiałam sobie tego dobrze wytłómaczyć.

Wiedziałam, że ojciec zawsze cenił wysoko pieniądze. Gdy był w biedzie, zabawiał się czytaniem wygranych na loteryi numerów, a o nieodebranych za nie pieniądzach marzył po całych nocach. Mawiał nieraz, że pieniądze są wszystkiém i że za pieniądze można wielkich rzeczy dokazać.

Nie chodziło mu przytém, aby za pieniądze dobrze żył i bawił się, ale aby przez wydawane pieniądze zwracał uwagę na siebie. Chciał, aby na niego palcem wskazywano, aby mu ustępowano z drogi, a w życiu towarzyszkiém, aby do niego z powitaniem się zbliżano. To była jego duma, a téj dumie mógł wiele, bardzo wiele pieniędzy poświęcić.

Ostatnie w stolicy zajścia podrażniły go. Powziął żal do ludzi i chciał się na nich zemścić. Chciał zabłysnąć, jak meteor, światłem nadzwyczajném, olśnić wszystkich, a gdyby olśnieni na twarz przed nim padli, chciał ich łaskawie podnieść i z sobą zrównać. To była dzisiaj jedyna jego żądza.

Odziedziczony majątek był znaczny, ale nie można było naraz wykrzesać z niego wielkich pienię-

dzy. Coś można było naprędce pożyczyć, ale to ojcu nie wystarczało.

Najprzód potrzeba było majątek uporządkować i wybudować nowy dom mieszkalny, jeżeli nie zamek, jak to ojciec w żarcie czasem napomykał, to przynajmniéj pałacyk.

To jednak było na drugim planie, a na pierwszym zaślubienie księżnéj i okazały wyjazd za granicę, gdzie ojciec spodziewał się niesłychanych rzeczy.

Na to potrzeba było wielkich pieniędzy. Pieniędzy tych nie było pod ręką, potrzeba było je — znaleźć.

Ś. p. Krzysztof miał znaczne pieniądze i schował je gdzieś dobrze, jak to robi każdy skąpiec i dziwak.

Ojciec wierzył teraz w te ukryte pieniądze, a wierzył tém więcéj, im więcéj ich pożądał.

Poszukiwanie tych pieniędzy stało się prawie manią u niego. Zdaje się, że o niczém inném nie myślał. Opowiadania sług utwierdzały go w mniemaniu, że pieniądze są gdzieś schowane.

Taił się jednak z tém i tylko sam po nocach lustrował wszystkie komnaty i przetrząsał różne skrzynki. Jeżeli mu pilno było, to we dnie zamykał się w tym lub owym pokoju pod pozorem, że stare regestra gospodarskie przegląda. Obchodził także dwór dokoła, przypatrywał się altanom i starym

dębom z dziuplami, badał na dziedzińcu różne zagłębienia.

Stosownie do tego, czém dzisiaj żył i oddychał, twarz jego przybrała niezwykły wyraz. Była zawsze zarumieniona, na czole wyprężyły się żyły, oczy były w głąb' wciągnięte, jakby siłą jednéj i téj saméj długotrwałéj myśli.

Mało mówił, a przy obiedzie lub herbacie niepokoił się długiém siedzeniem.

Widziałam to wszystko, ale miałam nadzieję, że ten chorobliwy stan przeminie. Mówiłam mu często, jak człowiek niewiele do szczęścia potrzebuje i jakbym była szczęśliwą, gdybyśmy do rodzinnego naszego ustronia pojechali.

Słowa te drażniły ojca, który z gniewem odpowiadał:

— Dobrze, dobrze, ale wprzódy potrzeba pieniędzy.

Pewnego dnia był ojciec więcéj, niż zwykle, podrażniony. Siedział dłuższy czas w sypialni ś. p. Krzysztofa, gdzie było powietrze, z powodu mnóztwa rupieci zatęchłe. Przez drzwi uchylone widziałam stary fotel, w którym nieboszczyk przez kilka dziesiątek lat zwykł był siadywać. Był on niegdyś wyciskaną skórą obity, na któréj gdzie niegdzie pozostały nawet złocenia. Dzisiaj pokrywały go tłuste plamy, pleśń zielona i różnobarwne łaty. Od łopatek

w plecach wygniotły się dwie dziury, z których wychylała się sierść, jak zwity kołtun.

Fotel ten widziałam teraz rozpruty i sierść starannie rozskubaną. Dalsze sprzęty były poprzewracane.

Nie wiem, czy ojciec tam co znalazł, ale wyszedł ztamtąd podrażniony i zamyślony. Być może iż gniewała go tylko daremna jego praca i że w starym fotelu nic nie znalazł.

Przy wieczornéj herbacie wzmogło się jeszcze więcéj jego rozdrażnienie. Odzywał się z ironią, jakby miał żal do świata. Nie przebaczył nawet nieboszczykowi, że dwór zaniedbał, że meblom dał pognić i że zgoła porządnych regestrów gospodarskich nie zostawił.

Krytykował nieudolne gospodarstwo, utrzymywał, że z tak znacznych dochodów powinny były zostać kapitały, których regestra nie wykazują.

Wszystko przypisywał dziwactwu nieboszczyka, który siedział na pieniądzach, a o krewnych nic nie chciał wiedzieć. Byłby nawet krewnych skrzywdził i majątek na dziady zapisał, gdyby go śmierć nie była zaskoczyła.

Nic na to nie odpowiedziałam, bo ojciec w takim razie tylko się irytował. Był on i tak dzisiaj podrażniony, nie chciałam więc dolewać oliwy do ognia.

Pani Zenobia od niejakiego czasu była cierpiącą.

Zdaje się, że nieudane projekta w stolicy przygnębiły ją. Siedziała milcząca i nic się nie odzywała.

Skończywszy rzecz o nieboszczyku, sięgnął ojciec do kieszeni, jak gdyby sobie coś przypomniał.

— Dostałem dzisiaj list od księżnéj, — rzekł, rozwijając wonny różowy papier — która pyta o wasze zdrowie. Dla Anetki tysiące uścisków. Nazywa cię pieszczotką swoją, o któréj we dnie i w nocy śni i marzy. Kocha cię nad życie i myśli ciągle o twojém szczęściu. Chce nas tutaj odwiedzić, byle tylko drogi się poprawiły.

List sprawił na mnie przykre uczucie. Przypomniał przeszłość niedawną, którą już w grobie złożyłam. Nic jednak ojcu nie odpowiedziałam. Sam podjął dalszą rozmowę:

— Nie na rękę jest mi ten przyjazd księżnéj. Życzyłbym sobie bardzo tego, a głównie dla ciebie, moja Anetko, która tu siedzisz jak zakonnica, ale wśród dzisiejszych okoliczności wolałbym, aby to nie nastąpiło. Dom nasz wygląda jak karczma obdarta, służba nie ubrana należycie, a ekwipaże pamiętają czasy Noego. Słowem, nie mogę jéj przyjąć tak, jak na to zasługuje, bo tutaj potrzeba wszystko z gruntu burzyć i nanowo stawiać. Przeznaczam na to czas, gdy wyjedziemy za granicę. Pisałem nawet w tym względzie do Barskiego, aby przyjechał.

Ostatnie słowa poruszyły w mém sercu rój marzeń.

Wiedziałam teraz, że wkrótce nadejdzie dla mnie chwila stanowcza. A gdy ojciec powstał i służącemu lampę do sali antenatów zanieść rozkazał, chwyciłam go za rękę i tak serdecznie ucałowałam, jak gdybym mu podziękować chciała za drogocenny podarunek.

Ojciec spostrzegł moje wzruszenie, a odgarnąwszy mi włosy z czoła, patrzał na mnie czas niejaki z miłością.

— *Ma chère enfant,* — rzekł rozczulony — cierpię razem z tobą, ale te cierpienia przecież się skończą. Pobyt nasz tutaj niewesoły, a ja nawet z wami ciągle być nie mogę. Ot, i dzisiaj muszę w nocy przeglądać regestra gospodarskie, a nie chcąc wam przeszkadzać, wynoszę się do sali.

Rzekłszy to, pocałował mię w głowę, a ja uściskałam go tak gorąco i z tak dziwném wzruszeniem, że w tym uścisku chciałam go długo bardzo długo zatrzymać.

Być może, że do tego uścisku przyczynił się Jerzy, a może było to przeczucie czegoś...

Służący zaniósł do sali antenatów lampę i kilka grubych ksiąg gospodarskich. Za nim wyszedł ojciec, a myśmy się rozeszły do naszych komnat.

XLIII.

Po tém, co mi ojciec powiedział, nie mogłam długo zasnąć. Jerzy miał przyjechać, a ja miałam go

zobaczyć. Teraz dopiéro rozgrywał się mój los. Wszystko inne było fałszem i złudzeniem. Mówiło mi to serce, które głośno biło, mówiły wszystkie nerwy, które drgały rozkosznie, jak drgają struny arfy, trącone ręką mistrza.

Tysiące snów i marzeń przebiegło mi przez serce, tysiące wspomnień z rodzinnego ustronia stanęło mi przed oczy.

Byłam prawie szczęśliwą, bo zdawało mi się, że szczęśliwą być muszę. Jeżeli w czém wykroczyłam, to już odpokutowałam bolesném rozczarowaniem. Z wszystkiego chciałam mu się wyspowiadać, jak w konfesyonale, nawet z owéj lekkomyślnéj gry z Cherubinem, o któréj dzisiaj nawet myśléć nie lubiłam! Wszystko to chciałam wypowiedzieć przed nim, prosząc o rozgrzeszenie. Czy mnie rozgrzeszy— o tém dzisiaj nie myślałam.

Godziny mijały, kury piały w zagrodach wiejskich, za płócienném starém obiciem goniły się myszy, a z pod ciepłego pieca odzywała się kolonia świerszczów, którym przez dziesiątki lat nikt prawa bytu nie zaprzeczał. Wszystko to składało się razem na owe akordy nocy, w których się tyle dla nas mieści tajemnic.

Słyszymy w nich często to, czego pragniemy lub czego się obawiamy. Piérwsze napawa nas radością, drugie trwogą.

U mnie zmieniały się te uczucia. Raz zdawało

mi się, że do mego szczęścia już niedaleko, — drugi raz ogarniała mnie jakaś trwoga nieokreślona, jakbym przeczuwała zbliżające się nowe nieszczęście.

I właśnie w jednym z tych paroksyzmów serca usłyszałam w sali antenatów jakiś stuk głośny, jakby coś ciężkiego upadło na posadzkę.

Spojrzałam na zegarek, była piérwsza po północy.

Cóżby to być mogło? Czy ojciec tam czuwa jeszcze?

Zdawało mi się, że w ciszy nocnéj słyszę jakąś muzykę... Wszak to marsz pogrzebowy!

Ogarnęła mnie trwoga nieopisana.

Zarzuciłam płaszczyk na siebie, wzięłam świecę i wyszłam z pokoju.

Otworzyłam drzwi do sali... spojrzałam w głąb'... Cóż to za widok przedstawił się oczom moim?

W głębi sali stała na stole lampa, a obok niéj dwa biusty z bronzu. Znałam dobrze te biusty. Wyobrażały one dwóch greckich filozofów, z których jeden śmiał się, a drugi płakał.

Na jednym z nich stał oparty zegar, zdjęty ze ściany i grał marsza żałobnego Chopina. W tyle zegaru umieszczona skrzynka była otwarta.

Przed zegarem stała zapalona świeca.

Ojciec siedział w fotelu, z opartą na poręczy głową. Ręka jedna była zwieszona ku ziemi. Na ziemi leżały jakieś papiery. Z drugiéj strony leżał młotek, który prawdopodobnie spadł ze stołu.

Ojciec miał twarz siną i oczy mocno otworzone. Patrzał przed siebie, ale bez ruchu powiek.

Pobiegłam do ojca i upadłam do nóg jego.

Świecca wysunęła mi się z ręki, a zatoczywszy się kręgiem, paliła się daléj przerywanym płomieniem.

Nie wiedziałam co się ze mną dzieje. Straciłam wszelką władzę. Nie mogłam wstać, ani krzyknąć. Byłam, jak we śnie, bezwładną. Szamotałam się napróżno, wola moja nie odnosiła żadnego skutku. Słuch tylko i oczy nie wypowiedziały służby.

A jakże straszną była ich służba!

Widziałam ojca, siedzącego nieruchomie w fotelu, a zdawało mi się, że widzę nieboszczyka.

Oczy jego miały blask szkła, ale nie miały już życia. Twarz była sina, na skroniach żyły naprężone, jakby pęknąć miały!

A zegarowa maszyna grała — marsza pogrzebowego.

Byłam blizka omdlenia — ale nie omdlałam. Musiałam patrzéć i słuchać.

Migająca u nóg moich świeca rzucała dziwne światło na portrety w wysokich ramach, które zdawały się patrzéć na tę okropną scenę.

A nieubłagana maszyna grała daléj marsza żałobnego. Oddawała dokładnie jęki oddalonych dzwonów i prowadziła z precyzyą pienie żałobne aż do ostatnich, przerażających akordów.

Teraz dopiéro wróciły mi siły. Zerwałam się i wzięłam ojca za rękę.

Zegar umilkł — grecki filozof śmiał się — ojciec nie żył!

Krzyknęłam na służbę.

Zbiegła się służba, nadeszła i pani Zenobia — ale wszelki ratunek był nadaremny!

Ojciec nie żył — tknęła go apopleksya.

Podniosłam leżące na ziemi papiery, które prawdopodobnie wyjęte były z grającéj szkatułki w zegarze.

Był to testament ś. p. Krzysztofa, przekazujący cały majątek na cele dobroczynne. Ojciec szukał pieniędzy — znalazł testament.

XLIV.

Nagła śmierć ojca usunęła wszystko inne na drugie miejsce. Był to dla mnie cios tak bolesny, a tak niespodziewany, że długo nie mogłam przyjść do siebie. Ojciec kochał mię bez granic i był przekonany, że wszystko to, co robił, robił tylko dla mnie.

Byłam pewną, że mi niczego nie odmówi i że nawet ostatnim moim marzeniom zadosyć uczyni, jeżeli to stanie się koniecznem, a na taką konieczność byłam już zdecydowaną.

Towarzyszące śmierci okoliczności odurzyły mnie

ale po nad wszystkiém górowała boleść i rozpacz z powodu utraty ojca. Pani Zenobia zaniemogła ciężko. Uznałam za stosowne zostawić ją w nieświadomości wszystkich następstw téj strasznéj katastrofy. Z sąsiadów mało kto się zjawił, bo ojciec jeszcze się z nimi nie zapoznał. Wszystko spoczęło na moich barkach.

Nad wieczorem drugiego dnia przyjechał Jerzy. Był jeszcze bledszy, aniżeli wtedy, gdy go po raz ostatni widziałam. Zresztą, może nie widziałam go dobrze, bo gdy się ze mną witał, miałam oczy łzami zalane. Czułam tylko gorący uścisk jego ręki, co na teraz było jedyną moją pociechą.

Oprócz rzeczy, odnoszących się do pogrzebu, o niczém inném nie mówiliśmy ze sobą. Cały czas był tém zajęty.

Pogrzeb był cichy, bez żadnéj parady. Jakkolwiek rozesłano uwiadomienia licznym znajomym i przyjaciołom, nie starczyło jednak czasu, aby się większy zebrał orszak.

Nad wieczorem, gdy już nikogo z obcych we dworze nie było, wszedł do mnie Jerzy, aby ostatecznie rachunki załatwić.

Rachunki nie trwały długo.

Po skończonych rachunkach nastąpiła długa pauza.

Jerzy patrzał na mnie, jakby czegoś jeszcze ocze-

kiwał, a ja przeciągałam milczeniem chwile, które go od nieprzeczuwanéj nowiny oddzielały.

Nowiną tą, która miała zmienić moje położenie, był testament.

Długo przeciągałam, bo do wyjawienia tego, o czém on jeszcze nie wiedział, brakło mi odwagi.

Patrzał na mnie tak dziwnie. Spojrzenia te znałam z dawniejszych wspomnień, ale domieszało się teraz do nich coś innego. Był w nich jakiś smutek i żal, a od czasu do czasu przemawiał z nich wyrzut bolesny.

— Czy wszystkie rachunki już skończone? — zapytał, nie zmieniając spojrzenia.

— Rachunki? — odpowiedziałam ze łzami, które mi oczy zasłoniły — rachunki jeszcze nie zamknięte, ale zamknąć je musi... nieubłagana konieczność!

— Przy dobréj woli i zacnych chęciach ustają wszelkie inne względy, a nawet konieczność.

Uśmiechnęłam się przez łzy na te cieplejsze słowa, a wziąwszy leżące na biurku papiery, podałam Jerzemu.

Był to testament.

Jerzy zaczął czytać. Czytał z coraz więcéj wytężoną uwagą. Blada twarz jego ożywiła się, na środku czoła pojawiły się dwie poważne zmarszczki.

— Zkądże się dostał ten dokument do rąk pani? — zapytał, patrząc na mnie z uwagą.

Opowiedziałam mu wszystko. Sprawiło to na nim wielkie wrażenie.

— Czy pani czytała ten dokument? — zapytał po chwili.

— Czytałam.

— Czy pani wiész, że ten dokument odbiera cały spadek?

— Wiem.

Jerzy patrzał na mnie z niepokojem. Zdawało się, że czegoś się obawiał. Otworzył usta, jak gdyby chciał daléj pytać, ale usta tylko zadrgały, a żadne słowo z nich nie wyszło.

Nastąpiło milczenie tak głębokie, że mogłam słyszéć nasze serca bijące.

— Cóż pani teraz chcesz zrobić? — zapytał wreszcie, ale tak cicho, jakby mu tchu nie stawało.

— Złożyć ten testament w sądzie! — odpowiedziałam bez namysłu.

Jerzy zarumienił się na twarzy, a z oczu jego błysnął ogień, jakby doznał bardzo przyjemnego uczucia. Chwycił mię za rękę i z całą siłą uścisnął.

— Dziękuję pani za tych kilka słów! — zawołał z uniesieniem — słów, które przypomniały mi panią w piérwszych moich marzeniach!

— Czy późniéj zmieniłam się bardzo? — zapytałam przez łzy.

Jerzy patrzał na mnie smutno, chociaż resztki odczutego zadowolenia walczyły jeszcze zwycięzko ze smutkiem. Na moje pytanie nie odpowiedział

— Dlaczego dziękowałeś mi pan za odpowiedź moją co do testamentu?

— Żeś pani nie namyślała się nad nią wcale.

— Czy jest tu nad czém namyślać się?

— Być może, iż kto inny... byłby się dłużéj nad tém zastanawiał.

— Nie rozumiem tego.

— Dokument ten... tak ważny... zmienia nagle położenie rzeczy.

— Jestem tam, gdziem była przed spadkiem.

W oczach Jerzego zamigotał blask przyjemnych wspomnień, ale na twarzy jego wybił się wyraz smutku.

— Życzyłbym sobie, abyś pani była pogodną, jaką przed spadkiem byłaś — rzekł po chwili zamyślenia.

— Ale nie będę tak szczęśliwą, jak wtedy!

Zalałam się łzami i zaczęłam płakać.

— Wszak to od pani zależało...

Osuszyłam łzy i spojrzałam na Jerzego.

— Nie wiem, jaka myśl ukrywa się w tych słowach, — rzekłam, przymuszając się do spokoju — ale jeśli ona dotyczy niedawnéj mojéj przeszłości, to mogłabym na to panu wiele, bardzo wiele odpowiedzieć. Czy z tego co nie doszło już do pana?

Jerzy uśmiechnął się smutnie i spojrzał z wyrzutem.

— Wieści takie mają zazwyczaj ptasie skrzydła— odpowiedział.

— Jeżeli pan wiesz, to byłabym do tego tylko pewne komentarze dodała, któreby przedstawiły rzeczy we właściwém świetle, ale dzisiaj — po tym dokumencie, rachunek mój na zawsze zamknięty.

— Dlaczego?

— Sytuacya tym dokumentem zupełnie zmieniona.

Oczy moje zaćmiły się łzami.

— Sytuacya jest wprawdzie zmieniona — odparł Jerzy — ale zmiana taka nie powinna przecież ludzi zmieniać.

— Ale zmienia ich stosunek do siebie.

— Niech pani to jaśniéj powie.

— Nim ten dokument z ukrycia na jaw wyszedł, miałam panu wiele, bardzo wiele do powiedzenia. Sądzę, że po wysłuchaniu mógłbyś pan był mnie rozgrzeszyć, ale dzisiaj, gdy nasz zamek, na lodzie zbudowany, zatopił się, gdy urojone bogactwo nasze rozprysło się, jak bańka mydlana—dzisiaj już tego nie mogę panu opowiedzieć. Nagła zmiana sytuacyi zamknęła mi usta na zawsze.

Wytężyłam wszystkie siły, aby po tych słowach okazać się spokojną.

Jerzy patrzał na mnie z uwagą, jakby chciał dowiedzieć się, co w głębi méj duszy się dzieje.

— Cóż panią więcéj zmusza do milczenia, prócz zmiany sytuacyi?

— Słuszne podejrzenie, że to, cobym mogła powiedziéć, byłoby powiedziane pod przymusem nowego położenia.

— Czy sądzisz pani, że kobiecie, która przestała być bardzo bogatą, nie można uwierzyć?

— Kobieta taka przedewszystkiém nie chce się upokorzyć wobec bogatszych.

— Któż pani powiedział, że ja jestem bogatszy?

— Jesteś pan nim, bo ja nic nie mam.

Smutny uśmiech przebiegł po twarzy Jerzego.

— Czy pani kto to powiedział?

— Postanowiłam, o ile można, zwrócić sądowi, summę, którą wziął ojciec z funduszu, przeznaczonego na cele publiczne. Na to przeznaczam resztki naszego majątku rodzinnego.

Przy tych słowach cisnęły mi się łzy do oczu.

Jerzy patrzał na mnie z jaśniejszym blaskiem w oczach.

— Piękną i wzniosłą byłaby taka ofiara ze strony pani — rzekł z widocznem ożywieniem — ale ofiara ta tym razem nie jest biednym potrzebną. Ojciec nie podniósł ze spadku żadnéj większéj summy. Stały temu na przeszkodzie niezałatwione różne formalności sądowe, a wieści o zapisie dla biednych nie przestawały kursować. A że prawny doradca ojca był także wstrzemięźliwy, nie pozostało nic innego,

jak rodzinny majątek obciążyć najwyższą pożyczką. Ułatwili ją wierzyciele, ustępując pierwszeństwa bankowi.

— Ci muszą być wszyscy zapłaceni. W takim razie jestem zawsze ubogą!

Jerzy patrzał na mnie czas niejaki. Głębokie współczucie, a nawet litość malowały się w jego spojrzeniu. Wzbudziło to we mnie przykre uczucie.

— Więc tylko litość ma dla mnie— pomyślałam sobie — litość dla biednéj, nieszczęśliwéj kobiety?

Z dumą podniosłam głowę.

— Więc na dzisiaj rachunek skończony—ozwałam się spokojnie, choć łzy drżały w mym głosie.

— Pani wyrządzasz mi wielką krzywdę!—odpowiedział, a spojrzenie jego było jeszcze smutniejsze.

— Jaką krzywdę?

— Płacąc takim chłodem za moją gorącą życzliwość.

— Wszak taką samą krzywdę wyrządziłeś mi pan, gdym porzucała ustronie rodzinne.

— Stałaś pani wtedy tak wysoko!

— Taki sam, tylko odwrotny stosunek, jest dzisiaj między nami. Duma nie pozwalała wtedy panu zbliżyć się do mnie, ta sama duma każe mi pozostać na miejscu, na które wyrokiem losu, spadłam z mojéj wysokości.

Jerzy patrzał na mnie z uwagą. Na jego ustach drgał uśmiech nieokreślony.

— Masz pani słuszność — rzekł po chwili — że moja duma nie pozwoliła mi iść za panią na tę wysokość, na któréj ją ten spadek postawił, ale obowiązkiem pani było podać mi rękę.

— Przyznaję się do winy, którą chciałam zmazać postanowieniem, powziętém jeszcze wtedy, gdy ojciec żył, a testamentu nie było.

Jerzy chciał mnie ująć za rękę, ale cofnęłam ją.

— Nie chesz mi pani dać ręki swojéj uścisnąć za te słów kilka, które są zdolne wszystkie rany mego serca ukoić?

— Słowa te mogą być niekoniecznie prawdziwe, bo wymawia je kobieta, która wszystko straciła. Miałyby one inne znaczenie, gdyby głowę téj kobiety otaczała aureola bogactwa.

— Nie jesteś pani przecież i dzisiaj tak ubogą.

Wyciągnęłam do Jerzego rękę.

— Wdzięczną jestem panu za złudzenie, które mi sprawić chciałeś, ale serce moje odgadło je. Owym wierzycielem, który pożyczce bankowéj pierwszeństwa odstąpił, jesteś pan. A sama pożyczka dosięga już prawie całéj wartości majątku.

Nieznaczny uśmiech przebiegł po twarzy Jerzego.

— Zkąd pani to wiesz? — zapytał. — To groziłoby niebezpieczeństwem...

— Dziś grozi nawet naprawdę niebezpieczeń-

stwem, ale sprzedam wszystko co mam, aby to niebezpieczeństwo odwrócić.

Oczy moje zalały się łzami. Jerzy chwycił mię za rękę.

— Pozwól mi pani położyć koniec tym wszystkim, nie zawsze słusznym, domysłom. Przypadek losu chciał panią wynieść na wyżynę bogactwa, ale gdy to urojone bogactwo znikło, nie zostałaś pani jeszcze tak ubogą. Wysoka pożyczka, którą ojciec zaciągnął w nadziei spłacenia jéj z funduszów nowéj sukcesyi, pochłonęła wprawdzie większą część rodzinnego majątku, ale przy pracy i oszczędności można się jeszcze przy nim utrzymać. Jeżeli więc w sercu pani nie wygasły wspomnienia z tego ustronia rodzinnego... — mówiąc to, przycisnął rękę moją do swojéj piersi, w któréj serce mocno biło, a potém zaczął ją gorąco całować.

Wyrwałam rękę i zasłoniłam oczy, do których się łzy cisnęły.

— Nie, nie — zawołam wśród płaczu — to być nie może! Jeżeli przed śmiercią ojca i przed znalezieniem testamentu nie mogłam panu powiedzieć, co w mém sercu się dzieje, to teraz już zapóźno.

— Przeciwnie, wtedy ta sama duma, która mi do pani zbliżyć się nie pozwoliła, kazałaby mi obojętnie wysłuchać tego wyznania, z którém dzisiaj sam przychodzę.

— A ja właśnie z téj saméj przyczyny dzisiaj nie mogę go przyjąć.

Oboje spojrzeliśmy na siebie. Postanowiłam wytrwać w tém, co powiedziałam. W spojrzeniu Jerzego malowała się także silna wola, że od swego zamiaru nie odstąpi.

Długi czas mierzyły się z sobą nasze spojrzenia. Wreszcie smutny uśmiech przebiegł po twarzy Jerzego.

— Cóż pani chce począć? — zapytał.

— Pójdę w służbę!

— W służbę?

— Przyjmę posadę nauczycielki, lektorki lub kobiety do towarzystwa.

Jerzy spojrzał smutno na mnie. W oczach jego błysnęły łzy.

Zaczęłam płakać spazmatycznie.

Jerzy chwycił mnie za ręce i nie pozwolił oczu zasłonić. Uczułam na mych rękach gorące pocałunki, ale uczułam przytém kilka łez gorących.

Wszystkie sprzęty zaczęły koło mnie krążyć, przed oczyma pociemniało, przytomność opuściła mnie.

Czułam tylko, że jakaś cieplejsza atmosfera otoczyła mnie, że to ciepło rozgrzewa mi serce zbolałe, w którém zaczęły się roić, jak gdyby zbudzone złote

muszki, dawne sny i rojenia, które już były w niém zamarły.

I przywidziało mi się owo wzgórze, otoczone dokoła sosnami, na które siadywaliśmy dawniéj razem z Jerzym. W pamięci mojéj odżyły wszystkie jego słowa, spojrzenia i te, wymowniejsze od słów, uściski ręki i to wszystko, co wtedy w zachwytach moich widziałam.

Wszystko to tłoczyło się teraz w mojéj pamięci, z pamięci przechodziło do serca, a serce mówiło, że to szczęście... że to jedyne moje szczęście. Dawny mój mały światek stanął mi żywo przed oczyma.

Gdy to widzenie przeminęło, otworzyłam oczy.

Siedziałam na fotelu, a u nóg moich klęczał Jerzy, pochylony nad ręką którą całował.

I moja głowa pochyliła się i oparła na jego ramieniu.

Powiedziałam mu do ucha słów kilka — a te słowa złączyły nasze serca na zawsze.

. . . . . .

Wkrótce potém przyjechał do dworu zwykły gość pośmiertny. Był to urzędnik sądowy, który przybył, aby spisać akt zejścia i obliczyć pozostały majątek.

Wyszliśmy do niego oboje z Jerzym.

Urzędnik powitał nas oficyalném współczuciem, mówił o nieboszczyku ojcu i o mnie, jako pozostałéj

sierocie, a w końcu zrobił pauzę, po któréj miało nastąpić jego urzędowanie.

Wójt i potrzebni do tego świadkowie i rzeczoznawcy czekali w przedpokoju.

Na zapytanie, czy kapitałów w gotówce nie ma, przyniosłam mu z mego pokoju testament ś. p. Krzysztofa.

Urzędnik zaczął czytać. Co się przy tém z nim działo, trudno opisać. Krew nabiegła mu do twarzy, oczy wyłaziły na wierzch — to znów bladł, a oczy w głąb zapadały. Patrzał to na mnie, to na Jerzego, to znów oczy na dokument spuszczał. Ręce jego trzęsły się, jak u paralityka, a z piersi wydobył się oddech chrypliwy.

Poczciwy człowiek! Nieszczęście moje było tak wielkie, że on nie mógł go od razu objąć. Nie mógł znaléźć słów, aby do mnie przemówić.

Patrzał z całém natężeniem to na mnie, to na Jerzego—a potém oglądał się po całym pokoju, jakby chciał się przekonać, czy nie ma jakiego niepotrzebnego świadka, i czy drzwi są zamknięte...

Czas niejaki milczał, jakby myśli chciał pozbierać.

— Ha, cóż robić! — zawołał po chwili i przystąpił do urzędowania.

. . . . . .

Późną już nocą, gdy się wszyscy rozejść mieli na spoczynek, podszedł do mnie Jerzy i wziął mię za rękę.

— Jutro rano — rzekł do mnie — jadę do stolicy, aby niektóre interesa załatwić.

Słowa te, napozór tak zwykłe, sprawiły na mnie wrażenie. Wrażenie to zwiększyło się jeszcze, gdy obecni odeszli, a my tylko zostaliśmy oboje.

— Czy koniecznie masz pan jechać? — zapytałam z jakąś niewytłómaczoną obawą.

— Koniecznie — odpowiedział Jerzy spokojnie.

Spokój ten przy pożegnaniu z kilkogodzinną narzeczoną zadziwił mnie.

— Tak spokojnie żegnasz się ze mną!—rzekłam do niego, opierając gorące skronie na jego ramieniu.

Gorąca łuna buchnęła od jego twarzy. Przycisnął mię do piersi swojéj.

— Po cóż było mnie budzić z mego spokoju — odpowiedział z uśmiechem — z tém większém wzruszeniem byłbym się potém witał z tobą.

I we wzajemnym uścisku przebyliśmy kilka chwil szczęśliwych.

— Czy te interesa tak nagłe? — zapytałam.

— Dosyć nagłe — odpowiedział z uśmiechem— a przedewszystkiém obowiązkowe.

— Od twoich obowiązków nigdy cię odrywać nie będę.

— Do obowiązków przyszłego męża — mówił

z uśmiechem — należy także uregulować długi panieńskie swojéj przyszłéj żony!

Uderzyłam go ręką po ramieniu.

— Zkądże to o nich dowiedziałeś się — zapytałam, śmiejąc się. — Nie wiele tam będzie tego. Coś u modniarki i nieco w magazynie. Ale też mam na to różne świecidła.

— Jeżeli nie wystarczą, to coś dołożę — odrzekł Jerzy.

Roześmiał się wesoło przy tych słowach.

Uściskał mię serdecznie i odszedł.

Z progu wrócił się i jeszcze raz mnie uściskał.

— Pisz jutro, pojutrze!... — zawołałam za nim.

— Napiszę! — odparł i szybko zamknął drzwi za sobą.

XLV.

Byłam teraz szczęśliwą.

Czemuż do tego szczęścia mojego domieszały się łzy tak wielkiéj boleści?

Czemuż ten upragniony promień słoneczny dopiéro przedarł się przez czarne chmury, gdy burza wszystko pogruchotała, drzewa i plony powaliła na ziemię, a fale morskie pokryła szczątkami rozbitych okrętów i połamanych łodzi rybackich?

Czemuż to szczęście moje nie przyszło wtedy do

mnie, gdym była, jak ptak wesoła i swobodna, gdy wszystko wkoło mnie się uśmiechało, a poczciwy ojciec myślał tylko nad tém coby mnie ucieszyć mogło?

Czemuż to szczęście nawiedziło mnie dopiéro przy świeżym grobie ojca, przy huku piorunu, który w nasze urojone bogactwo uderzył i na cztery wiatry je rozniósł?

Czemuż to szczęcie dopiéro wtedy się pojawiło, gdy wśród gorzkich zawodów źli ludzie powalili mnie na ziemię, oplwali i podeptali?

Czyż nie mogłam zostać szczęśliwą wtedy, gdy pierś moja była pełna złotych marzeń, gdy wszyscy ludzie mię kochali i mego szczęścia mi zazdrościli?

Dzisiaj straszna śmierć ojca rozdarła mi serce, grób świeży domaga się łez moich, nagła utrata posiadanéj już sukcesyi budzi urągania tych, którzy nam téj sukcesyi zazdrościli.

Czemuż wśród takich ponurych okoliczności nadeszło szczęście moje, nadeszło w chwili, gdy mu całego serca i całéj duszy oddać nie mogę?

Jakżeby inaczéj wyglądało to szczęście, gdybym się mogła cała mu oddać, w niém utonąć i w atomy się rozpłynąć.

Dzisiaj podobném jest szczęście moje do barwnych kwiatów, malowanych na czarném tle.

Dlatego tak dziwne wydają mi się te barwy, które niegdyś moje oczy tak rozkosznie zachwycały.

Zdaje mi się, że moje szczęście powinno inaczéj wyglądać.

Czy je przyćmiewa boleść nad świeżą mogiłą ojca? Czy nagła utrata bogactwa i żal po niém nie pozwala mi widzieć tych barw rozkosznych, w jakie zazwyczaj szczęście się przystraja?

Czy to szczęście moje nie jest dzisiaj jeszcze zupełném? Czy grozi mu co?

Takie rozmyślania trapiły mnie całą noc, a gdy zasnęłam, niepokoiły mnie sny straszne i okropne.

Przy grobie ojca widziałam drugi grób świeżo wykopany, nad którym stał stary grabarz, oparty na łopacie, jakby czekał na nową spóźniającą się ofiarę.

Raz zdawało mi się, że tą ofiarą ma być pani Zenobia, która mocno zaniemogła — drugi raz widziałam siebie w białéj sukni, z wiankiem białych róż na głowie, z rękami złożonemi na piersi. To znów widziałam kogoś, co śmiałym krokiem do tego otwartego grobu zdążał, ale nie miałam odwagi spojrzéć w twarz jego...

Czułam tylko, że na widok tego człowieka serce biło mi gwałtownie w piersi, że chciałam go pochwycić za szatę i przytrzymać nad brzegiem tego grobu, który czyhał na niego.

Rano zbudziłam się zapłakana i zmęczona. Jerzy już był odjechał. Niepokój, który mię całą noc dręczył, zwiększył się teraz jeszcze bardziéj.

Poszłam do pani Zenobii, aby jéj moje szczęście zwiastować. Biedna staruszka, która do niedawna była jeszcze tak ruchliwą, stała się teraz kobietą zgrzybiałą. Zdaje się, że służba zdradziła jéj ukrywaną przed nią tajemnicę o znalezionym testamencie. Wieść ta hiobowa wraz z wrażeniem, doznanem wskutek śmierci ojca, przytępiła jéj zmysły, a nawet zaćmiła rozum.

Nie mogła mię już zrozumieć, gdy jéj mówiłam o Jerzym.

Zaczęła płakać, narzekając na wielkie nieszczęście, które się jeszcze nie ziściło, ale które ogarnie nas wszystkich. Radziła odprawić wielką pokutę za grzechy nasze. Mówiła o końcu świata i wymieniała znaki jego na niebie i ziemi.

Kazałam przywieźć z miasta lekarza. Lekarz nie znalazł żadnéj choroby, tylko ujrzał lampę dogorywającą.

Tak wyglądało dzisiaj moje szczęście.

Łzy, boleść i niepokój domieszały się do niego.

Było to tak dziwne uczucie, że sama sobie nie umiałam powiedzieć, czy byłam szczęśliwą, czy bardzo nieszczęśliwą.

Widziałam wprawdzie jasny, słoneczny promień tego szczęścia, ale ten promień przedzierał się przez tyle warstw chmurnych obłoków, które ciążyły nad moją głową. Czułam zimno, wiejące z tych chmur, ale nie czułam ciepła słonecznego promienia.

Smutno i w niepokoju biegły mi godziny.

Świeże wspomnienia z dni ostatnich stawały przedemną na każdym kroku. Chciałam je jak najprędzéj za sobą zostawić, ale nieubłagany urzędnik sądowy przypominał mi je co chwila.

Otoczony władzą gminną, świadkami i taksatorami, chodził po wszystkich komnatach, spisywał sprzęty, w stajniach liczył i oceniał inwentarz, w gumnach rozpatrywał się w zapasach zboża i paszy.

Wreszcie odjechał późnym wieczorem. Poleciłam furmanowi dowiedzieć się na poczcie, czy listów nie ma.

Przywiózł mi w nocy kilkanaście. Były to po większéj części listy z kondolencyą, a niektóre jeszcze do ojca adresowane.

Był także list do mnie od pani Adeli. Karta pośmiertna przeraziła ją. Położyła się do łóżka i dopiéro po przebytym paroksyzmie mogła do mnie kilka słów napisać. Czuła się po raz drugi wdową i postanowiła żałobę nosić.

Zaprosiła mnie, abym do niéj przyjechała i w jéj domu zamieszkała. Obiecała kochać mnie, jak córkę i być moją matką. Gdyby to nie mogło nastąpić, chciała do mnie przyjechać i przy mnie osiąść, aby mi być towarzyszką i w zarządzie tak znacznego majątku dopomagać.

Widać z tego wszystkiego, że o testamencie jeszcze nie wiedziała.

Między temi listami nie było listu od Jerzego.

Na drugi dzień byłam przynajmniéj sama. Komisya sądowa zrobiła już swoje. Wszystko, co teraz mnie otaczało, było już własnością publiczną.

Oprócz kilku kufrów i tego, co się w nich mieściło, nic już do mnie tutaj nie należało. Nawet grób mego ojca był teraz w cudzéj ziemi.

Postanowiłam zabrać jego zwłoki, gdy czas będzie po temu.

Służba zaczęła teraz zastosowywać się do nowego porządku rzeczy. Dawniéj tak dla nas wylana i nadskakująca, nie słyszała teraz moich rozkazów lub ociągała się z ich wypełnieniem. Zajęta przyszłym losem swoim, nie widziała mnie prawie, a gdym się jéj przypomniała, to się dziwiła, że jeszcze tutaj siedzę.

O moim ojcu rozpowiadano niestworzone rzeczy.

Mówiono, że ojciec dyabłu duszę zaprzedał, aby tylko się dowiedzieć, gdzie są ukryte pieniądze. Widziano nawet tego dyabła; w nocy oprowadzał ojca po wszystkich komnatach i wskazywał wszystkie skrytki. Wreszcie chciał już z nim skończyć. Wskazał na zegar grający.

Ojciec znalazł w nim jakieś papiery, ale to nie były pieniądze, tylko testament nieboszczyka. Wtedy ojciec chciał ten testament spalić, ale dyabeł trącił maszynę w zegarze, która zaczęła grać marsza

pogrzebowego. Przy téj strasznéj muzyce tknęła ojca apopleksya.

Taką to kalumnię rzuciła teraz służba na mojego ojca, który miał może swoje słabostki, ale tak ohydnego czynu nie byłby nigdy spełnił.

To wszystko potrzeba było teraz znieść, a przytém nie zapomnieć o szczęściu.

Biedne to szczęście moje! Czemuż ja go uczuć nie mogę w całéj pełni, jak o tém niegdyś marzyłam?

Czemuż ten blask jego, zamiast mnie ogrzewać, patrzy smutno na mnie, jak blask próchna?

Drugi dzień miał się już ku schyłkowi, a listu od Jerzego nie było.

Niepokój mój wzrastał. Obawiałam się czegoś, czego bliżéj określić nie mogłam. Mogło w drodze coś się wydarzyć — ale przecież o wypadku byłaby wieść jaka!

Zkądże te sny straszne w nocy, te potworne obrazy?

— To tylko przypomnienie owéj nocnéj katastrofy i tego wszystkiego, co się z tą katastrofą łączy — mówiłam do siebie, aby się uchronić od dziwnych, natrętnych przypuszczeń.

Przypuszczenia te jednak nachodziły mię coraz częściéj. Na każdym kroku zjawiały się przedemną jakieś widma niewyraźne, które mię trwożyły.

Cofałam się przed niemi i uciekałam, jakby przed jadowitą żmiją, która ze złości syczała za mną.

Uciekałam, ale, niestety, nie miałam gdzie uciekać. Wszystko koło mnie było obce, zewsząd wyszczerzały do mnie zęby wstrętne potwory, jak gdyby tylko na mnie czekały, aby mnie pochwycić i pożreć! A wobec nich czułam się słabą i bezbronną.

Zkądże ta trwoga i obawa, kiedy właśnie powinnam być szczęśliwą? Cóż znaczą te przywidzenia i złowrogie domysły?

Odpowiedział mi na to list, który trzeciego dnia wieczorem nadszedł.

List był bez podpisu, chociaż pismo, widocznie zmienione, przypominało mi jedną z moich dawnych przyjaciołek.

„Przyjeżdżaj jak najprędzéj,—stało w liście bezimiennym — aby zażegnać katastrofę, która z twego powodu może się źle skończyć."

Zdawało mi się, że gdzieś koło mnie piorun uderzył i ogłuszył mnie. Długi czas nie mogłam przyjść do siebie, ćmiło mi się w oczach, w uszach szumiało.

Machinalnie odczytywałam list po raz dziesiąty, a jeszcze nie mogłam go dobrze zrozumieć.

— List bezimienny, — rzekłam do siebie — czyż po mojém nieszczęściu znalazło się jeszcze tyle dla mnie przyjaźni, aby mnie, chociażby bezimiennie, ostrzedz przed jakąś katastrofą?... Cóżby to była za katastrofa? Zkąd ona wychodzi i komu zagraża?

Stanął mi nagle Jerzy przed oczyma. Przypo-

mniałam sobie wszystkie jego słowa, wyrzeczone do mnie przy pożegnaniu.

Gdy się ze mną żegnał, był tak spokojny, jakby jakaś myśl, wewnątrz nurtująca, całe jego życie pochłaniała.

Mówił, że obowiązki wzywają go i że między innemi musi zapłacić — *moje długi panieńskie!*

Nagle błyskawica oświeciła teraz przedemną ciemną przestrzeń, z której niedawno wychylały się do mnie wstrętne potwory. Odgadłam wszystko. Miałam rzeczywiście — długi panieńskie.

Jerzy dowiedział się był o złośliwéj potwarzy, rzuconéj na mnie przez złych ludzi, których chciał teraz do odpowiedzialności pociągnąć.

Wszystko mi się wyjaśniło.

Niepokój, straszne widma, łzy moje, zamiast uśmiechu, na wspomnienie mego szczęścia—wszystko to pochodziło z jednego źródła.

Chmura nowego nieszczęścia zawisła nad moją głową, a z niéj to wychodziły owe widma straszne, sny niepokojące i przeczucia złowrogie.

Nie miałam czasu do stracania.

Zdawszy opiekę nad panią Zenobią poczciwym ludziom, a wziąwszy tylko jedną służącą z sobą, wyjechałam jeszcze tego samego wieczora.

XLVI.

Pospieszny pociąg wiózł mnie teraz do stolicy ale jakże jechał powoli! Przez szyby widziała iskry latające, kłęby dymu rozrywał wicher, ko zgrzytały na hamulcach, które ich zapęd piekiel wstrzymywały, ale mnie zdawało się, że jadę powol bardzo powoli.

Moje serce biło daleko prędzéj.

Stacye i przystanki przelatywały przez szyby ja nocne upiory, drzewa i słupy telegrafu migały s tylko, a mnie się zdawało, że jadę powoli, bardz powoli.

Sygnały lokomotywy, nawoływania służby i k mendy konduktora przestraszały mnie. Zdawało n się, że po każdym takim sygnale ma coś nastąpi co mnie zabić może.

Wśród huku i hałasu słyszałam jakoby strzał a serce moje ściskało się trwogą nieopisaną.

Nawet na niebie nie mogłam znaléźć pociechy Nie było tam ani jednéj gwiazdki, jakby wszystk pogasły. Czarne, wichrem podarte płachty przes wały się po niebie, jakby je szczelnie przed okie ludzkiém zasłonić chciały.

Znikąd pociechy, znikąd nadziei! Jedyną ulg sprawiały mi łzy, które skrycie wylewałam. Mim to, jedna z towarzyszek spostrzegła je i z chwalebn ciekawością zaczęła mię pocieszać.

U J Biblioteka Uniwersytecka w Kielcach
Instytutu [illegible]
Nr. 5031

Biblioteka UJK Kielce
UJK
0472204